

STEPAN CHAPMAN

TROJKA

The Troika

PRZEŁOŻYŁ WOJCIECH SZYPUŁA



SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI	2
ROZDZIAŁ PIERWSZY PUSTYNIA	3
ROZDZIAŁ DRUGI WYMIANY	11
ROZDZIAŁ TRZECI WYBRANA DAWCZYNI.....	21
ROZDZIAŁ CZWARTY DEZERCJA.....	31
ROZDZIAŁ PIĄTY CENTRUM STEROWANIA BURZĄ.....	46
ROZDZIAŁ SZÓSTY UPADŁA KOBIETA	66
ROZDZIAŁ SIÓDMY MONTOWNIE	79
ROZDZIAŁ ÓSMY UPROWADZENIE	94
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY SIROCCO	105
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY DEZYNSEKCJA	121
ROZDZIAŁ JEDENASTY ZAMROŻONY MAMUT.....	137
ROZDZIAŁ DWUNASTY CISZA.....	147
ROZDZIAŁ TRZYNASTY OBSZAR NISKIEGO CIŚNIENIA.....	152
ROZDZIAŁ CZTERNASTY ŚPIEWACZKA.....	168
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY SĄD OSTATECZNY	174
ROZDZIAŁ SZESNASTY AUTOPSJA PODCZAS TRANSPORTU	184
ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY BURZA PIASKOWA	193

ROZDZIAŁ PIERWSZY

PUSTYNIA

- Były sobie raz trzy dziewczynki - zaczął z wielkim pośpiechem Suseł - i nazywały się Elsie, Lacie i Tillie. Mieszkały na dnie studni...

- Co tam jadły? - spytała Alicja, którą zawsze interesowały sprawy jedzenia i picia.

- Jadły syrop - odpowiedział Suseł po dłuższym namyśle.

- Ależ to niemożliwe - sprzeciwiła się łagodnie Alicja. - Przecież by się pochorowały.

- No i pochorowały się - odpowiedział Suseł. - Okropnie się pochorowały¹.

- Lewis Carroll

We troje przemierzali białą piaszczystą pustynię. Przemierzali ją, odkąd sięgali pamięcią. Dzisiaj po drodze słuchali wiatru. Wiał nieustępliwie przez cały dzień. Rzeźbił w piasku ostre krawędzie, jak izobary na mapie rozkładu ciśnienia.

Dwa słońca zasłyły, trzecie jednak wciąż tkwiło na zachodnim niebie, przypiekając kopce głazów i pokrywające je porosty. Potrójny ślad ciągnął się przez równinę, migocząc pod rozedrganym oceanem powietrza. Jeden trop zostawiły ludzkie stopy, drugi opony pojazdu, a trzeci olbrzymie zwierzę.

Łeb brontozaura zwieszał się tuż nad powierzchnią białego piasku, kołysząc się na boki na szarej, chropowatej szyi. Samica miała czterdzieści stóp długości i piętnaście wysokości w biodrach. Kulała artretycznie. Dręczył ją potworny ból stawów.

Za nią jechał dżip na czterech potężnych kołach zawieszonych na niezależnych półosiach. Szkliscie czarne panele kolektorów fotowoltaicznych, sterczące pod kątem z górnej części karoserii, chłoneły resztki dziennego światła. Ospala przekładnia ledwie się obracała. Turbiny jęklonie skarżyły się na upał.

Za samochodem szła stara Meksykanka o skórze koloru terakoty i włosach barwy śniegu.

¹ Przeł. R. Stiller.

Była ubrana w płócienne buty i szarozielony roboczy kombinezon z mnóstwem zapinanych na suwak kieszeni. Nosiła okulary przeciwsłoneczne z miedzianego drutu, z barwionymi na pomarańczowo szklami i bocznymi osłonami z miedzianej siateczki.

Miała na imię Eva i była więcej niż na wpół obłąkana. W niektóre dni całymi godzinami chodziła w kółko, okręcając włosy na palcach i gadając do siebie. Kiedy jej się to zdarzało, Alex i Naomi zatrzymywali się i czekali, aż jej przejdzie. Alex był dżipem. Naomi była brontozaurem.

Wszyscy troje byli niewiarygodnie starzy. Ich najdawniejsze wspomnienia sięgały wstecz do dwudziestego wieku. Alex twierdził, że jest najstarszy. Z pozoru należałoby się raczej spodziewać, że brontozaur będzie starszy od samochodu, ale Naomi zgadzała się z Alekssem i utrzymywała, że jest z nich trojga najmłodsza.

Żadne nie wierzyło w historie, które opowiadali sobie nawzajem na swój temat. Zapomnieli, skąd pochodzą. Nie wiedzieli również, gdzie się znajdują. Przejście przez pustynię trwało stulecia.

Trójki, pomyślał Alex. Potrzebuję więcej trójek. Zwierzę, roślina, minerał... Nie, to już było. Jednej wycięli serce. Jedno zostało zamknięte w zamrażarce. Jedno odgryzło sobie łapę. Ha!

Naomi zwróciła pysk w stronę staruszki.

O co chodzi ojcu? - spytała.

Mnie pytasz?! - odparowała Eva. A skąd ja mam, kurna, wiedzieć? Sama go zapytaj, ptasi mózdzku.

Dobrze, matko, pomyślała Naomi.

Złapała wkurwa, wtrącił Alex.

Jak zwykle, odpowiedziała w myślach Naomi. *Należałoby ją uśpić.*

Bezboleśnie? - zainteresował się Alex. *Czy po torturach?*

Naomi zamyśliła się nad tą alternatywą.

Wiatr szeptał ponad fałdami białego piasku. Alex objechał Naomi bokiem i wysforował się naprzód. Eva dalej szła ostatnia, dzięki czemu przynajmniej miała na czym zawiesić wzrok - poza wzorami na piasku, wychodniami piaskowca i porostami. Ostatnie słońce chowało się za sterczącym z pustyni skalnym płaskowyżem. Niedługo zrobi się chłodniej. Wtedy zatrzymają się na noc.

Zachowanie trzech słońc było nieregularne. Często jedno wschodziło, drugie akurat znikowało, a trzecie całymi dniami wisiało w zenicie; kiedy indziej znów ich wschody i zachody były prawie zsynchronizowane. Trudno było dostrzec w tym jakąś prawidłowość. W ich

ruchach królował zamęt.

Eva potknęła się o kamień. Spojrzała w dół. Każdy kamień miał własny rozbryzg pomarańczowego lub zielonkawego porostu.

Naomi dzielnie maszerowała w zapadającym zmierzchu. Zesztywniałe stawy przyprawiały ją o ból, który wyciskał łzy z oczu. Jej skóra brontozaura, latami garbowana przez wiatr i słońce, straciła dawny połysk i upodobniła się do chropowatej kory drzewa, rozpiętej na grzbiecie i żebrach jak na szkielecie rozchwievanego namiotu. Przełknęła przeżuty pokarm zwrócony z pierwszego żołądka. Kiedy ból znów przeszył jej biodra, wykrzywiła w grymasie cierpienia porośnięty rzadką szczecina pysk, odsłaniając zbrązowiałe koślawe zęby i obkurczone fioletowe dziąsła.

Wewnątrz dżipa Alex zrobił stop-klatkę z wyrazem jej pyska i porównał ją z obrazem sprzed dwudziestu lat. Tak, te dziąsła z całą pewnością się obkurczały. Naomi wyglądała fatalnie jak nigdy dotąd. Marniała w oczach. A znając jego szczęście, jutro obudzi się w jej głowie. Co za życie!

Jego zdaniem wszyscy troje musieli zwariować. Z niewiadomych przyczyn byli obłąkani - z gorąca, z zimna, z odosobnienia, z przeludnienia albo przez te burze. Najpewniej przez burze. Każdego doprowadziłyby do szaleństwa.

Piasek szeptał pod bieżnikiem opon. Wiatr świszczwał w panelach słonecznych, które - złożone w tej chwili płasko na grzbiecie wozu - przypominały czarne, połyskliwe pokrywy skrzydeł żuka. Turbiny buczały jak zamknięte w słoiku cykady. Kiedy podskakiwał na kamieniach, opony prawie dobijały do felg, a amortyzatory pracowały pełną parą.

Miał taką teorię, że urodził się jako człowiek - kruchy twór z kości i galarety. W laminowanych obwodach mózgu napotykał czasem oderwane strzępy życia tego człowieka, niczym pocięte nożycami kawałki starej, ziarnistej taśmy filmowej. Ciekaw był, co się z nim stało.

Wzorując się na stop-klatce Naomi, przeniósł kontur jej łba do banku rysunków technicznych, białych na niebieskim tle. Uprościł jej gadzią anatomię do rzetelnej geometrii: widok z przodu, widok z boku, widok z góry. Uwielbiał tworzyć w myślach modele różnych rzeczy; to było jedno z jego hobby. Nie mógł się jednak skupić, bo Eva cały czas mamrotała pod nosem.

Mam tego dość, mówiła właśnie. To się nigdy nie skończy. On nam nie da spokoju. Zwariował. Choć nie, nie mógł zwariować. Maszyny nie wariują. On nie żyje. A Naomi nie jest wcale nienormalna, tylko po prostu opóźniona. Czyli to ja zwariowałam. To moja wina. Och, Naomi! Gdyby nam się udało w końcu go pozbyć! Mogłybyśmy być takie szczęśliwe. Ja

jednak nic nie mogę zrobić. Powiedział, że mnie zabije, drań jeden. Obiecał mi to. Obiecał, phi. Gadanie...

Przyspieszyła, wyprzedziła brontozaura i zbliżyła się do dziapa. Piasek zbierał się jej w butach. Naomi zerknęła na nią jednym okiem. Eva wrzasnęła w myślach na Aleksa:

Wrzuć trójkę, pojebie jeden! Zarzynasz przekładnię! Wrzuć trójkę!

Wal się, pomyślał w odpowiedzi Alex. Mną się nie przejmuj. Poczekał, aż sobie zrobicie dobrze. Proszę cię bardzo, wleź na tę swoją oswojoną jaszczurkę, powijcie się trochę, pojęccie... Zróbcie, co musicie. Krótko mówiąc, Evo, pierdolcie się obie.

Ona pieprzy się lepiej, niż ty kiedykolwiek zdołasz, odpowiedziała mu.

Dzıp zahamował ostro i idąca tuż za nim Eva wpadła na jego tylny zderzak. Przegazował, wrzucił wsteczny i zaszarżował. Odskoczyła w ostatniej chwili, zanim przyszpilił ją kołem. Alex parsknął śmiechem i odtoczył się w tumanach białego kurzu.

Naomi poczuła, jak od złości matki pęcznieją jej żyły w głowie.

Matko, ojczu, proszę was, nie kłóćcie się. Zbiera się na burzę. Zachowajmy spokój i idźmy dalej.

Miała rację: z głębi pustyni nadciągała burza. Od kilku dni dopadała ich codziennie w porze zachodu słońca. Burze zawsze były bolesne, ale najboleśniejse stawały się wtedy, gdy Alex i Eva się kłócili.

Żadne z nich nie wiedziało, skąd się biorą burze. Mogli tylko snuć konkurencyjne teorie. Nie wiedzieli, ani kto zsyła burze, ani jak to się dzieje, że burze robią to, co robią. Wiedzieli tylko, że idą we troje przez pustynię i że trwa to od stuleci. Nie mieli pojęcia, co zastaną po drugiej stronie.

Mogliby posuwać się szybciej, gdyby Eva zgodziła się jechać dzípem albo dosiadać brontozaura, ona jednak wolała iść pieszo, bo całodzienna jazda wprawiała ją w otępienie, po którym źle spała i nie śniła. A kiedy nie śniła, burza była nieunikniona. W dodatku burze stawały się coraz gorsze. Sama świadomość, że gdzieś tam na nią czyhają, przyprawiała Evę o myśli samobójcze. Gdzie jednak krył się oprawca, który je na nich popychał?

Co uniemożliwiało ich śmierć? Kto cofał każdą śmiercionośną decyzję? Kto wetował samobójstwa? Podczas drogi przez pustynię Eva umierała już więcej razy, niż umiałaby zliczyć. Raz rzuciła się w przepaść. Przy innej okazji Alex przetrącił jej kark. Jeszcze kiedy indziej Naomi położyła się na niej, przygniotła ją i udusiła. Nie miało to żadnego znaczenia: przychodziła tylko kolejna burza, po której Eva budziła się do życia jak nowa. Jakby ją ktoś naprawił. Ale kto? Kto pociągał za sznurki, które wyrывały ją z jej mózgu? Kto zmuszał ją do gry w komórki do wynajęcia w poszukiwaniu ciała, w którym mogłaby zamieszkać? Często

się nad tym zastanawiała.

Wzeszły pierwsze gwiazdy. Wiatr się wzmógł.

Naomi uniosła łeb i zobaczyła całkiem niedaleko kamienisty żleb, werżnięty głęboko w skałę, schodzący do ziemi i osłonięty przed wiatrem. Chyba nadawałby się na spędzenie nocy. Naomi zwinie się w kłębek, powyciąga zębami kamienie spomiędzy palców, nasika do destylatora Aleksa i nakarmi Evę na wpół przetrawionym pokarmem. A potem wszyscy spróbują zasnąć. Może, zanim nastanie dzień, burza minie.

Alex mamrotał pod nosem; ściszył głośnik do minimum, ale pozostała dwójka i tak słyszała go doskonale:

To do niej podobne: żeby mi mówić, jak mam prowadzić! Już ja ją nauczę szacunku. Brudna zdzira! Cuchnący mały cipoliz! Obrzydliwa pizdojebka!

Co on tam, konia wali? - zainteresowała się Naomi.

Pewnie próbuje, odparła Eva. *Nie zwracaj na niego uwagi.*

Ojciec ma nierówno pod sufitem, prawda, matko?

Tak, drogie dziecko. Nie inaczej.

Naprawdę musimy tak iść i iść?

Dziś już nie, powiedziała Eva. *Jutro ruszymy dalej.*

A dojdziemy kiedyś do końca?

Nie wiem.

Powiesz mi, kiedy dojdziemy?

Tak, Naomi, powiem ci.

Wiatr zawodził głucho. Eva usiadła, wyplątała okulary z włosów i przyjrzała się im. Miedziany drut lśnił rdzawo. Złożyła okulary i schowała do kieszeni. Wsunęła dłonie pod pachy, czując wilgoć i ciepło swojego ciała. Zaciśnęła pięści.

Gdybym była brontozaurem, jak Naomi, zmiażdżyłabym Aleksa jak metalowego robala, powiedziała sobie w duchu.

Tylko że przecież była już brontozaurem, nie dalej niż przed tygodniem. Jedną burzę temu. Albo dwie. Naprawdę była brontozaurem. Trzeba go było zgnieść, kiedy miała ku temu okazję.

Jedną albo dwie burze temu... A może to cały czas jest jedna i ta sama burza, która po prostu chodzi za nimi krok w krok? Przez jaki teren przechodzili przed tygodniem? Wysiłała pamięć. Połacie wyschniętego, spękanego błota. Całe mile pylistego błota pociętego zębatymi pęknięciami; skoślawione plastry miodu z miliona stopionych uli.

Dzisiaj znajdowała się w kobiecie, w której zaczynała. Nagle uświadomiła sobie, że

Naomi też przyjęła pierwotną postać. Dziś każdy był na swoim miejscu. Dopiero teraz to zauważyła.

Wciśnięte między dwie kamienne ściany dno żlebu było piaszczyste. Wiatr świszczwał w górze. Zwiesiwszy głowę, Eva wpatrywała się w piasek pomiędzy swoimi udami. Podrapała się po szyi. Nikt nic nie mówił.

Naomi wystawiła głowę na wiatr i skubnęła porost. Jej długi, szorstki jęzor wyskrobywał zielsko wprost ze skalnych rozpadlin.

Eva obeszała żleb, zdzierając scyzorykiem uschnięte porosty z kamieni. Zgarnęła brunatne strzępki na kupkę i wykopała w piasku dołek na rozpalenie ognia.

Alex zaparkował na otwartym terenie, tuż za granicą żlebu. Gwiazdy świeciły jasno. Niebo było bezchmurne.

Nagle wszyscy poczuli, że nadciąga burza.

- Ożeż w mordę! - zawołał Alex.

Zrobili to samo co zawsze. Pochylili się i zetknęli głowami. Nie znali innego sposobu na zmniejszenie uciążliwości burzy.

Eva wygramoliła się ze żlebu i podbiegła do dżipa. Rozłożywszy się na płask na masce wozu, przytknęła policzek do przedniej szyby. Na wietrze zimny kombinezon nieprzyjemnie kleił się jej do ciała, za to stal, którą teraz pod sobą czuła, była sucha i ciepła. Chwyliła się wlotu powietrza. Ręce jej się trzęsły. Poczuela, jak Naomi układa obok niej swój łeb, owionął ją jej wilgotny oddech. Olbrzymi szary brontozaur udrapował się wokół dżipa, zawinał ogon i położył go na piasku, cichy jak wał chmur. Masywne cielsko chroniło przed wiatrem.

Czemu nie krzyczysz? - zasyczał Alex na Evę. Nie boisz się? Wiem, że się boisz! Umierasz ze strachu! Myślisz, że nas to obchodzi?

Zamknijże się! - jęknęła Naomi. Najlepiej oboje się zamknijcie.

Mam nadzieję, że ta burza wywieje cię na księżyc i wprasuje w kamień, buczał monotonna Alex. *Wtedy będziesz się mogła drzeć do woli i nikt nie będzie musiał cię słuchać.*

Naomi zamknęła oczy. Błony mrużne prześliznęły się po szklistych zielonych kulach wielkości arbuźów, które po chwili zniknęły w fałdach pomarszczonej skóry. Troje wędrowców wyczekiwało pierwszego uderzenia burzy. Im ciaśniej się skupią, tym mniejszy będzie ból. Gdyby nie to, dawno już rozbiegliby się w trzy różne strony, wrzeszcząc wniebogłosy. To burze trzymały ich razem.

Wiatr zaszumiał całkiem blisko, ani cichszy, ani głośniejszy niż wcześniej. Zalało ich gwałtowne wrażenie zbliżającego się tłumu. Naomi wybałuszyła ślepie, wykręciła szyję i dziko potoczyła wzrokiem. Zobaczyła burzowe chmury, w sinych wnętrzościach których

poruszały się jakieś postaci - promieniste sylwetki unoszące się na białych skrzydłach, z głowami okolonymi aureolami wyładowań elektrycznych.

- Anioły! - wykrzyknęła. - Widzę anioły wśród chmur!

- Uspokój się! - zawołała Eva.

Burza zassała ich w skowyczący czarny lej.

Ich dusze stały się trzema kolczastymi rozgwiazdami skrobiącymi w spojenia jednej czaszki. Płakali, zawodzili, rwali włosy z głowy, błagali o ratunek, krwawili, wyżerali sobie serca, tracili rozum. Zabrakło im łez, tchu i krwi, ale guz w głowie Naomi i tak krwawił, a ona nie mogła go zgryźć, nie mogła wyciągnąć go zębami.

Wirowali i koziółkowali w powietrzu: pazury, ręce, koła, przewody, skóra, ciało, Eva, Alex, Naomi - wyrwani z korzeniami ze swoich ciał, ciśnięci w jakimś niepojętym kierunku, w końcu porzuceni w spadku swobodnym. Spadali bez szczęk, bez osi, bez dłoni, czepiając się powietrza.

Naomi rozchyliła jedno oko. Znajdowało się z boku jej głowy, na wysokości nozdrzy. Znów była brontozaurem.

Eva otworzyła oczy: jedno, dwoje, czworo. Jej akumulatory się wyczerpały. Zgasła reflektory.

Alex obudził się w ciele starej Meksykanki, zdyszany i roztrzęsiony. Czuł się tak, jakby zamiast głowy miał zmiażdżoną tykwę. Ukrył twarz w dłoniach.

- Ja już dłużej nie wytrzymam - poskarżył się.

Nie miał jednak wielkiego wyboru.

Wszystkie gwiazdy pogasły. Nie były to gwiazdy ziemskie - na to były zbyt liczne i zbyt jasne. Metalowe nadwozie dżipa stygło w chłodnym wieczornym powietrzu, z rzadka mącąc ciszę cichym ping albo ponk.

Naomi się przeciągnęła, wyginając grzbiet jak kotka. Wróciła do wylotu żlebu, recytując pod nosem sutry. Alex zgramolił się z maski samochodu i klęknął na białym kamieniu. Wiatr zwiewał mu długie siwe włosy na twarz. Zaczął płakać.

Eva naładowała iskrowniki i zakręciła rozrusznikiem. Noc była miła, w sam raz na przejażdżkę, ale zabrakło prądu w akumulatorach. Nie pozostało jej nic innego jak pójść spać.

Spanie, pomyślał Alex. Co za obrzydliwy nawyk.

Ja nie śpię, pomyślała Naomi.

To idź spać, odparła Eva.

Nie mogę. Ojciec jest wredny i niemiły, nie chce opowiedzieć bajki.

Opowiedz jej jakąś historię, poleciła w myślach Eva. Pomóż nam zasnąć.

Nie znam żadnych historii.

To coś wymyśl, wtrąciła Naomi. Opowiedz nam o fabryce.

Nigdy nie pracowałem w fabryce.

Ależ pracowałeś, pracowałeś. Stale o tym śniesz. Nie bądź taki złośliwy, opowiedz nam coś.

I Alex to zrobił. Naomi słuchała go, a potem zasnęła i nie była już pewna, czy Alex opowiada o czymś, co mu się przydarzyło, czy o czymś, co wyśnił. A może śnił i jednocześnie mówił przez sen? Albo to ona, Naomi, wyśniła to wszystko od początku do końca?

ROZDZIAŁ DRUGI

WYMIANY

Spojrzał na stopy swe kochane,
Palców dziesiątką garnirowane,
I widok go powitał przykry:
Wszystkie te zgrabne palce... znikły.

- Edward Lear

Opowieść? Chcecie usłyszeć opowieść? Opowieści oblażą mnie ze wszystkich stron; wciąż wślizgują się we mnie i z powrotem wyłażą na zewnątrz, jak owsiki. Jestem jak sterany życiem weteran wojenny, który może opowiedzieć historię każdej ze swoich utraconych kończyn. Albo jak przewrócona na grzbiet kulanka, najeżona kikutami dawno obciętych odnóży, w gęstej czarnej krwi której koagulują krzemowe skalaki. Mój mózg dławi się opowieściami.

Kiedyś miałem ręce - dwie ludzkie ręce, z krwi i kości. Mam wam opowiedzieć, jak się ich pozbyłem?

Opowiem wam o tej nocy, kiedy pozbyłem się lewej. Byłem dwudziestoparoletnim mężczyzną imieniem Alex. Zapewne miałem też jakieś nazwisko, ludzie zwykle mają nazwiska. Mieszkałem w Chicago i byłem zatrudniony w fabryce modeli z polistyrenu.

Pracowałem w magazynie na nocną zmianę, od północy do ósmej rano. Trzecią część każdej wypłaty zjadał mi podatek, następna jedna trzecia szła na związki, resztę zabierałem do domu i wydawałem na czynsz.

Moja praca polegała na zdejmowaniu kartonów z wysokich na trzy piętra metalowych regałów i ładowaniu ich na ciężarówkę. W ciepłe letnie noce przychodziłem do fabryki piechotą. Jadłem śniadanie w całodobowej knajpce: kawa, jajka, tosty, dżem. Dwudziesty wiek. Tego się nie zapomina.

Którejs nocy pracowałem w magazynie przy zszywaniu kartonów. Brałem taki płaski

tekturowy wykrój, składałem go, łączyłem dno z kilku segmentów i pod prasą spinałem segmenty zszywkami. Naciskało się stopą pedał i wtedy pneumatyczne ramie, niczym młot z zębami, uderzało z góry w płytę z kartonem, zostawiając w nim błyszczącą miedzianą zszywkę.

Jedną rękę - prawą - już wtedy miałem ze stali i plastiku. Tej poprzedniej, z krwi i kości, pozbyłem się mniej więcej rok wcześniej. Wypadek zdarzył się właśnie tam, w fabryce. To po nim przenieśli mnie z produkcji do magazynu. Na kikucie zamontowali mi mecharękę model 190, toporną, ale solidną. Później wymieniłem ją na ortoprotezę 470, i to właśnie ją nosiłem tego lata.

Problem z moimi rękami polegał wtedy na tym, że miały różny ciężar: prawa ważyła więcej niż lewa. Czułem, że cały się przekrzywiam i koślawieję, jak krab skrzypek. Potrzebna mi była kolejna operacja.

W magazynie śmierdziało kurzem, spalinami z wózka widłowego i twardymi gumowymi kółkami. Spałem na stojąco, przytrzymując tekturowe pudła pod prasą, która dmuchała mi w twarz zatęchłym powietrzem.

Czy naprawdę byłem tamtym człowiekiem, takim miękkim i różowym? Dziś wydaje mi się to niemożliwe.

Vera podeszła do prasy. Vera była Meksykanką; razem pracowaliśmy. Nosiła drelichowy kombinezon, czerwoną bandanę i przypięte do paska radio ryczące na cały regulator.

- Ziemia do Aleksa - powiedziała. - Ziemia do Aleksa. Odbiór.

- Mogłabyś ściszyć to radio? - poprosiłem.

- Nie. Co robisz?

- Zszywam kartony. A ty?

- Wkurzam cię.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Vero?

- Podnieś prawą rękę - powiedziała.

Posłusznie, jak głupek, podniosłem rękę.

Vera wyjęła z kieszeni na piersi druk zamówienia: biały oryginał, żółta kopia, różowa kopia - wszystkie zwinięte w zgrabny rulonik, który wetknęła mi w dłoń.

- Brygadzista kazał to skompletować przed końcem zmiany. Potrzebne na wczoraj.

- Brygadzista mnie do tego wyznaczył? To na pewno nie był twój pomysł?

- Zostałeś wybrany ze względu na swoje nieprzeciętne doświadczenie; jesteś jedynym żyjącym człowiekiem, który da sobie radę z taką wysyłką. A teraz przepraszam, ale mam poważną randkę z widłakiem.

I Vera sobie poszła, zabierając czerwoną bandanę i meksykańskie piosenki. Mnie zostało zamówienie.

Rzuciłem ostatni zszyty karton na stos i udałem się na poszukiwanie pierwszego elementu zamówienia. Numer katalogowy: Q-14738. Sztuk: jedna. Opis produktu: samolot odrzutowy „Super Shark” ze świecą kalkomanią. Zagwozdką był ten pięciocyfrowy numer katalogowy; nie miałem pojęcia, gdzie czegoś takiego szukać na półkach. Ktoś inny na moim miejscu przeszedłby do dalszych punktów zamówienia, a do tego wrócił na końcu. Ale nie ja.

Błąkałem się po alejkach między regałami, długich jak kwartały miejskiej zabudowy. Niektóre były zatarasowane paletami z towarem. Zdarzało się, że musiałem przełazić przez sterty przeznaczonych do wysyłki pudeł.

Q-14738. Q-14738, samolot odrzutowy „Super Shark”... Gdzie te małe skurwysynki się podziały? Żaglowiec z szalupą motorową na baterie słoneczne, platforma holownicza dla pletwonurka, ford T, Gady Świata... Kartony. Całe ściany kartonów.

Wśliznąłem się bokiem pomiędzy stojącą na środku alejki paletę z towarem i stalową poprzeczkę regału i zacząłem oglądać etykiety na dolnej półce. Ledwie mogłem się poruszyć, z najwyższym trudem odczytywałem nabazgrane ołówkiem opisy. Q-14738, Q-14738... Pieprzyć to. Pewnie pomyłka na wydruku.

Kark miałem sztywny jak deska. Poruszałem głową na wszystkie strony, usiłując rozluźnić mięśnie. Wsłuchałem się w szum klimatyzacji.

Nagle uświadomiłem sobie, że gdyby w tej chwili nastąpiło trzęsienie ziemi, zostałbym pogrzebany pod dziesięcioma tonami plastikowych modeli. Kiedyś często myślałem o nagłych trzęsieniach ziemi. To była taka zabawa. Czasem wybiegałem myślami do innych miejsc. Do innych czasów.

I tak, na przykład, w tamtej chwili mój umysł cofnął się do dnia, w którym zamontowano mi ortoprotezę.

Pojechałem autobusem do centrum, do sklepu z protezami, na rutynowy okresowy przegląd mecharęki. Wszedłem do wyłożonego dywanem salonu wystawowego. Szklane drzwi zamknęły się za mną. W cichym, eleganckim wnętrzu, na ciągnących się rzędami akrylowych półkach spoczywały umoszczone w styropianie stylowe części ludzkich ciał: tu filigranowa stopa Azjatki, tam solidne afrykańskie kolano. W szklanych gablotach szeroki wybór palców rąk i nóg oraz genitaliów.

Wydawało mi się, że jestem w salonie sam. Wkrótce jednak pod czujnym okiem

personelu wyciągnąłem się na czarnej winylowej kozetce w odgrodzonym od reszty pomieszczenia boksie. Zebrali się wokół mnie, w białych kitlach i gumowych fartuchach, i zaczęli oglądać moją mecharękę przez lupy, mierzyć ją suwmiarkami i podłączać elektrody diagnostyczne.

- Proszę mi powiedzieć... - zagaił jeden z techów, starszy facet w dwuogniskowych okularach. - Jak się małeństwo sprawuje? Sprawia kłopoty?

- Hmm... Przyciąłem palec szufladą - przyznałem. - Zrobiło się małe wgniecenie.

Zgiął i wyprostował mały palec mecharęki.

- To drobiazg. Zrobimy parę badań, otworzymy mechanizm, przesmarujemy... Za dziesięć minut będzie pan wolny.

Prędzej czy później i tak musiałem im powiedzieć, po co naprawdę przyszedłem.

- Chcę ją wymienić na ortoprotezę - powiedziałem.

Wszyscy techowie oderwali się od swoich zajęć i spojrzeli na mnie.

- Zdaje pan Sobie sprawę, że taka wymiana wymagałaby kolejnej serii operacji chirurgicznych? Operacje, potem fizykoterapia, kalibracja... Raz już pan przechodził przez to piekło.

- Więc chyba wiem, w co się pakuję, prawda? - zauważyłem.

- Z pewnością. Ale firmowe ubezpieczenie nie pokryje tych kosztów.

- Stać mnie, a poza tym wydaje mi się, że orto bardziej mi się przyda w pracy. Czytałem broszurę na ten temat.

Starszy tech nagle wydał mi się dziwnie zakłopotany.

- Montujecie tu ortoprotezy, prawda? - upewniłem się. - Widziałem je w salonie.

Ostatecznie załatwili mnie w taki sam sposób, w jaki większość ludzi rozprawia się z namolnymi wariatami: zgodzili się na moje warunki. Kiedy wariat się przy czymś uprze, nikt go nie przekona, że nie ma racji. Jeszcze tego samego dnia odpiłowali mi mecharękę.

- To może boleć - ostrzegł starszy tech.

Mecharęka kuliła się i podkurczała palce, kiedy ją zdejmowali. Odcięte przewody hydrauliczne zapiszczały, na warsztat pociekły z nich jakieś paskudne płyny. Ucieszyłem się, że się jej pozbywam.

- Znajdziemy jej nowy dom - zapewnił mnie starszy, z trzaskiem zdejmując gumowe rękawiczki.

Podrapałem się po przegubie dłoni. Zawsze mnie swędziało, kiedy sterczały z niego druty.

Któż mógłby odmówić człowiekowi zajętemu samodoskonaleniem?

Na czym to ja stanąłem?

Q-14738. Etykieta gapiała się na mnie bezczelnie z najniższej półki po drugiej stronie przejścia. A to suka...

Według niej, super sharki znajdowały się dokładnie nad moją głową, trzeba było jednak uprzątnąć alejkę, żebym mógł podjechać pod regał schodami na kółkach. A do tego był mi potrzebny wózek widłowy. Bokiem wygramoliłem się z wąskiego kanału, w który wcześniej zabrnąłem, i zawołałem Verę. Vera była geniuszem widłaka. Prowadziła go, jakby była z nim zrośnięta; umiała się nim wcisnąć w najciaśniejsze przejścia, nabić na widły krzywo ustawioną i źle wyważoną paletę, a potem wycofać z szybkością rakiety - i niczego przy tym nie stracić.

Jej widłak właśnie z łoskotem wparował do magazynu, wioząc paletę jeszcze ciepłych modeli 2019, prosto z formy.

- Vera? Potrzebuję pomocy.

- Spoko! - odkrzyknęła. - Tylko najpierw to odstawię na miejsce.

I odstawiła.

Wyjaśniłem jej, na czym polega problem, usiadłem przy stoliku do pakowania i nalałem sobie kubek zimnej kawy, a kiedy wróciłem do mojej alejki, była pusta.

Przestawiwszy kilka kartonów, ustaliłem, że na dolnej półce nie ma ani jednej palety z Q-14738. Przystawiłem sobie drabinkę i sprawdziłem na wyższej półce. Szczęście nadal mi nie dopisywało. Przyciągnąłem schodki na kółkach, wszedłem na nie i obejrzałem wszystkie malowane od szablonu etykiety na trzecim poziomie. Ani jednego Q-14738. Musiałem wspiąć się jeszcze wyżej.

Nie byłem zachwycony tą perspektywą. Nie lubię się wspinać. Mam lęk wysokości. Kiedy wynajmowałem mieszkanie na drugim piętrze, wszystkie okna musiałem zasłonić tekturą. Kilka razy byłem odtwarzany od zera przez specjalistów, ale zawsze źle znosiłem wysokość. Miałem jednak zamówienie do zrealizowania. Wiedziałem, co mam robić.

Zawołałem Verę. Przyjechała żółtym wózkiem widłowym i zaparkowała mi prawie na butach. Propanowe spaliny dmuchnęły mi prosto w nos.

- Podsadzisz mnie? - zapytałem.

- Fatalnie wyglądasz. Powinieneś odpocząć.

- Muszę zajrzeć na trzy najwyższe półki.

- Nie ma sprawy. Wskakuj.

Rozejrzałem się.

- Położyłbym na widłach jakąś paletę...

- Mięczak. Nie pękaj, nie dam ci spaść.

Znalazłem pustą paletę, ale miała podnośnik wbity w bok i potwornie wypaczone deski. Im mocniej siłowałem się z podnośnikiem, tym bardziej był nie do ruszenia. W końcu poddałem się i stanąłem na jednym z zębów widłaka.

- No to jedziemy - zapowiedziała słodziutkim głosem Vera.

Zawarczał silnik podnośnika, szczyknął łańcuch i betonowa posadzka została daleko w dole. Błyskawicznie minąłem trzy dolne półki. W stopach i kolanach czułem wibracje całego wózka.

Kartony na czwartej półce nie zawierały super sharków. Podobnie jak te na piątej.

- Wolniej! - zawołałem.

Vera zwolniła tempo podnoszenia.

- Nie słyszę cię! - odkrzyknęła.

Podnośnik zatrzymał się z szarpnięciem. Gwałtownie rozpostarłem ręce, łapiąc równowagę.

- Nie patrz w dół! - uprzedziła mnie śpiewnym tonem Vera.

Jard nad głową miałem strop magazynu, a na wysokości łokcia fluorescencyjne, buczące rury w przykurzonych metalowych obudowach. Na najwyższej półce znajdowała się na wpół pełna paleta modeli 3025. Jak pech, to pech.

Ale obok tych trzy tysiące dwudziestek piątek stał jeden inny karton. Miał dziwny kształt. Nie widziałem jego etykiety, ale przecież mógł być pełen Q-14738. Musiałem to sprawdzić.

Zawsze byłem metodyczny. Metodyczny do bólu - oto cały ja. Metodyczny w sposób wykraczający poza wszelkie granice zdrowego rozsądku.

Deski wydały mi się dostatecznie mocne, żeby udźwignąć mój ciężar. Jedną ręką chwyciłem się stalowej kolumny, schyliłem głowę i zszedłem z widłaka na paletę. Na regale było przytulnie, jak w jaskini na urwisku. Usłyszałem, jak pudełko 3025 spada z łoskotem na beton trzy piętra niżej. Musiałem je niechcący kopnąć.

- Chcesz mnie zabić?! - zawołała Vera.

- Bardzo poważnie się nad tym zastanawiam.

- Na tym właśnie polega twój problem, Al. Wszystko traktujesz tak cholernie serio.

Położyłem się na boku i odwróciłem tajemniczy karton, szukając odbitej od szablonu etykiety. Nie znalazłszy jej na żadnej z bocznych ścian, wbitem wzmocnione aluminium palce pod pokrywą i oderwałem ją od przytrzymujących ją zszywek. Obróciłem karton i oderwałem dno. Pieprzyć karton! Musiałem zajrzeć do środka, obejrzeć znajdujące się w nim pudełka.

Vera dalej do mnie mówiła:

- Alex? Mogę ci zadać pytanie osobiste?

- Nie! - odwrzasnąłem. - Nie teraz. Jestem zajęty.

Wyciągnąłem pudełko z kartonu i ze złością spojrzałem na zdobiący jego wierzch rysunek. W rogu widniała nazwa i numer katalogowy modelu: pojazd księżycowy „Pogo”, 3031. To po prostu nie był mój dzień.

- Kiedy i czy w ogóle się ze mną umówisz? - mówiła tymczasem Vera. - Na randkę, rozumiesz? Pytam, bo jest dla mnie oczywiste, że mnie lubisz. No bo gdybyś mnie nie lubił, tobyś się tak na mnie nie wkurzał, prawda?

- Nie, nieprawda. Jestem dla ciebie za stary. I nie randkuję. Mam za dużo pracy.

Nie miałem siły się z nią kłócić. Przetoczyłem się na wznak i z kieszeni na piersi wyjąłem papierosy.

- Ej, Al? Jesteś tam jeszcze? Bo ja już na dzisiaj kończę, i to teraz, w tej chwili. Pasuje ci?

- A pasowałyby ci, gdybym ci zrzucił jakiś karton na łeb?

- Kurde, ja naprawdę nie muszę tu siedzieć i wysłuchiwać pogróżek.

Po tych słowach Vera odpaliła silnik i tyłem wyjechała z alejki.

Kiedy turkot kół widłaka ucichł w oddali, zapaliłem papierosa, ułożyłem się wygodnie na półce, z głową opartą o karton trzy tysiące trzydziestek jedynek, i zacząłem się zastanawiać, jak zejść na dół.

To ciekawe, jak umysł ucieka od bieżących problemów. Uwięziony na regale złapałem się na tym, że wspominam noc, w którą straciłem swoją pierwszą prawą rękę - tę, z którą się urodziłem. Pamiętam tę noc bardzo dokładnie. To był klasyczny wypadek przy pracy w przemyśle. Człowiek kontra maszyna.

Chrup.

Pracowałem na nocną zmianę na produkcji, w starej części fabryki - tej z brudną ceglana posadzką i świetlikami otwieranymi na korbę. Moje zadanie polegało na mieszaniu w beczkach granulek polistyrenu i przesypywaniu ich do lejów samowyladowczych przy wtryskarkach.

Po gumowych taśmociągach sunął niekończący się ciąg delikatnych plastikowych gałązek, z których niczym liście rozchodziły się na boki części do modeli: kadłuby samolotów, kolektory wydechowe, podwozia, kabiny, połówki tłoków z maleńkimi bolcami, które miały pasować do maleńkich gniazd. Inni robole siedzieli na stołkach przy taśmie,

pakowali gałazki do kartonów i dokładali instrukcje montażu.

Maszyną, która zabrała mi rękę, nie była żadna z tych ogromnych wtryskarek, lecz wytłaczarka ustawiona na uboczu, w półmroku korytarza, którego okna wychodziły na Wrightwood Avenue. Miała nie więcej niż cztery stopy długości i szerokości, ale była naprawdę wysoka. Pełny cykl tłoczenia trwał nieco ponad dwie minuty, zanim prasa z sykiem i dygotem wypluwała gotowy element na zsuwnię. Ja pilnowałem, żeby w podajniku nie zabrakło płatków żółtego bakelitu.

Była druga w nocy, kiedy akurat dosypywałem bakelitu do leja. Zajrzałem przy tym do pojemnika odbiorczego, żeby sprawdzić, czy z wytłoczkami wszystko w porządku - robiliśmy główki pilotów do Mega-Robo-Wodołazów: kask, gogle, zawadiacko wysunięta dolna szczeka. Z pojemnika spojrzały na mnie setki par gogli. Setki zawadiackich żuchw.

Zerknąłem na pulpit sterowniczy. Wskazówka termometru znajdowała się na zielonym polu. Za zimno. Obejrzałem dokładniej całą maszynę: połówki formy nie pasowały do siebie. Te wytłaczarki potrafiły naprawdę uprzykrzyć człowiekowi życie.

Górna połówka formy uniosła się z głośnym grzechotem, odsłaniając źródło problemu: trzy główki pilotów sprasowały się w jeden płaski naleśnik i dysze wyrzutników na próżno groźnie na nie syczały. Przez mniej więcej minutę, zanim forma znów się zamknie, miałem swobodny dostęp do jej wnętrza.

Z tylnej kieszeni wyjąłem scyzoryk i dziabnąłem nim blokujące formę główki. Łatwo udało mi się podważyć naleśnik znajdujący się bliżej mnie, ale żeby to samo zrobić po przeciwnej stronie, musiałem chwycić odwrotnie nóż, zaprzeć się lewą ręką o obudowę prasy i bardziej się wychylić.

Powinienem był zauważyć, że forma się zamyka. Pewnie bym zauważył, gdybym lepiej się wysypiał.

Najpierw moją uwagę zwrócił zapach, jakby ktoś smażył kielbaski, a potem zobaczyłem, jak forma zatrzaskuje się na końcu mojego przedramienia, w miejscu, gdzie powinna znajdować się dłoń.

Kiedy to się mogło stać? - pomyślałem. Usłyszałem szczęk zatrzaszukującej się formy, głuchy łoskot, chrzęst drobnych kości, syk wydmuchniętej pary... To wszystko usłyszałem dopiero po fakcie.

Najgorsze było to, że musiałem poczekać z mdleniem na otwarcie formy. Gdybym stracił przytomność z formą zatrzaśniętą na dłoni, musiałbym oderwać sobie rękę w nadgarstku, czyli zrobić coś, czemu chciałem zapobiec i czego z pewnością nie miałem ochoty oglądać. Żeby zaś tego nie oglądać, musiałbym zamknąć oczy, co z kolei bardzo bałem się zrobić,

ponieważ byłem święcie przekonany, że gdy tylko zamknę oczy, ręka zacznie mnie boleć, a ja nie chciałem czuć bólu. Stałem więc i czekałem.

W gardle czułem smak palonego plastiku. W pojemniku setki miniaturowych żółtych twarzy spoglądały przez setki gogli w stu różnych kierunkach. Zastanawiałem się, kto będzie sypał surowiec do podajników, kiedy mnie zabierze karetka.

Po otwarciu formy położyłem się na wznak na ceglanej podłodze i wbiłem wzrok w sufit. Nie chciałem oglądać swojej ręki. W końcu ktoś mnie zauważył i włączył alarm przeciwpożarowy. Okaleczenie przez maszynę nie jest, ściśle rzecz biorąc, pożarem, ale wtedy rozumiałem ten tok myślenia. Umieszczone pod sklepieniem hali zraszacze siknęły zimną mgiełką, która osiadała na ceglach jak kapuśniaczek. Fabryczny zgiełk zlał się w jednolity hałas, jak cichnący dźwięk olbrzymiego gongu. Zemdlałem.

Czasem się zastanawiam, co się stało z tamtą dłonią. Brygadzista musiał ją chyba wyskrobać z formy. Ciekaw jestem, czy chciało mu się zawinąć ją w serwetkę i przysłać do szpitala; czy jakaś pielęgniarka wyrzuciła ją dyskretnie do kosza na odpadki; czy śmieciarka przewiozła ją na wysypisko śmieci razem ze zużytymi szpatułkami, zasmarkanymi chusteczkami i foliowymi tackami z resztkami klopsów z groszkiem. Nigdy się tego nie dowiem.

Kiedy jednak tak leżałem na palecie w magazynie i gasiłem drugiego papierosa, miałem pewność, że dobrze się stało, że pozbyłem się tej starej prawej ręki. Nie mogłem jej ufać. Przejawiała ewidentne skłonności autodestrukcyjne. Coś z nią było nie tak.

Tak czy owak, prędzej czy później musiałem zejść na ziemię. Nie mogłem się już doczekać powrotu do domu: o ósmej rano wsiadę do autobusu jadącego na północ, do Pulaski, martwy dla świata i śniący na jawie o węzłach koralowych, izopodach, szpiku kostnym, ksylofonach, światłach ulicznych, gwizdkach, planecie Neptun, zerze absolutnym...

Jakiś szmer wyrwał mnie z zamyślenia. Leżąc, opierałem się potylicą o karton trzy tysiące trzydziestek jedynek, w którym teraz coś się poruszyło.

Usiadłem, odwróciłem się i klęknąłem, nie spuszczać kartonu z oka. Dłoń wypełzła ze środka i przycupnęła na jednej z kłapek tworzących wieko. Była to ortoproteza, taka sama jak moja, tyle że lewa zamiast prawej.

Zeskoczyła z kartonu na paletę, gdzie, nie zważając na mnie, przemieściła się w kąt. W kartonie nadal coś się poruszało, a chwilę potem zaczęły z niego wyłazić następne mechaniczne ręce, całymi dziesiątkami, każda kolejna czystsza, bardziej błyszcząca i

nowocześniejsza od poprzedniej.

A potem jedna po drugiej zaczęły schodzić z palety i gęsiego spelzać po półkach. Patrzyłem, jak roją się na dole, na posadzce, aż zrozumiałem, że czekają na mnie.

Zacząłem więc schodzić za nimi, zsuwając się po kolumnie z półki na półkę. Nie było to trudne.

Dłonie ruszyły alejką w zwartym szyku, tworząc dywan z metalowych palców. Wyszedłem za nimi z magazynu. I tak zbliżał się koniec zmiany.

Nie musiałem za nimi iść. Mogłem po prostu odbić kartę i sam wyjść na rześkie poranne powietrze; poszedłbym potem do Humboldt Park, usiadł na ławce pod szumiącymi drzewami i patrzył, jak porzucone w trawie szkło z potłuczonych butelek mieni się w słońcu. Wolałem jednak pójść za rojem dłoni. Wolałem ich nie drażnić.

Przeszliśmy przez próg do tonącego w powodzi światła działu produkcji. Czarne kobiety o zręcznych palcach i pustych oczach oraz przygarbieni Latynosi w podkoszulkach pakowali do kartonów instrukcje montażu i gałązki z elementami modeli. Nikt nie zauważył dłoni. Mnie zresztą też nie widzieli, byli zbyt zajęci nadążaniem za maszynami.

Dłonie - niczym straż honorowa - ustawiły się w szpaler po obu stronach przejścia między dwiema wyłaczarkami. Przeszedłem między nimi i skierowałem się do maszyny po lewej stronie. Przez osłonę z hartowanego szkła patrzyłem, jak forma się otwiera, wypluwa gałązkę z miniaturowymi częściami samochodowymi i błyskawicznie się zatrzaskuje.

Dwie mechaniczne dłonie połączyły się nadgarstkami i wspięły po obudowie prasy, trzepocząc przy tym jak jakiś egzotyczny owad. Przesunęły osłonę na bok, otwierając mi drogę. Wiedziałem, co muszę zrobić.

Forma się otworzyła. Włożyłem do niej lewą dłoń. Tym razem pamiętałem o tym, żeby zamknąć oczy, nim się zamknie.

Bo widzicie, ja miałem plan. Chciałem się doskonalić.

Ciało nie było dla mnie dostatecznie dobre.

Spójrz na księżyc, Alex. Ma kształt sierpa. Prawdziwy księżyc z bajki.

Chcecie usłyszeć tę historię czy nie?

Myślałam, że to koniec.

I słusznie.

Naomi się podobało. Od razu zasnęła.

Rzeczywiście.

Teraz ty mi coś opowiedz.

ROZDZIAŁ TRZECI

WYBRANA DAWCZYNI

Oyanoconic in nanacaoctli

ya nosol in choca.

Wypiłem wino z grzybków

I moje serce łka.

- pieśń aztecka

Pole gwiazd obracało się z wolna nad pustynią. Zrobiło się zimno. Tworzące żleb skalne ściany były niewidoczne w ciemnościach, za to biały piasek jakby emanował własnym światłem. Lśnił wokół opon dżipa i ciała śpiącej na boku starej kobiety. Obok wznosił się olbrzymi czarny kopiec zwiniętego w kłębek brontozaura.

Eva nie spała najlepiej. Źle się czuła zamknięta w obwodach dżipa. Słuchała snu Aleksa o jego różnych dłoniach.

Cofnęła się pamięcią do dnia - jakże odległego! - w którym prawie straciła serce. To było dawno, bardzo dawno, w dwudziestym wieku. Była wtedy młoda i piękna. Miała czarne lśniące włosy.

A teraz stała się żalonym odpadkiem, z którego nikt nie miał pożytku. Krzywe zęby, rozszczepione paznokcie, porwane sznurówki. Otoczona przez rodzinę, nieodłączną, potworną rodzinę jak z więzienia. Obląkany mąż, który zbudował sobie ciało z części samochodowych, ważąca tonę upośledzona córka, i ona sama, za stara, żeby być człowiekiem. Kiedyś jednak była młoda i piękna. Była pępkiem świata. Zaczęła więc śnić o kruczowłosej dziewczynie, którą dawniej była.

Dawno, dawno temu, w dwudziestym wieku, była sobie młoda kobieta, która żyła tylko po to, by wypełnić swoją rolę. Wywodziła się z dumnego narodu, a ten wyznaczył jej

nadzwyczaj szlachetne zadanie, które czekało ją w przyszłości i rządziło każdym jej krokiem.

Mieszkała na Jukatanie, w Klasztorze Dawców w Chetumal. Była rącza jak wiatr. Jej umysł wypełniała rozmigotana mgiełka świętych legend i klasztornych plotek. Była żyjącą w błogiej nieświadomości idiotką - ale za to miała swoje zadanie.

Obwiedziony murem kompleks klasztorny znajdował się w samym sercu Cesarskich Ogrodów Botanicznych. Za murem posadzone w rzędach darzymlecznie ocieniały arboretum. Codziennie rano mierzący dziesięć stóp wzrostu mężczyzna z głową żółwia podjeżdżał wozem do bramy klasztoru. Na wozie wiercili się niespokojnie mali chłopcy o głowach krewetek, prowadzeni przed surowego garbatego mężczyznę z łbem papugoryby. Nowicjuszek o głowach skalarów podglądały nowo przybyłych przez szpary w murze.

Dwadzieścia nowicjuszek sypiało na płytach piaskowca w mrocznym dormitorium. Skórę twarzy miały prążkowaną, w kolorach koralowego różu i błękitu. Eva była jedną z nich.

Nastała wiosna szesnastego roku jej życia. Święty dzień Ceremonii Sercowej zbliżał się wielkimi krokami. Nowicjuszek nie rozmawiały o niczym innym. Zastanawiały się, kto zostanie Wybraną Dawczynią. W noc poprzedzającą wielki dzień jak zwykle ułożyły się do snu na kamiennych płytach, ale nikt nie spał. Eva wsłuchiwała się w ich oddechy. Kraboptaki nawoływały się chrypliwie w arboretum. Przeorysza z głową kałamarnicy weszła do dormitorium i płynęła przez cienie. Jej stopy przecięły kałużę księżycowego światła padającego na turkusowe płytki posadzki. Zatrzymawszy się przy łożu Ewy, szeptem zaintonowała modlitwę. Obwieszczała jej śmierć.

Eva radowała się, że została wybrana.

Zgodnie z tradycją, martwa dziewczyna wstała przed świtem, narzuciła muślinowy fartuch i sandały i wyszła na przechadzkę wśród drzew darzymleczni. Jej preceptor sfrunął ze swojej niszy pod sufitem, przysiadł jej na ramieniu i złożył łuskowate skrzydła. Miał postać zmodyfikowanej remory i pomagał jej w nauce.

Eva spacerowała po ścieżkach arboretum - brukowanych drózkach pomiędzy grządkami kwiatów i ziół. Przystanąła przy kępie opuncji o żółtych, woskowatych kwiatach wabiących karasie pyłkolubne, które uwijały się nad nimi z miłym dla ucha klekotem.

Preceptor zaintonował mantrę uspokajającą. Wiatr szumiał niespokojnie w judaszowcach.

- Spójrz, preceptorze, drzewa tańczą!

- To wiatr - odparła remora.

- One zawsze się poruszają.

- Znieruchomieją, kiedy wiatr ustanie.

Przez ścieżkę przeszła skrzydlica, opierając się na ciernistych promieniach. Zamrugła na

widok wschodzącego słońca, a czując na skórze powiew wiatru, rozpostarła płetwę ogonową - jaskrawozieloną membranę upstrzoną plamkami srebra i błękitu. Fartuch Ewy zaszeleścił jak łuski kukurydzy. Gałęzie drzew były w stałym ruchu. Niedługo zaczną się wiosenne deszcze, ale Eva ich nie zobaczy. Eva już jest duchem.

Dotknęła swojego mostka. Przesunęła palcami po bliźnie - jasnej fałdzie pozbawionej uczucia, w którą trzykrotnie werżnęły się ceremonialne noże. Poczynając od tego szwu, rozstąpi się przed laserowym skalpelem jak miękka brzoskwinia, jak struga czystej wody. Rozpłynie się w blasku i zostanie tylko jej serce - dar dla Wielorybiego Cesarza, którego własnością zawsze było.

- Wejdz do środka - szepnął jej do ucha preceptor. - Już czas.

- Jeszcze nie.

- Musisz tam wejść. Przeorysza czeka.

Eva skierowała się w stronę bocznego wejścia do klasztoru.

- A ty dokąd?! - zaniepokoił się preceptor. - To nie te drzwi!

Weszła do kuchni, w której akurat pracowała tylko jedna z sióstr - szefowa kuchni, kobieta-manat, którą Eva wprost uwielbiała: pulchna, z długimi węsami czuciowymi, o gładkiej niebieskoczarnej skórze i łagodnych brązowych oczach Stała właśnie przy pniaku do rąbania mięsa i kroїła jamsy. Kiedy w zeszłym roku Eva miała gorączkę, przyniosła jej miskę jeżyn w kozim mleku.

A teraz kroїła jamsy i nuciła pod nosem. To był taki spokojny dźwięk.

Nowicjuszka-skalar zajrzała do kuchni i zobaczyła Ewę.

- Tu jest! - zawołała.

W kuchni natychmiast zaroїło się od nowicjuszek - piszczących, roześmianych, wykrzykujących pytania, tłoczących się wokół Ewy, muskających ją delikatnymi niebieskimi dłońmi. Wszystkie wyglądały identycznie, ale tylko ona była Wybraną Dawczynią.

Dusiła się. Naparły zbyt blisko, były zbyt głośne, zbyt rozemocjonowane, zbyt zazdrosne. Tak jakby chciały się wtłoczyć w nią, do jej wnętrza.

Wyrwała się im, uwolniła od ich zachłannych pieszczot, roztrąciła je i przepchnęła się na korytarz, skąd z rozwianym włosiem pobiegła do holu na spotkanie z przeoryszą.

Zderzyła się z wysoką, kruchą siostrą w złoto-zielonej szacie. Przeorysza! Eva cofnęła się, przerażona swoją gafą, lecz niezdolna dobrać głosu, by wyartykułować przeprosiny.

Smukłe perłowszare dłonie przyglądziły fałdy brokatowych szat matki-kałamarnicy, która zamrugała wilgotnymi powiekami i zmierzyła wzrokiem klęczącą przed nią zdyszana dziewczynę.

- Wstań - powiedziała, podkreślając słowo gestem macki. - Dlaczego tu biegasz?

- Nie wiem, eminencjo.

- Dzisiaj, drogie dziecko, nie powinnaś się niczym martwić. Nic nie powinno cię rozpraszać. Weź mnie za rękę i chodź ze mną.

Nie wierząc własnym uszom, Eva ujęła dłoń matki. Szły korytarzami przez nikogo nie niepokojone, jakby za sprawą czarów znalazły się gdzieś poza czasem. Wspięły się po spiralnych schodach i wynurzyły spod podłogi w kaplicy, gdzie czekały już cztery dalsze *zahori* z totemu kałamarnicy.

Odebrały fartuch i sandały od Ewy, która stanęła naga na zimnym marmurze. Preceptor - wczepiony czarnymi i ostrymi płetwami w jej ramię - obserwował wszystko drobnymi czerwonymi ślepiami. Siostry obmyły ją gąbkami i nasmarowały jej ciało aromatycznymi olejkami. Przyniosły klejnoty błyszczące jak świetliki - niebieskie jak szafir i białe jak brylant - którymi obwiesiły jej ręce i barki. Klejnoty wrosły w jej skórę i zapłonęły równym błękitnym blaskiem. Siostry rozczesały jej włosy, odziały ją w płaszcz zwany *quexquemilt* i nałożyły pióropusz wyróżniający Wybraną Dawczynię.

Następnie wręczyły jej srebrny kielich zawierający wino i nasienie *ololuhqui*, odmiany wilca. Sącząc wino, czuła, jak esencja kwiatu rozplywa się niczym opar po całym jej ciele. Jej kości zmieniły się w kryształ. Dopiero teraz poczuła się prawdziwa, rzeczywista, jakby wszystko, co działo się do tej pory, było tylko przebraniem i maskaradą. Nareszcie mogła swobodnie pójść swoją drogą - i to właśnie zrobiła.

Siostry krzętały się wokół niej, dokonując ostatnich poprawek stroju. Miała ochotę wtopić się w posadzkę, ale skoro drobinki kurzu szybowały w snopach światła, ona również mogła się tak unosić w powietrzu. Wszystko ją zachwycało: witraże, smukłe szare dłonie poprawiające jej przybrany piórami ubiór, czerwone ślepkę preceptora...

Zza drzwi kaplicy dobiegły chrapliwe męskie głosy:

- Z drogi! Z drogi!

To kapłani-najeżki po nią przyszli.

Siostry-kałamarnice podniosły rytualny lament. Drzwi otworzyły się z impetem i do kaplicy kołyszącym się krokiem weszli krągłi, przysadziści kapłani. Odepchnęli siostry zakonne na bok i obścąpili Ewę. Byli ubrani w karmazynowe sarongi. Obsydianowe naszyjniki opadały im aż na kolczaste brzuchy. Ich łuski miały barwę ziaren kukurydzy - czerwoną, pomarańczową, żółtą. Zamiast rąk mieli małe płetwy i tylko na wpół wykształcone głowy, w których z trudem mieściły się szerokie, zębate pyski.

- Pójdiesz z nami! - ryknął jeden z nich do Ewy.

Wyprowadzili ją z kaplicy na światło dzienne i przez bramy klasztoru wyszli do ogrodu botanicznego. Szła po lazurowej trawie, podziwiając sady i pola czarnych i niebieskich zbóż. Siedząca na gałęzi baniana skrzydlica głośno wyrzekała na otaczający ją świat. Piękna lektyka spoczywała na trawie między dwoma żółwioludźmi, którzy - podniósłszy ją z ziemi - mogli oprzeć jej drągi na swoich skorupach. Daszek lektyki zdobiły szafranowożółte i aksamitnie czarne orchidee. Żółwioludzie mieli na sobie haftowane jedwabne liberie. Odwróciwszy zrogowaciałe pyski, patrzyli, jak Eva sadowi się w lektyce, a potem chwycili drągi.

Ogrodnicy o głowach robaków otworzyli szerokie bramy ogrodu. Najeżkowaci kapłani stłoczyli się za lektyką, którą żółwioludzie ponieśli przez most z bursztynowego szkła. Most stał na podporach nad szerokim na milę kanałem pełnym mieniącej się zielonej wody. Wiatr rozwiewał pióra płaszcza Ewy. Z drugiego brzegu kanału dobiegał szmer tysięcy głosów. W pierwszej chwili pomyślała, że to śpiew Kwietnego Księcia Xochipilli w jej krwi, albo pogwizdywanie osuwiskowego grzyba Nti Ki Xo, ale potem przypomniała sobie, że tysiące gapiów zgromadziły się na Placu Spichrzów, żeby być świadkami jej odejścia.

W miejscu, gdzie bursztynowy most się rozszerzał, czekała ustawiona w szeregach eskorta złożona z żołnierzy-rekinów. Dołączyli do lektyki i kapłanów. Droga zeszła z mostu i zatoczyła łagodny łuk w wąwozie pomiędzy olbrzymimi stożkowatymi spichlerzami. Kordony pokrzykujących żołnierzy powstrzymywały napór pokrzykujących tłumów. Zbite w nerwowe grupki dzieci-krewetki zajadały mrożony budyń na patyku. Odziani w czerń nauczyciele o głowach papugoryb wskazywali Ewę kijami.

- Pomachaj do tłumy - podszeptał jej preceptor.

Rikszarze-nogacze wiwatowali na jej cześć. Przywieźli z wylęgarni kobiety-minogi, których oślizłe białe ciała, nabrzmiałe od jaj, kuliły się teraz w rikszach pod parasolami. Eva do nich pomachała; niektóre jej odmachały. Spichrze były obwieszane kolorowymi proporcami, które furkotały i trzaskały na wietrze. W oknach tłoczyli się mężczyźni-ośmiornice. Orkiestra dziewcząt-rozgwiazd sformowała szyk marszowy za plecami rekinich żołnierzy, przygrywając im piskliwie na okarynach i wałac w bębny.

- Życie jest słodkie - zauważyła Eva.

- Skoro tak twierdzisz... - powiedział preceptor.

Droga zbiegła stromo w głąb jasno oświetlonego tunelu wijącego się wśród pianobetonowych fundamentów miasta. Żołnierze i orkiestra zatrzymali się, umilkli i zawrócili.

Tunel doprowadził Ewę i kapłanów do podziemnej obwodnicy - szerokiego jak rzeka pasa transmisyjnego, który poniósł ich przez mile szarych, łukowato sklepionych podziemi.

Wszędzie dookoła, także powyżej i poniżej obwodnicy, Eva dostrzegała bunkry obsadzone przez piranie z kasty wojowników, oraz pętle akceleratorów gigantycznych dział subatomowych chroniących jej kraj przed atakiem raketowym. Przeszywała materię wzrokiem na wylot; pod pianobetonową posadzką, pod skałą, na której ją ułożono, widziała płynącą magmę. Była szybem geotermicznym. Była obserwatorium słonecznym. Widziała cały kontynent.

- Żyjemy na tratwie - powiedziała do preceptora.

- Oddychaj - odparła remora. - Zapominasz oddychać.

Pas transmisyjny wypułł ich na nagą równinę upstrzoną wieżyczkami strażniczymi. Z przodu majaczyły trzy wieże ośrodka medycznego, których egzoszkielet był wzorowany na spiralnej strukturze gąbek morskich. Podczas konsekracji kliniki zatopiono w jej fundamentach tysiąc niemowląt. W środku czekali już cesarscy chirurdzy i Wielorybi Cesarz we własnej osobie.

Tragarze lektyki Ewy i otyli, bezręcy kapłani poczłapali w stronę wejścia do kliniki. Kiedy się do niej zbliżyli, z dachów wystrzeliły fajerwerki, istny deszcz, powódź fajerwerków, które - oślepiające w biały dzień - pocięły niebo smugami kobaltowego błękitu i chloranowej zieleni. Eva wysiadła z lektyki i zaczęła tańczyć z zachwytu. Skwierzące iskry tryskały z klejnotów na jej rękach, spadały na bruk i tam gasły, a ona śmiała się i wirowała w tańcu.

Kapłani-najeżki uspokoili ją i popchnęli w stronę szklanych wież. Część z nich zaintonowała pieśń pogrzebową, ponieważ po wejściu do kliniki Eva zostanie uroczyście uznana za zmarłą i oficjalnie pogrzebana. Eskortowali ją do *Tlalocanu*, Innego Świata, ale przecież ośrodek medyczny wcale nie był *Tlalocanem*. Dlaczego zatem wciąż o nim gadali?

Setki chorych wyległy na przylegające do szpitalnych oddziałów tarasy: mężczyźni-pawiki, eunuchowie-kauri, dzieci-pióroskrzelce... Sprawiali wrażenie przemęczonych i niewyspanych. Oddawali cesarzowi mnóstwo krwi. Krwiodawstwo było ich wyłącznym przywilejem i nadawało sens ich żalosnej egzystencji.

Święty cesarz zużywał dużo krwi, którą po jednokrotnym przepłynięciu przez jego żyły odprowadzano do farm hydroponicznych, by udzieliła im swojego błogosławieństwa. Potrzebował krwi także do napełnienia swojego basenu, który był ogromny jak jezioro. Prawdę mówiąc, tak duży basen nie był mu wcale niezbędny; cesarz był zwyczajnym grubym starcem o czterech sercach - ale był cesarzem.

- Dlaczego się zatrzymała?

- Na co tak patrzy?

- Śpiewajcie dalej!

Utrzymanie cesarza przy życiu wymagało czterech serc, z których każde po upływie czterech lat wymieniano na nowe. Taka właśnie była rola Ewy.

Wysoko nad jej głową chłopiec-pióroskrzelec wdrapał się na balustradę tarasu. Chorzy zachęcali go okrzykami i dodawali mu otuchy, aż skoczył, a wtedy odprowadzali go wiwatami przez cały lot. Spadł na kamienne płyty. Odbił się od nich, ale tylko raz. Za nim skoczyło trzech dalszych chorych, a potem spadł prawdziwy ich deszcz. Samobójstwa były dozwolone wyłącznie w Dniu Dawcy, kiedy to przybierały rangę sakramentu. Najeżkowaci kapłani wyrażali śpiewem swoją aprobatę.

Rosnący stos potrzaskanych ciał nie był przyjemnym widokiem. Eva przyspieszyła kroku i weszła do holu kliniki, gdzie kapłani przekazali ją w ręce czterech pielęgniarek. Pielęgniarki miały głowy łososi, kojące głosy, delikatne dłonie i płaskie pomarańczowe oczy.

Zabrały jej płaszcz i pióropusz i ułożyły ją na zaopatrzonych w kółka marach z białego szkła, które następnie przetoczyły na brzeg kanału, gdzie na powierzchni lepkiej fioletowej cieczy unosiła się złocona gondola. Przeniosły mary do gondoli i złocista łódeczka pomknęła z nurtem podziemnego strumienia, który poniósł ją na dno biegnącego w górę szybu. Srebrne wrota wyłoniły się z lśniącej cieczy, odcinając gondolę od strumienia, i poziom cieczy w szybie zaczął się podnosić. Wraz z nim wznosiła się gondola.

Pielęgniarki pomogły Ewie wstać i poprowadziły ją rurowatym, wijącym się jak wąż korytarzem. Nogi się pod nią uginały, ale opiekunki cały czas ją wspierały i pilnowały, żeby nie zoczyła z obranej ścieżki. Minęły radiologa-ciernika w grubym skórzanym fartuchu, który podniósł wzrok znad swoich glinianych tabliczek i się uklonił.

- Dziękuję - powiedziała Eva. - Dziękuję.

- Nie ma za co - odparła jedna z pielęgniarek. - To dla nas zaszczyt.

Po drodze przyszyły nożyczkami kruczoczarne loki Ewy, które melancholijną konstelacją usłały trasę ich przejścia. Usunęły też wczepione w jej skórę klejnoty, a potem tak długo przesuwwały buczące kryloprzybory po skórze jej głowy, aż obrały ją do czysta.

Za łukowatym przejściem otwierała się sala operacyjna - okrągła komnata przykryta zwierciadlaną kopułą ze szkła. Jej środek zajmowało bazaltowe podwyższenie, na którym spoczywała obsydianowa płyta. W znajdującej się z boku sali wnęce dwóch nagich chirurgów pławiło się w blasku lamp odkażających. Mieli głowy płaszczek.

Wszystko wyglądało tak jak powinno, Eva zaczynała jednak dochodzić do wniosku, że otaczają ją szaleńcy. Ci porządni, przyjaźni, pomocni ludzie, ci chłodno uśmiechnięci profesjonaliści, którym do głowy by nie przyszło, żeby ją skrzywdzić, musieli być obłąkami.

Zamierzali przecież wyciąć jej serce! Serce, które teraz aż skuliło się w jej piersi. Musiała się bardzo postarać, żeby nie zacząć krzyczeć.

Od małego żyła wśród nich. Nauczyli ją chodzić. Nauczyli ją myśleć. A teraz ją pokroją i wyrzucą te jej kawałki, które nie będą im potrzebne.

Tylko że nie wszystko poszło po ich myśli. Eva nie chciała umierać.

- Już niedługo - zapewniła siedząca jej na ramieniu remora.

- Cicho bądź! - warknęła Eva. - Ty nic nie wiesz!

Pielęgniarka z głową łososia postawiła obsydianową płytę do pionu i kazała Evie przysunąć się nagimi plecami do jej lodowatej powierzchni, po czym płyta znów się przechyliła i przejęła jej ciężar. W głębi czarnego kamienia zahuczały medyczne czujniki. Wirujące platynowe igły nakłuły jej skórę i nagle całe ciało zaczęło jej ciążyć jak ołów. Pielęgniarka przepasała ją w talii skórzaną taśmą i mocno zapieła sprzączkę. Eva patrzyła na swoje odbicie w lustrzanej kopule. W sali pociemniało i stożek gorącego czerwonego światła wyłowił płytę ofiarną z półmroku. Otoczyli ją mantogłowi chirurdzy w białych szatach z cekinami i lateksowych rękawiczkach. Ich wewnętrzne głosy mieszały się zgiełkliwie w głowie Ewy:

- Odpręż się, drogie dziecko. Odrzuć niepokój. Pokładamy w tobie wielkie zaufanie.

- Co za nieznośna gówniara. Takie już moje szczęście, akurat teraz ten półmózg anesteziolog musiał pochrzanić dawki.

- Na *Quetzla*, otaczają mnie kretyni.

- Otwórz serce przed Laserem Wiary, moja córko. Musisz się nauczyć dawać siebie innym.

Głosy buczały monotennie, więząc Ewę w pułapce niepewności. Rozpłakała się.

- Pomóż mi, matko! - zaszlochała. - Jestem taka zagubiona! Utraciłam stan łaski!

- Przekłete suki, niczego nie potrafią porządnie zrobić! Dostała za dużą dawkę! Żeby tak sabotować mój zabieg! Usmażę im te ich kałamarnicowe ślepia w maśle.

Serce Ewy było małym, ślepym stworzonkiem zamieszkującym jej pierś. Z zadowoleniem oddychało sobie jej krwią: wdychało szkarłatne węże i wydmuchiwało je przez cztery rozgałęziające się trąbki w głąb płuc. Nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo, chirurdzy się nim zaopiekują. Chcą je tylko przenieść w inne miejsce.

Stożek czerwonego światła zwęził się, laser zawisł w półmroku.

Rozstąp się przed światłem, które przecina, wyrecytowała w duchu Eva. *Nie lękaj się go. Rozstąp się przed jego światłością, jak letnie obłoki przed słońcem.*

Przez godzinę po operacji sztuczne płucoserce będzie ją podtrzymywało przy życiu.

Dzięki niemu wyjdzie na taras i przemówi do wielbiącego ją tłumu, ubrana w białą ciernistą koronę ślubną i płaszcz z białej koronki i kwitnących zbóż. Gdyby się okazało, że nie może mówić, podłożą pod jej wystąpienie nagrany głos. Następnie wytatuują jej na policzku symbol śmierci, zabiorą ją do katakumb i tam odłączą. Zostanie postawiona obok tych, które ją poprzedzały. Tak właśnie powinno być.

Napływająca przez kraty w podłodze niebieska woda zaczęła wypełniać salę operacyjną. Pielęgniarki pomogły chirurgom przypiąć maski tlenowe. Słona ciecz zachlupotała o stopy Ewy. Jedna z sióstr wcisnęła jej ustnik między zęby.

- Zagryź - poleciała. - Oddychaj przez tę rurkę. Głęboki wdech. Tak, dobrze.

Woda pochłonęła nogi Ewy, zagarnęła stolik instrumentariuszki. Eva zamknęła oczy.

Remora dziesiątkami drobnych ząbków wgryzła się jej w szyję.

Co się z tobą dzieje?! - krzyczała. Niczego cię nie nauczyłem?! Zamierzasz tak leżeć i czekać, aż cię pokroją?!

Daj mi spokój! - odparowała nienawistnym tonem Eva.

Ale to takie proste. Kiedy popchniesz ukrytą dźwignię, otworzy się tajne przejście. Wbiegniesz w ukryty korytarz, popędzisz jak wiatr i uciekniesz im wszystkim. Wystarczy jedno małe pchnięcie.

Ale ja chcę umrzeć, wyjaśniła Eva. To jest spełnienie moich marzeń! Czemu chcesz wszystko popsuć?

- Stawia opór.

- Próbuje mówić.

- Mocniej zaciągnąć pas głowowy!

- Więcej narkozy!

Eva skupiła się i zaczęła spokojnie oddychać przez rurkę. Otworzyła oczy. Czerwone światło przeświecało przez wodę. Związana i zakneblowana leżała na pochyłej obsydianowej płycie. W jej ciele tkwiły wirujące platynowe igły. Wokół niej dreptali gorliwi chirurdzy o ścięgnistych, pokrytych łuskami twarzach, ubrani w gumowe maski i dociążeni pasami balastowymi. Pomrukiwali coś do mikrofonów, porozumiewając się między sobą. Z ich aparatury do oddychania unosiły się strugi pęcherzyków powietrza. Otaczali ją, jak drapieźniki zwierzynę.

Jej ręce same się poruszyły, gdy prowadzący operację chirurg wznosił sztylet - ceremonialne ostrze wyrzeźbione z twardego drewna i ostre jak szkło. Powodowane własną wolą złapały za rękojeść sztyletu, dołączając do zaciśniętych na niej dłoni chirurga. Cztery dłonie razem opuściły klingę, aż dotknęła mlecznobiałej blizny na mostku. Eva sama dokona

pierwszego nacięcia. Chirurg miał jej tylko pomóc.

Obce głosy spierały się w jej głowie, niewyraźne i swarliwe, niczym rozdyskutowane ławice krewetek, wznosząc się w swych piskliwych sporach ponad próg słyszalności, gdzie Eva nie mogła za nimi nadażyć. Spoza masek spoglądały na nią pyski płaszczyk i łososi. Miały małe czarne i martwe ślepie, które bardziej przypominały rany zadane rozpalonym pogrzebaczem niż prawdziwe oczy.

Eva cięła. Spod czubka sztyletu buchnęła chmura czerwieni. Chirurg mocniej zacisnął dłonie na rękojeści - lecz jego ręce były słabe. Eva wzięła głęboki wdech.

Wypluła ustnik, wyrwała chirurgowi sztylet i wbiła mu ostrze w szyję, prosto w kręgosłup. Wyszarpnęła broń z rany. Ten pan już dziś nikomu serca nie wytnie.

Odpięła pas pętający ją w talii i zwinęła się w kłębek. Pielęgniarka sięgnęła do jej kostek. Eva kopniakiem odtrąciła jej ręce i piętą gwałtownie wyprostowanej nogi trafiła prosto w biały, bezzębny pysk drugiego chirurga, asystującego przy operacji. Bam! Z miejsca uderzenia trysnęła mętna rdzawopomarańczowa ciecz.

Druga pielęgniarka, człapiąc ciężko, zaszła ją od tyłu. Eva odbiła się stopami od bloku obsydianu i wyprysnęła ku górze przez wysterylizowaną czerwoną wodę. Dotarłszy do kopuły, przytknęła dłonie do lustrzanej powierzchni i przysunęła do niej twarz. Po drugiej stronie zobaczyła ludzi zasiadających na widowni, jak w teatrze. Wszyscy wpatrywali się w nią wytrzeszczonymi oczami.

Oni mieli czym oddychać, ona nie. Uderzyła pięścią w szkło i nagle uświadomiła sobie, że w zębach trzyma sztylet. Ujęła go w dłoń i dźgnęła lustro. Uderzała raz za razem, aż zaczęło pękać. Woda naparła na szczeliny i pociekła na zewnątrz. Widzowie zerwali się z miejsc i stłoczyli w przejściach, ale Eva nadal nie mogła zaczerpnąć tchu.

Wbiła twarde drewniane ostrze w punkt, z którego rozchodziły się szczeliny w szkłe, i szarpnęła rękojeść w bok. Kopuła pękła w diabły, niczym czaszka, którą coś rozsadziło od środka, zrywając wszystkie szwy. Słona woda zaląła widownię. Porwana jej nurtem Eva wylądowała na czworakach na szorstkim zielonym dywanie. Teraz mogła swobodnie odetchnąć.

- Co ty wyrabiasz?! - wrzasnął jej preceptor.

Zerwała uczeptioną jej ramienia remorę i roztrzaskała jej łeb o podłogę.

Najwidoczniej była jakimś dziwolągiem, mutantem, skoro chciała żyć.

I udało jej się: przeżyła. I dożyła starości, w której stała się śmieszna i żalсна.

Teraz kolej na Naomi.

Naomi! Obudź się i opowiedz nam któryś ze swoich snów.

ROZDZIAŁ CZWARTY

DEZERCJA

Człowiek do pracy niestworzony
Jest jak ogródek zachwaszczony.
A kiedy chwasty porosną wszystko,
Jest jak pokryte śniegiem ściernisko.

- Gęsia Marna

Świecą gwiazdy. Wszyscy na tej głupiej pustyni śpią. Tata śpi. Mama śpi. Oboje śnią. Ale ja czuwam. Ja zawsze czuwam.

To też jest sen, ta pustynia. Sen, który doktor Labirynt wkłada nam do głów. Wiem o tym, bo sam mi tak powiedział.

Ja nigdy nie śnię. Za to czasem wypuszczam z głowy ducha, który za mnie śledzi różne wydarzenia; ogląda rzeczy, które dzieją się naprawdę, albo takie, które wydarzyły się dawno temu.

Akurat teraz, kiedy mama opowiadała swój sen, próbowałam się cofnąć do tamtej nocy, kiedy zjadłam tatę. Zjadłam go w kręgielni w Kolumbii Brytyjskiej, w 1990 roku. Ale przypadkiem cofnęłam się dalej, aż do 1970, przez co musiałam czekać dwadzieścia lat i patrzeć, jak upływa moje życie. Nie trwało to długo. Mnie się nigdy nic nie przydarza.

W głowie nadal jestem małą dziewczynką. To znaczy, że jestem upośledzona. Tak mi powiedzieli w obozie rekrutów.

Miałam piętnaście lat, kiedy wstąpiłam do armii kanadyjskiej. Było tak samo jak w sierocińcu: brzydka pogoda, gryzące koce, zapleśniałe baraki; człowiek musiał robić, co mu kazali, bo w przeciwnym razie zarzucano mu, że ma trudny charakter.

Dostałam przydział do obsługi instalacji radarowej na jakimś jukońskim zadupiu. Obsada posterunku w całości składała się z młodych i nieszczęśliwych kobiet. Przemieszkałam tam półtora roku, otepiała i z zamętem w głowie; jedynym moim zajęciem było zmywanie

betonowych posadzek. I tak miałam fart, bo na przykład moja dziewczyna nie miała żadnej roboty. Po prostu mieszkała na swojej pryczy i czytała kolorowe pisemka.

Któregoś dnia oficer dyżurna awansowała mnie na pomocnicę pomywaczki. Musiałam po dziesięć godzin dziennie sterczeć w zaparowanej kuchni, zeskrobywać brud ze stołkowych tac i przez podwójną warstwę szkła oglądać zmierzch nad wieczną zmarzliną.

Mieszkałyśmy w półokrągłych barakach z blachy falistej, na wpół zagrzebanych w ziemi i połączonych harmonijkowymi rurami. Niebo było wiecznie białe, odbite od lodu słońce boleśnie raziło oczy. Kiedy się wyszło na dwór, lód skrzypiał pod butami, a ziąb palił w płucach. Nie dostawałyśmy urlopów, nie było dokąd wyjść, na oczy nie widziałam żadnego radaru, aż w końcu zrozumiałam subtelną różnicę: ja wcale nie pełniłam służby w bazie wojskowej, tylko siedziałam w obozie odosobnienia.

Umówiłam się na spotkanie z moją opiekunką, Esther. Chciałam się ubiegać o przeniesienie. Esther zasugerowała mi rezerwy kriogeniczne. Zamrożonych żołnierzy. Dała mi do przeczytania kontrakt. Oświadczenie, że się zgadzam. Siedziałam na zimnym krześle w pustej stołówce i próbowałam czytać.

Oferta Korpusu Kriogenicznego wyglądała bardzo dobrze, wręcz za dobrze. Dawałaś się zamrozić na dwadzieścia lat. Odmrażali cię w wypadku stanu wojennego albo wojny lądowej, ale jeśli przez dwadzieścia lat nie byłaś im potrzebna, budzili cię i byłaś wolnym człowiekiem. Do tego emerytura weterana wojennego. Plus kredyt edukacyjny. Sprzedałam się.

Wysypałam sól na blat i zaczęłam palcem rysować po stole.

Kriostaza cieszyła się wtedy wielką popularnością na całym świecie. Wszyscy ważniejsi gracze w to weszli. To był taki ostatni akt wyścigu zbrojeń. W wiadomościach na bieżąco porównywano siły zamrożonych armii; dziennikarze mieli dość arsenałów nuklearnych, gazu paralizującego i broni biologicznej, na której nazwach można sobie połamać język.

Pojechaliśmy z Esther ciężarówką do przechowalni. Tam zamrażali żołnierzy. Jechaliśmy prostą jak strzała drogą przez omszałą tundrę i błotniste równiny. Przechowalnia składała się z parkingu, dwóch hangarów i pozbawionego okien biurowca. Wsiadłam z wozu i zasalutowałam Esther na pożegnanie. Zawróciła i odjechała.

Weszłam do środka przez drzwi z napisem ORIENTACJA. Recepcjonistka zaprowadziła mnie do pokoju odpraw, gdzie przy biurkach siedział chyba z tuzin umundurowanych mężczyzn i kobiet zajętych wypełnianiem formularzy. Po mniej więcej godzinie zjechali się wszyscy ochotnicy do zapuszkowania i rozpoczęła się odprawa.

Sierżant z obsługi technicznej podszedł do tablicy, przedstawił się, rozwinął ekran

projekcyjny i rozpoczął wykład o procedurach zamrażania, gęsto ilustrowany slajdami i naszpikowany fachową terminologią. Siedziałam w półmroku zauroczona elektronowymi mikrografiami, na których rozwidlające się dendryty neuronów przypominały czarne bezlistne gałęzie po burzy śnieżnej, a aksony zwisały z ganglionów jak koślawe sople.

Wiatrak projektora mruczał cicho, sierżant mamrotał monotonie, a moją uwagę przyciągnął kark siedzącego przede mną chłopaka. Od miesięcy nie widziałam chłopaka. Coś o tym, jak deterioracja jonów synaptycznych jest hamowana przez indukcję prądów szybkozmiennych w nadprzewodzącej cytoplazmie przy temperaturze rzędu siedemnastu kelwinów, następny slajd proszę, coś tam, coś tam, coś tam, proszę włączyć światło, pstryk, czy są jakieś pytania?

Pielęgniarka wzywała nas pojedynczo do gabinetu zabiegowego, gdzie położyli mnie na obitej skórą leżance, ogolili mi głowę, pachy i krocze; mieli tam takie stalowe michy pełne pianki do golenia. W wypełnionym wrzniętym sterylizatorze płały się dwie miedziane obręcze i mała gumowa uszczelka. Jedno i drugie mieli mi przyczepić do czubka głowy. To się nazywa trepanacja. Jaskiniowcy robili ją swoim zmarłym, ale wojskowi lekarze mieli inne powody. Płyn mózgowo-rdzeniowy zwiększa przy zamrażaniu objętość i jeśli nie znajdzie ujścia, miażdży mózg. Dlatego lekarze musieli każdemu z nas wywiercić w głowie mały otworek i zatkać go elastyczną membraną. Potem, w wypełnionych ciekłym azotem puszkach, membrany się wybrzuszą, ale nie pękają.

Jeden lekarz nafaszerował mi czachę środkiem znieczulającym, paru innych chwilę przy niej pogrzebało. Wołałam nie wiedzieć, co dokładnie robią.

Kiedy ze mną skończyli, odesłali mnie do szatni. Zdjęłam mundur, złożyłam go i upchnęłam w kwadratowym koszu z drucianej siatki z blaszanym numerem. Musiałam też oddać okulary, bez których ledwie widzę. Sierżant sztabowy odesłał całą naszą grupę do łaźni parowej, w której było pełno hamaków z białego nylonowego sznurka rozpiętych na aluminiowych stelażach. Kazał nam się położyć w hamakach i odprężyć.

- Czemu musimy kłaść się do hamaków, żeby się wykapać? - zdziwił się któryś z ochotników. Śmiesznie mówił. Chyba był upośledzony, jak ja.

- Taka jest procedura - odparł sierżant.

Począł, aż wyciągniemy się w hamakach, i wyszedł.

Rozległ się cichy syk i gęsta biała para wypełniła łaźnię. Gapiłam się w sufit. Było mi ciepło, chciało mi się spać. W pewnym momencie zorientowałam się, że nie mogę ruszyć głową. W moich myślach pojawiło się jedno słowo: kurara.

Poczułam czyjeś ręce na skórze: dotykały mnie, smarowały klejem, podnosiły mosiężne

krażki podłączone do czerwonych drucików i przyklejały mi je do kciuków, palców stóp, żeber... Głowa przetoczyła mi się na bok i spojrzałam w oczy kobiety na sąsiednim hamaku. Patrzyła na mnie tępo. Nie mogłam zamknąć oczu. Wszyscy byliśmy nadzy.

Po podłączeniu czerwonych drucików te same ręce odpięły mój hamak i przerzuciły mnie razem z nim do metalowego wózka, który następnie przewieziono do hangaru. Hangar był kryty zielonym pleksiglasem. Na szarej cementowej podłodze stały chromowane puszkiz dziewięciostopowej wysokości, prawdziwy las puszek. Ręce zaparkowały mój wózek przy wyznaczonej puszcze. Porównały numer puszek z tym na bransolecie zapiętej wokół mojej kostki. Sprawdziły i zanotowały odczyty wskaźników. Chwyciły masywną czarną wtyczkę z trzema bolcami, w której zbiegały się wszystkie moje druciki. Wspięły się po wbudowanej w ścianę puszkiz stalowej drabince (jej szczeble miały kształt litery C) na górę, do otwartego wjazdu, po czym sięgnęły do środka i wetknęły wtyczkę w wewnętrzną ścianę puszkiz. Zeszły z powrotem na posadzkę.

A kiedy was uśpią? - rozległ się głos w mojej głowie. *Mówili przecież, że was uśpią!*

Wśród puszek przemieszczał się żuraw na kółkach z operatorem i pomocnikiem. Zatrzymał się przy moim wózku. Pomocnik podczepił mój hamak do wysięgnika i żuraw dźwignął mnie do góry. Zawisłam głową w dół i zaczęłam się powoli obracać wokół własnej osi, gdy pomocnik operatora oklejał mnie lepką białą gazą ze szpuli.

- Gotowa - powiedział.

Wcale nie! - krzyczał głos w mojej głowie. *Wcale nie jest gotowa!*

Ale oni go nie słyszeli. Żuraw podniósł mnie wyżej, a potem opuścił w głąb ciemnego otworu. Oślepiiony i sparaliżowany Houdini, który próbuje dokonać niemożliwej ucieczki.

Przez zwoje gazy prawie nic nie widziałam. Moja postać rozlała się po chromowanej powierzchni puszkiz jak w gabinecie luster w wesołym miasteczku. Tonący w mroku róż owinięty w biel. Pomocnik wetknął głowę w krąg światła nad moimi stopami, wsunął do środka pętlę z drutu i zatrasnął pokrywę.

W całkowitej ciemności pompa próżniowa skradła mi ostatnie tchnienie. Podniebienie bolało mnie od ciśnienia sprężonego ciekłego azotu, który nie mógł się doczekać, kiedy wypełni puszkę. Modliłam się, żeby to czekanie wreszcie się skończyło. Żeby coś wypełniło próżnię.

I nagle oślepiająca krwawoczerwona błyskawica przepłynęła z jazgotem po tysiącu drutów i nerwów, na ułamek sekundy rozświetlając gęstniejącą chmurę delikatnych błękitnych kropelek. Trzask! Dla mnie było po wszystkim.

Pozbawiona dreszczy i skurczów. Pozbawiona błagań i łez. Zostałam tylko ja, tylko mój

mózg, napinający rdzeń kręgowy jak gumkę napędową samolotu zabawki. Szarpałam się, wilałam, próbowałam się wyrwać ze zmrożonej na wskroś ciemności, przeklętej ciemności, tak lodowatej, że można by ją kroić nożem, nożem tak ostrym, że odciąłby kciuk, a ten kciuk taki drętwy, że nie wszedłby w masło, a to masło takie małe, że śpiewa soplom i ścieka wnętrzem cienkiej igły, tak cienkiej, że ześliznęłaby się z łyżki, a ta łyżka jest tak gorąca, że wypala dziurę w języku, język zaś jest tak wilgotny, że przymarza do lodowatego parkometru, i tak tkwisz bez ruchu, tkwisz, tkwisz... Przyklejona. Na ulicy miasta, w brudnej śnieżycy, złapana za język.

Wcale nie pociesza cię fakt, że jesteś jedną z wielu, z mnóstwa małych dziewczynek w niebieskich kurteczkach, które stoją na chodniku z językami przymarzniętymi do parkometrów, dlatego że były takie niemądre. Dlatego że były niemądre, a także dlatego że ktoś, kogo nigdy nie udaje im się zobaczyć, regularnie wraca i wrzuca do parkometrów kolejne ćwierćdolarówki. Robi to po to, żeby prąd stale płynął przez parkometry i żeby nie wyskoczyły czerwone chorągiewki oznaczające upływ opłaconego czasu. Dlatego języki cały czas są przymarznięte - fioletowe, obolałe języki dziewczynek w niebieskich kurteczkach. I tak przez dwadzieścia lat.

Och, dziatki zbłąkane! - zabrzmiał głos w mojej głowie. *Strzeżcie się! Strzeżcie! Jesteście bowiem martwe. Strzeżcie się wieka, które zatraskuje się i dusi. Strzeżcie się kłujących lodowych roztoczy, rojących się w kostkach lodu, które unoszą się w wymarłych, ściętych mrozem rynsztokach, gdzie nikt nie wezwie do was karetki.*

Gryzący, musujący kwas z akumulatorów wypełniał bzycczeniem to miejsce, gdzie balony pękały jak skorupki jajek, a skorupki uginały się jak balony.

W niektóre dni wyobrażałam sobie, że jestem małą Holenderką, która wpadła pod lód, ślizgając się na łyżwach na zamrożonym stawie. Teraz pęza po lodowym suficie, nie mogąc znaleźć miejsca, w którym się pod nią załamał. Nikt jej nie może pomóc. Chybotliwe bańki jej krzyków wznoszą się w zielonej toni i przetaczają po białym, śliskim sklepieniu. Pod lodem rozpościera się łagodne błękitne niebo, ale jej piąstki nie są w stanie go przebić. Ostatni bąbel powietrza przywiera do niebieskich jak niebo warg. Nie trafia się żaden życzliwy drwal, który wyrębałby przerębem i ją uwolnił.

Nie spałam. Sierżant obiecywał, że stracimy przytomność i nic nie będziemy pamiętać. Ależ to było ordynarne kłamstwo! Im dłużej tak tkwiłam pod lodem, tym szybciej i więcej myślałam. Może tylko ja jedna nie spałam? Może takie już moje szczęście? Inne mrozotrupy się nie skarżyły. Żaden nawet nie miauknął. W hangarze panował całkowity spokój, było słychać tylko szum wetkniętych im w zęby pomp freonowych. Przez całą zimę na

pleksiglasowy dach padał śnieg, który potem, na wiosnę, topniał. Raz w miesiącu przychodził technik w zielonym kombinezonie i sprawdzał szczelność przewodów chłodzących. Mijały lata.

Przyszło mi do głowy, żeby uciec. Rozważałam tę kwestię w zaciszu swojego szpiku kostnego. Inne sztywniaki mogły sobie przespać życie niczym białe larwy w wąskich komórkach woskowego plastra - ale nie ja. Ja zaczęłam sobie grzebać w gardle, wymiotować i raz za razem przełykać słodkie wymiociny, aż zmieniły się w mleczko pszczele. Zmieniłam się.

Moi pomocnicy mnie zmienili. Miałam ich całą gromadę, tajemniczą bandę pomagierów, którzy wyglądali jak ludzkie hormony, ale obracali się w toksycznych kręgach. Wydawałam im instrukcje w najdalszych zakamarkach moich sztywnych, porażonych prądem tkanek, a oni kiwali głowami i szurając nogami, wychodzili na śnieżne pustkowia. Tam, bez świadków, dokonywali rzeczy, które przeczyły wszelkim prawom zoologii. Na bieżąco tworzyli nowe prawa, deformowali moją chromoplazmę, naginali ją do mojej woli.

Uważasz, że to nieprawdopodobne, tato? Za mało wiesz, żeby w ogóle się na ten temat wypowiadać. Jak myślisz, w jaki sposób załatwia się wszystko na tej planecie?

Pierwszym etapem przepoczwarczenia było rozmarznięcie. Stopiłam się, rozpuściłam w mieszaninie na wpół ściętych lipidów wątrobowych i lecytyny przysadkowej, stałam się kwaśnym mlekiem poczwarczym, które, dojrzewając, nabierało słodyczy. Kontynenty moich kodonów tonęły jak kamienie we wzburzonym komórkowym oceanie szumu życia. Można by pomyśleć, że przepadły na zawsze; że są nie do odzyskania po denaturacji do postaci brudnych, obszarpanych kart perforowanych walających się po podłodze Archiwów Dezoksyrybonukleinowych. Zapomniane odsyłacze do chybionych taktyk ucieczki. Rozmazane nie do poznania, zniszczone w stopniu uniemożliwiającym rekonstrukcję. Tak właśnie można by pomyśleć.

Kto by jednak tak pomyślał, myliłby się. Zawsze przecież zostaje kopia.

Zawsze zostaje kopia, ukryta bezpiecznie w zaciszu Biblioteki Życia i czekająca na wypisanie rewersu. Zachowania i struktury, wyczekujące swojej chwili od czasów mezozoicznych. Widziałam je. Pławiłam się w nich. Byłam rewersem. Prześliznęłam się przez lodową barierę i nawoływałam je ile sił w płucach. Brodziłam w morzu nieograniczonych możliwości. Następnego dnia mogłam się obudzić jako owsik albo mątwą. Albo rządęk ślicznych, martwych kosów, zawieszonych za pazurki na przewodzie wysokiego napięcia i odpadających jeden po drugim.

Moje oczy nauczyły się widzieć w roziskrzonym czarnym syropie. Moje palce znów

nauczyły się poruszać. Złapałam się sznurów hamaka i powoli się z niego wyczołgałam.

Nikt nie widzi w ciemnościach. Nikt się nie porusza w ciekłym azocie. A ja widziałam i poruszałam się. Nie byłam już poczwarką.

Na wewnętrznej stronie pokrywy znajdowało się koło otwierające zasuwę. Zwiesiwszy się z hamaka, zacisnęłam siną pięść na kole i szarpnęłam mocno. Szczęknięto i ze szczeliny wokół włazu buchnął obłok białej pary. Wypchnęłam właz i wyczołgałam się z puszki.

I zaczęłam spadać. Na szczęście, wlokący się za mną hamak wyhamował mój upadek i łagodnie zsunęłam się na posadzkę. Poczekalam, aż obeschnę, po czym usiadłam i zdarłam ze skóry wszystkie mosiężne krążki. Przesunęłam dłonią po głowie i poczułam pod palcami krótką szczeć. Włosy mi odrastały.

A potem stałam już na parkingu pod gwiazdzistym niebem, ubrana w zielony kombinezon. Wszędzie dookoła rosły sosny. Poszarpane chmurki mojego oddechu odpływały w noc. Skąd te sosny? Musieli mnie gdzieś przewieźć.

Nie było reflektorów, syren ani pokrzykujących strażników - tylko ja sama, stojąca w kałuży deszczówki. Dwa wojskowe dżipy. Ogrodzenie zwieńczone drutem kolczastym. A za ogrodzeniem drzewa, gwiazdy i asfaltowa droga. Czyżby zamrozili wszystkich na świecie? Nie. Zamierzałam zdezerterować, i to najszybciej jak się da. A do tego potrzebne mi były buty.

Jeździłam zgniłozielonym dżipem w kółko po parkingu. Mgła w snopach światła z reflektorów. Opony rozchlapujące wodę w kałużach. W kółko, w kółko. Leciałam jak kos w eksplozjach rozświetlonej wody, przemoczona do suchej nitki. I śmiałam się jak obłąkana.

W ogrodzeniu była brama, której zamknięte skrzydła ktoś spiął łańcuchem. Reflektory zanurkowały prosto w nią. Dżip wyrwał ją z ogrodzenia, podskoczył na niej i powiózł mnie w las.

Droga służyła po stokach ciemnych wzgórz, pokrytych jodłową sierścią i porośniętych gąsienicami jeżynowych zarośli. Nad drzewami przelewała się rzeka gwiazd. Pałki i trojeść machały do nas z przydrożnego rowu, zachęcały, żeby do nich zjechać, ale dżip mocno trzymał się oponami grzbietu drogi.

Droga przypominała czarnego węża z brzozami zamiast żeber. Dżip znajdował się w jego brzuchu. Włosy siekły mnie po oczach; rosły błyskawicznie i ciągnęły się jak syrop karmelowy. Szczękałam zębami. W uszach grały mi marimby i harfy eolskie. Poboczem maszerowały czerwone odblaski na słupach - płonące iskry, które szybko zostawały w tyle.

Śpiewałam wymyślone na poczekaniu piosenki w rytmie szczękania moich zębów. Wyrwałam się z wojska. Jeżeli włosy będą mi dalej rosły w takim tempie, do rana będę miała

prawdziwą szopę kudłów; mogłabym uwić sobie w niej gniazdko i się w nim ukryć, a żandarmeria nigdy mnie nie znajdzie. Zamieszkać w niezbadanych jaskiniach we wnętrzu pasma dzikich gór zbudowanych z brudnych blond włosów.

Dżip wycinał świszczący tunel w nieruchomej nocy i muzyce świerszczy. Turbiny wyśpiewywały metanolowe songi, które przez karoserię przenosiły się wprost do moich kości. Wiatr zawodził symfonie odmrożeniowe, którymi jak kolcami nabijał płatki moich uszu. Rzep i oset. Dąb i wiąz. Mgła przeszła w mżawkę, kłuła mnie w twarz, ściekała strużkami po przedniej szybie. Robiło mi się niedobrze, kiedy próbowałam śledzić je wzrokiem. Włochata szara ćma wycięła stroboskopowy zygzak w świetle reflektorów i rozbiła się na szybie, brudząc ją żółtą mazią. Plask!

Niezła sztuczka, pomyślałam.

Z przodu, za wzniesieniem, las zaczynał świecić i zza pagórka wyłoniła się para reflektorów, która zaraz znów zniknęła mi z oczu. Przypomniałam sobie ideę pasów ruchu i przepisy drogowe i zjechałam na prawo. Pamięć pomału mi wracała.

Reflektory pędziły w dół zbocza, aż w końcu połączyły się z ciężarówką szeroką jak cała droga i dwa razy wyższą. Na spotkanie ze mną gnały nieprzeliczone tony światła i rozplaszczających wszystko opon. Dżip wrył się w ścianę lodowatej wody. Usztywniłam ręce w łokciach i zaparłam się o kierownicę. Płuca wypełnił mi dieslowski odór, woda pociekła za kołnierz. Kontakt z drugim człowiekiem.

Deszcz rozpadał się na dobre: łomotał kanonadą o jezdnię, terkotał głośno na masce wozu. Dżip wyjechał zza zakrętu i nagle znaleźliśmy się wśród schludnych domków na przedmieściach. Meble ogrodowe z białego metalu i rowerki na wysypanych białym żwirem podjazdach. Kościół. Remiza strażacka. Warsztat samochodowy z podwórkiem pełnym wraków.

Kilka pytań nie dawało mi spokoju. Czy żandarmi pomyślą, że uciekłam, czy że zostałam wykradziona? Czy przekazali już mój rysopis lokalnej policji? Czy do niego pasuję? Jak to możliwe, że widzę dobrze bez okularów? Jak długo dam radę prowadzić, nim zasnę? Od dwudziestu lat nie spałam. Ani nie jadłam.

Dżip minął w wolnym tempie biały gmach ozdobiony sztukaterią, na którego dachu świecił pomarańczowy neon KREĞIELNIA. Przy drzwiach drugi neon, zielony, obwieszczał PIWO I PIZZA. Dżip wjechał na parking i zgasił silnik.

Wysiadłam, cała zeszywniała. Łało jak z cebra. Usłyszałam dźwięki muzyki. Nie miałam butów, nie miałam pieniędzy, nie wiedziałam nawet, czy ludzie nie mówią tu w jakimś innym języku. Spojrzałam na ćmę rozplaszczoną na szybie. Poruszyła jednym odnóżem. A może to

deszcz nim poruszył? Para ciekła mi z ust. Zdrapałam żółtą plamę palcem wskazującym, który następnie wytarł się o mój język. Wyczułam, że ćma wciąż żyje, więc ją przełknęłam. W moim brzuchu zmieniła się w ciepły, czerwony węgielek. Nabrałam odwagi.

Przeszłam przez parking i przez szklane drzwi weszłam do środka. Stałam na gryzącym zielonym dywanie wyściełającym niską, dudniącą echem stodołę. Durna muzyka wylewała się z wbudowanych w sufit głośników. Zielony dywan ciągnął się przez całą długość budynku. Stojaki z kulami do kręgli i pochylnie prowadziły na boki, do poszczególnych torów. Z prawej strony miałam dwadzieścia torów z lakierowanego drewna, dziesięć stołów punktowych i pięć półkoli z ławek. Pod ścianą naprzeciwko wejścia stały automaty z przekąskami, mikrofalówka, automaty do gier i budka kasjera.

Kasjerem był łysawy mężczyzna o przekrwionych oczach, ubrany w hawajską koszulę. Siedział na stołku i czytał opartą o kasę książkę w miękkiej oprawie. Za jego plecami gruby dzieciak na chudych nóżkach stał na krześle i grał na automacie. Dwie osoby grały w kręgle: mężczyzna w bejsbolówce i kobieta w czerwonej sukience. Udałam, że interesuje mnie automat z przekąskami. Chipsy kukurydziane i chrupki serowe w foliowym opakowaniu. Wszystko martwe.

- Ej! - zawołał do mnie kasjer. - Chcesz zagrać?

Podeszłam do kasy, kapiąc wodą na dywan. Miałam nadzieję, że nie widać moich bosych stóp.

- P-p-pewnie - wyjąkałam, szczękając zębami.

Ze schowka w głębi boks wyciągnął buty i z rozmachem walnął nimi o ladę. Z notesu z żółtymi kartkami wydarł arkusz punktowy, z pudełka wyjął krótki ołówek.

- Miłej gry.

Stałam przy stojaku z kulami, udając, że waham się, którą wybrać. W rzeczywistości obserwowałam tamtą grającą dwójkę. Oboje siedzieli na ławce, pograżeni w rozmowie. Kobieta była piękna; lśniące czarne włosy sięgały jej do pasa. Nosiła dużo meksykańskiej biżuterii: srebra i turkusów.

Mężczyzna jadł pizzę, zapijał ją piwem z puszki i gapił się na biust kobiety. Miał na sobie wyblakłą niebieską koszulę i jakieś dziwne rękawiczki... Nie, to nie były rękawiczki, tylko protezy. Sięgnął do stojącego obok pudełka po następny kawałek pizzy i podał go kobiecie. Pokręciła głową. Niteczka mozzarelli łączyła pizzę z pudełkiem.

Usiadłam na dywanie i włożyłam buty. Zawiązanie sznurówek zajęło mi wieki; palce miałam jak z ciastoliny. Wstałam i wzięłam do ręki kulę, czarną z czerwonymi żyłkami. Przeszłam z nią na tor, mijając ławkę, na której siedzieli mężczyzna i kobieta. Podeszwy

moich butów skrzypaneły na gumowej macie.

Położyłam kulę w rynnie, usiadłam przy stole, przymocowałam arkusz punktowy do laminowanego blatu. Co dalej? Byłam tak wyczerpana, że było mi wszystko jedno. Najchętniej siedziałabym tak bez ruchu... Skrzyżowałam ręce na stole, oparłam na nich głowę i spod zmrużonych powiek patrzyłam, jak plamy niebieskiego światła tańczą za firanką moich długich, mokrych włosów. Znow zaczęłam podglądać tamtych dwoje.

Mężczyzna bez rąk w zadumie wpatrywał się w puszkę z piwem. Kobieta nachyliła się do niego, osłoniła usta dłonią i szepnęła mu coś na ucho. Uniósł głowę i pocałował kobietę w policzek, a ona wstała i podeszła do stojaka z kulami. Nacisnęła guzik, osuszyła ręce w strumieniu ciepłego powietrza. Miała różowe paznokcie. Uśmiechnięty półgębkiem Alex patrzył, jak przyciska kulę do piersi. Kula była przezroczysta, w przejrzystym tworzywie zatopiono drobinki brokatu. Kobieta stanęła na torze dziesiątym, maksymalnie skoncentrowana. Była boso. Na końcu toru w plamie światła stały trzy kręgle: dwa z lewej strony i jeden z prawej.

- Nie uda ci się! - krzyknął Alex. - Choćbyś rzucała przez milion lat!

- Zamknij się i patrz - odparła Eva.

Zbliżyła się do linii rzutu, schyliła z wdziękiem - i kula poleciała prosto na bandę. Łubudu! Eva odwróciła się z uśmiechem do Aleksa, który parsknął śmiechem.

Rozmigotana kula wtoczyła się skrajem toru za gumową klapkę. Maszyna do ustawiania kręgli zgarnęła metalowym ramieniem stojące kręgle i postawiła dziesięć nowych, równiutko rozlokowanych. Dziesięć białych szyjek w dziesięciu parach szczypiec. Szczypce rozluźniły uścisk i zniknęły. Jeden kręgiel jeszcze się zachybotał, a potem dziesięciu dzielnych żołnierzyków zaczęło wyczekiwać następnego bombardowania.

Alex wessał pianę z krawędzi puszek, ostrożnie odstawił puszkę na podłogę i niezbyt pewnym krokiem ruszył po kulę.

- Jesteś nawalony - powiedziała Eva. - Nie wygrasz tego. Nie masz szans.

Alex wziął czarną kulę i stanął na polu gry na torze dziesiątym, patrząc spode łba na kręgle i chwiejąc się na nogach. Pochylił się, zaszarżował, zatrzymał się gwałtownie przed linią i rzucił. Kula dwa razy odbiła się od toru i ze złowieszczym łoskotem runęła na kręgle. Dziewięć z nich eksplodowało w mrok.

Wiedziałam, że powinnam wstać i się poruszać. Gdybym zasnęła przy stole, kasjer by mnie wyrzucił, a wtedy umarłabym z zimna, głodu i samotności. Podeszłam więc do stojaka, uruchomiłam suszarkę, ogrzałam ręce. Kiedy strumień powietrza ustał, włączyłam go jeszcze raz. Miałam sine dłonie. Wybrałam kulę i skierowałam się na tor numer dwanaście, gdzie

czekała już moja własna eskadra grubiotkich białych kręgli z chudymi szyjkami w czerwone paski. Najdzielniejszy z nich stał na przodzie, sam jeden. Dwa następne, nie mniej odważne, przycupnęły tuż za nim.

Za moimi plecami jakaś gra bekała i piszczała mechanicznie. Kosmiczna flota gryzła międzygwiazdny piach. Zerknęłam w lewo. Alex jadł pizzę. Eva otwierała piwo.

Nie powinnam była tam być. Należało się ukryć w lesie i zasnąć wśród sosnowych igieł. Ubranie miałam kompletnie przemoczone. Byłam poszukiwana. Nie miałam pieniędzy, miałam za to gumową uszczelkę w czaszce. Ale skoro już stanęłam na polu gry, zebrałam siły i drżącą ręką posłałam kulę na tor. Jakimś cudem znalazła drogę do celu i nawet strąciła jeden kręgiel - tchórza, który chował się w tylnym szeregu. Automat chwycił pozostałą dziewiątkę za szyjki i podniósł w powietrze, a po chwili komplet kręgli wrócił na stanowiska. Moja kula wróciła.

Musiałam na chwilę usiąść.

W arkuszu punktowym w kolumnie przeznaczonym na wpisanie imienia wpisałam „N”, a potem chwyciłam się mocno blatu i zamknęłam oczy, ponieważ cała kręgielnia zaczęła się przewracać. Ołówek sturlał się ze stolika. Trzeba było iść spać do lasu. Mrozotrup nie może zamarznąć na śmierć. Mróz mu nie szkodzi.

Za to odwilż zdecydowanie tak.

- Ta pizza jest zimniejsza od piwa - zauważyła Eva.

- Ciało stałe stygnie szybciej niż ciecz - odparł Alex. Wtulił nos w jej włosy i właśnie dobierał się do suwaka jej sukienki.

- Daj spokój. - Odepchnęła go. - Jesteś do niczego. Wstawaj i graj.

- Ja jestem do niczego? Jeśli naprawdę tak myślisz, to chyba powinnaś zobaczyć tę kosmitkę na sąsiednim torze.

- Zamknij się.

- Cała się trzęsie z zimna.

- Zamknij się! Ona cię słyszy.

- Wcale nie. Wygląda jak trup.

- Ch-ch-chciałabym b-b-być t-t-trupem - powiedziałam.

Otworzyłam oczy tylko na chwilę, żeby położyć się na boku na najbliższej ławce i zwinąć w kłębek.

- Wiem, jak jest - powiedział Alex.

Ktoś dotknął mojej ręki.

Eva siedziała obok mnie. Wyglądała jak zbyt mocno umalowany meksykański anioł.

Pomogła mi usiąść.

- Możesz coś zjeść? - zapytała.

Pokręciłam głową, na co ona wetknęła mi kawałek pizzy w dłoń. Dotknęłam go językiem, ale to była zwykła tektura z keczupem. Martwa rzecz. Pizza była martwa, ja umierałam, niektóre zdziury wyglądają jak meksykańskie anioły, a niektórzy mężczyźni nie mają rąk.

- Jak ci na imię? - zapytała.

- N-N-Naomi.

- Mieszkasz gdzieś niedaleko?

- N-n-nie.

- Lubisz kręgle? Pokręciłam głową.

- Ja też nie, ale teraz pracuję. Jestem na randce.

- J-j-jak ci na imię? - zapytałam.

- Eva.

- Co się stało twojemu przyjacielowi?

- Nie jest moim przyjacielem. Poszedł się wysikać.

- Chodziło mi o to, co mu się stało w ręce?

- A kto to wie? Nie przejmuj się nim.

Miała śniadą twarz, gładką i świetlistą. Po jej włosach pełgały błękitne ogniki.

- Podoba mi się twoja twarz - powiedziałam.

Odrzuciła włosy na ramię.

- Cieszę się - odparła. - Dużo kosztowała.

- Masz sine ręce?

- Nie, za to ty masz sine wargi.

- Tak p-p-powinno być. Dopiero co wyszłam z zamrażarki.

- Tak właśnie wyglądasz. Chcesz ciepłego piwa? Jeszcze raz pokręciłam głową.

Włosy sięgały mi już poniżej ramion. Eva owinęła sobie srebrny łańcuszek wokół palca.

Zastanawiałam się, o czym myśli. Położyła mi rękę na ramieniu.

- Posłuchaj, Naomi. Nie chcę się wtrącać, ale jesteś przemoczona do suchej nitki i zachowujesz się jak postrzelona. Może powinnaś wrócić do domu?

- Ja tu nie mieszkam. Jestem żołnierką. Chce mi się spać. Nie mam pieniędzy. Uciekłam. Nie spałam od dwudziestu lat. Chcę spać!

- Nie podnoś głosu. - Eva rozejrzała się po kręgielni. Alex właśnie do nas wracał. - Posłuchaj mnie uważnie, Naomi. Wyjedziemy stąd, ty i ja. Moim samochodem. Ale najpierw muszę z kimś porozmawiać. Siedź tutaj, nigdzie się nie ruszaj, rozumiesz? Zaraz wrócę.

Alex usiadł ciężko obok nas.

- I trzymaj się z daleka od tej narąbanej ośmiornicy - dodała Eva.

- Ciekaw jestem, skąd u niej to poczucie wyższości - powiedział Alex. - Cześć, jestem Alex. Podałbym ci rękę, ale pomyślałabyś, że to obrzydliwe. Chcesz wytrzeć nos? Proszę, przyniosłem chusteczki. Dokąd ona poszła? Jak się nazywasz?

- Naomi.

- Ładnie.

- Wcale nie.

- Ależ tak.

- Co to za rzeczy masz zamiast dłoni?

- Po prostu... rzeczy.

- Dziwne są.

- Wiem. Ale ja je lubię.

Położył prawą rękę na oparciu ławki, muskając moje plecy. Była ciepła. Zrobiłam się senna. Odgarnęłam włosy i przetarłam oczy.

- Włosy cały czas mi rosną - powiedziałam.

Alex zrobił mądrą minę i pokiwał głową.

- Nawet po śmierci. Rosną, jakby nie było jutra... Może zjadłabyś gorącej zupy? Nie zimno ci?

Palcem dotknęłam jego górnej wargi. Była szorstka. Wciąż czułam jego ciepłą rękę za plecami.

- Proszę... - powiedziałam. - Proszę, bądź cicho. Chcę spać.

Spojrzałam w jego smutne piwne oczy - a on nagle, jakbym rzuciła czar, zamknął je i zaczął chrapać.

Ja też zamknęłam oczy, żeby się przekonać, czy i mnie uda się zasnąć. Pod powiekami zobaczyłam staw, w którym utopiła się mała Holenderka. Lodowe panny w srebrnych sukniach z cekinami kręciły piruety nad jej głową. Tańczyły na jej grobie. Nie mogłam na to patrzeć.

Ty chrapałeś, a ja czekałam i trzęsłam się z zimna. Żandarmi znajdą mnie i znów zapuszkują. O ile wcześniej nie umrę. Nie mogłam się rozgrzać. Głowa mi pękała. Smutek rozsadał pierś. Objęłam cię ramionami.

I wtedy usłyszałam muzykę. Z daleka dobiegały cudowne dźwięki lir, marimby, grających beczek, bałajek.

- Aleksie? - szepnęłam ci do ucha. - Zatańcz ze mną.

Zsunąłeś się z ławki, z brodą wtuloną w moją szyję. Pomogłam ci stanąć na nogi, a potem trzymałam cię i razem kołysaliśmy się w rytmie muzyki. Zdjęłam ci czapkę i dotknęłam włosów na potylicy. Przycisnęłam czoło do twojego czoła. Moje jasne, delikatne włosy zjeżyły się w narastającym między nami polu elektrycznym. Zamknęłam oczy i wsunęłam ci język do ust. Chciałam ci nim przebić podniebienie jak kolcem i ugodzić cię w mózg. Chciałam, żebyś mnie pokochał.

Para buchała z mojego kombinezonu. Kłujące żółte przewody wylażyły ze mnie, przeciskały się na wolność, wiły się i dygotały, przebijając ubranie. Kiedy rozchyliłam powieki, widziałam je wyraźnie przez zasłonę rzęs. To moje nerwy wylażyły z ciała i rosły błyskawicznie jak pędy jeżyn na odtworzonym w przyspieszonym tempie filmie przyrodniczym. A kiedy taki nerw wypuścił dostatecznie długi pęd, bezkruwawo wnikał w twoje ciało, Aleksie. Obejmował cię w posiadanie, wiązał ze mną, szeptem wsuwał ci się za kołnierz albo do rękawa, oplątywał, tworząc gąszcz. Im mocniej cię przytulałam, tym większa gęstwina nas otaczała.

Im była gęstsza, tym bardziej się ze mną stapiałeś. Miałam kłopot z podtrzymaniem cię, kiedy tak kołysaliśmy się w takt muzyki. Ważyłeś tonę. Ja też ważyłam tonę. Stawaliśmy się coraz bardziej przemieszani i coraz mniej podobni do ludzkich istot. Nie obchodziło mnie to. Płonęłam. Oddychałam czworgiem nozdrzy. Wiedziałam, że będę żyła.

Zdawałam sobie sprawę, że kasjer czmychnął w mroki nocy, krztusząc się ze zgrozy. Chłopiec skulił się ze strachu pod swoim automatem i zsikał w gacie. Ja jednak czułam tylko twój wzwód, ocierający się o moje biodro.

Chciałam ci powiedzieć mnóstwo rzeczy, lecz mój język nie mógł odnaleźć twojego ucha. W końcu jednak namacał lewą trąbkę Eustachiusza, wśliznął się do środka i wkręcił w głąb ślimaka. Wtedy mogłeś mnie naprawdę usłyszeć, a ja miałam pewność, że będziesz słuchał. Głęboko w tej różowej muszelce. Nerw w nerw.

Alex?

Kto to?

Zjadam cię żywcem.

Co?

Zjadam cię żywcem. Przeszkadza ci to?

Plastikowa dłoń spadła na podłogę.

Gdzie jestem?

We śnie.

Druga dłoń odpadła i wturlała się pod ławkę.

Skoro to sen, to chyba nie zaboli... Śmiało. Zjedz mnie żywcem.

Spodnie miałeś spuszczone do kostek, mój język tkwił w twoim uchu. Wydawało ci się, że nadal śniesz swój mokry sen, który w jakiś dziwny sposób się wykoleił. Przyszło ci do głowy, że mógłbyś otworzyć oczy, ale miałeś dość oglądania makabrycznych wypadków. Nie musiałeś znać wszystkich krwawych szczegółów.

Wiatr świszczwał mi w płątaniu nerwów. Tańczyły w nim jak delikatne koronki, cudnie misterne i lśniące od rosy. A potem wiatr zaskowyczał głośniejsze i porwał nas ze sobą. Pochłonał nas buczący lodowiec. Tuliliśmy się do siebie pod lodem, oddychając jedno ustami drugiego. Stopiliśmy się w jedno. Przetrwaliśmy.

Przytul mnie, Aleksie. Przytul mocno. Wejdz, a ja zdradzę ci tajemnicę.

W ten sposób zwabiłam cię w głąb swojej paskudnej nieśmiertelności. W ten sposób dałeś się ukrzyżować na szarłacie samotności młodej kobiety. W ten sposób stałam się twoim więzieniem. Biedny Alex.

Zdradzę ci tajemnicę. Dokładnie wiedziałam, co robię. Wszystko zaplanowałam. Wessałam cię w siebie. Wiedziałam, że tak się nie robi, ale co innego mi pozostało? Byłam przemarznięta. Byłam umierająca. Byłam samotna.

Wybacz mi, tato. Wybacz mój pradawny grzech. Wybacz, że byłam zmarznięta. Wybacz, że byłam głodna.

Wybacz, że cię potrzebowałam.

ROZDZIAŁ PIĄTY

CENTRUM STEROWANIA BURZĄ

Zjawiska, których jest pięć rodzajów, są uciążliwe lub nieuciążliwe. Poznanie prawdziwe, błąd poznawczy, fantazjowanie, sen głęboki, przypomnienie².

- Patańdzali

Jedno ze słońc weszło nad piaskowcowym płaskowyżem na południe od nich, budząc na zbitym piasku długie na mile rdzawoczerwone cienie. Niebo miało odcień spranego indygo, jak bańka mydlana na chwilę przed pęknięciem.

Dookoła rosły tylko twarde krzewy i bylice o drobnych żółtych kwiatkach. Światło roztopiało osiadły na nich nocny szron. Przez pustynię wił się suchy wąż o piaszczystym dnie i stromych ścianach. Wzdłuż niego rosły judaszowce. Wszędzie było widać upstrzone pomarańczowymi i jasnoniebieskimi porostami wychodnie kruchych zielonkawych łupków.

Brontozaur spał na dnie wężu, nieruchomy jak stercząca z ziemi szara skała. Nogi podkulił pod siebie jak wielbłąd, szyję skręcił i wyciągnął wzdłuż tułowia, a głowę złożył na piasku, gdzie przypominała długie na jard ostrze szpadla z obciążonej skórą kości. Prawą stronę masywnej szczęki wtulił w swój bark, lewą w kręgosłup starej kobiety. Jego górna warga poruszała się nieustannie. Włochate nozdrza na czubku głowy dmuchały ciepłym tchnieniem, które poruszało długie siwe włosy kobiety.

Kobieta spała na boku, z głową opartą na butach ułożonych na kopczyku piasku. Pod policzek podłożyła sobie lewą rękę. Okulary przeciwsłoneczne schowała do kieszeni wystrzępionego kombinezonu - pomarańczowe szkła, miedziane oprawki, boczne osłonki z drucianej siateczki.

Alex spał we wnętrzu kobiety. Odkasznął. Poruszył biodrami. Z jękiem przyciągnął kolano do piersi. Powoli rozprostował lewą rękę, sięgnął za plecy i namacał łeb Naomi.

² Przeł. L. Cyboran.

Poranek był zimny. Upłynie jeszcze kilka godzin, zanim pustynia się nagrzej. Alex nie otwierał oczu.

Eva już się obudziła. Przed snem zaparkowała dżipa przy gęstej kępie opuncji, której łodygi - płaskie zielone płyty tworzące łańcuchy - przebiły się przez masę uschniętych, zbrązowiałych szczątków. Wyprostowała wysięgniki wszystkich baterii słonecznych - czworokątów czarnej krzemionki - wystawiając je do słońca, żeby złapały pierwsze jego promienie.

Wzeszło drugie słońce: oślepiająca gwiazda pochwycona we wcięciu między dwoma wierzchołkami górskimi. Eva patrzyła na wschodzące słońca.

Trzy głosy szemrały jak wiatr w dzielącej ich przestrzeni.

Kręgielnia? - pomyślał Alex. *Zaraz, nie tak szybko: jak dostałaś się z zamrażarki do kręgielni?*

Byłam duchem-kanibalem, odparła w myślach Naomi. *Nim zabłądziłam, musiałam należeć do plemienia ludożerców, Eskimosów-kanibali, zamieszkujących arktyczne pustkowia.*

Ten kawałek chyba przespałam.

Naomi przetoczyła się na grzbiet i rozprostowała nogi. Żałowała, że nie ma nadgarstków, żeby je też rozprostować, ale dzisiaj musiały jej wystarczyć kostki. Z zamkniętymi oczami słuchała, jak stojąca obok kaktusa Eva mówi sama do siebie:

Kiedyś mi powiedziała, że mam piękne dłonie. Leżałyśmy na wznak na piasku. Słońce zachodziło. Moje ręce tańczyły na tle nieba, tkając pajęczę sieci, a moja córka patrzyła.

Nadal uważam, że masz piękne dłonie, zapewniła ją Naomi.

Zamknij się, pomyślała Eva. *Nikt cię nie pytał o zdanie.*

Naomi uchyliła powiekę, uniosła błonę mrużną. Czym była dzisiaj rano? Kobieta? Papuzką? Kocem elektrycznym? Przetoczyła się na bok i dźwignęła zeszywniałą szyję.

Alex podparł się na łokciu. Westchnął, wpatrzony w wyschnięte łożysko potoku. Ziarna piasku sypały mu się z włosów. Wstał, wdrapał się na brzeg wąwozu, opuścił kombinezon do kostek, przykucnął i opróżnił pęcherz.

Naomi wygramoliła się ciężko z zagłębienia, pochyliła łeb, wyrwała zębami kępę bylicy i zaczęła ją przeżuwać, razem z piaskiem i korzeniami.

Nie przypominam sobie tego zielska, pomyślała. *Musiało wyrosnąć w nocy.*

Eva poprawiła kąt ustawienia ogniw fotowoltaicznych. Zahuczał serwowmotor. Skrzypnął zawias. Wyobraziła sobie, że jest ogromnym czarnym żukiem wygrzewającym skrzydła w słońcu.

Naomi wykręciła łeb ku wschodowi.

- W którą stronę szliśmy? - spytała, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

- Na zachód - powiedziała Eva. - Do jakiejś drogi.

- Niezły plan.

Brontozaur odwrócił się tyłem do obu słońc i ruszył przez pustynię. Tratował niskie zarośla i opuncje, ale omijał judaszowce. Eva uruchomiła rozruszniki i poczuła wzrost ciśnienia oleju w przekładni. Wycofała się spod opuncyjowego żywopłotu, schowała baterie słoneczne i skręciła w ślad za Naomi.

Alex przysiadł na kamieniu, rozmasowując obolały kark i ramiona. Siedział na środku nierzeczywistej pustyni, uwięziony w ciele żony, i marzył o kawie i papierosie. Spojrzał na swoje dłonie. Dawno temu, kiedy był człowiekiem z krwi i kości, kochał się z tą kobietą - tylko raz, ale to wystarczyło, żeby na wieki się w niej zakochał.

Moje życzenie się spełniło, pomyślał. Bez reszty posiadam przedmiot mojego pożądanego. Posiadam go na amen. Umarłem i poszedłem do nieba. Szkoda, że nie jestem martwy. To by mogło trwać wiecznie. Wszystko dzieje się w naszych głowach.

Ja dziś nie mam głowy, zauważyła Eva. A jeśli nie przestaniesz się tak nad sobą użalać z samego rana, wyrzycam cały płyn chłodniczy.

Biały piasek i żwir przyjemnie szorowały Naomi po brzuchu. Opony Ewy toczyły się po białym piasku i żwirze pomiędzy odciskami stóp brontozaura.

Dżip nie ma głowy, zgodził się z nią Alex. Za to dinozaur ma. Mógłbym uwierzyć w dinozaura, ale nie w Naomi. Ten brontozaur to oczywiste urojenie, zbieg z niskobudżetowego japońskiego filmu o potworach. Spójrz na te spoiny na lateksie. I te workowate kolana. A te góry dookoła? Spod masy papierowej wyłazi metalowa siatka.

Naomi i Eva znalazły się na prerii. Rajgras gęsto porastał kamienistą ziemię. Po przejściu gadzich stóp i przejechaniu opon samochodu przygięte łodyżki prostowały się z trzaskiem w porannym słońcu.

Alex zaczął krzyczeć. Pół mili od niego Naomi i Eva zgodnie jęknęły.

Zrób coś, matko. Zawróć i go rozjedź.

Nie przejmuj się nim. Dogoni nas.

Jest odrażający. Chciałabym, żeby dostał zawału.

Nie, kiedy ma moje serce, zaoponowała Eva.

Wszystko przez tę miniaturyzację, pomyślał Alex. Zostaliśmy zminiaturyzowani przez ekipę od efektów specjalnych do filmu Zaginiona Wyspa Dinozaurów. Ten klimat mnie zabije. Robale legną mi się w mechanizmach.

Wiesz, co mi się podoba w Aleksie? - spytała w myślach Eva.

Nie, odparła Naomi. Co?

Też nie wiesz? To fatalnie. Bo ja całkiem zapomniałam. Ale coś w nim musi być.

Alex znalazł swoje buty, włożył je, zasznurował i ruszył przez pustynię, kierując się odległym buczeniem silników dżipa.

Eva objechała kępe judaszowców, podskoczyła na kamieniach. Zatrzymała się i odwróciła wieżyczkę z kamerami.

- Tam jest droga - powiedziała.

Naomi uniosła łeb. Eva miała rację: było widać słupy telefoniczne i całą resztę.

Brontozaur i dżip wspięli się na zwirowy nasyp i znaleźli się na pasku asfaltu ciągnącym się po horyzont z północy na południe. Naomi położyła się na jezdni. Czekwały na Aleksa, który w końcu wgramolił się na nasyp, z zieloną butelką po napoju gazowanym w ręce.

- Cywilizacja - wychrypiał.

Ruszyli drogą na południe i po mniej więcej półgodzinie dotarli do tablicy z napisem ARIZONA, DROGA NR 80. Nieco później natknęli się na drogowskaz RODEO, NOWY MEKSYK, 3 MILE. Naomi przystanęła na krótki odpoczynek i dyszała na słońcu, z wywieszonym językiem. Obejrzała się przez ramię i zmrużyła oślepienie oczy. Poczochrała się łbem o kamień. Swędział ją jęczmień na dolnej powiece.

- Mam pytanie - powiedziała. - Skąd się wzięły trzy słońca?

- Alex? - odezwała się Eva. - Naomi o coś pyta.

- Trzy słońca - powtórzyła Naomi. - Jak to możliwe?

- Niemożliwe - odparł Alex. - Z astrofizycznego punktu widzenia nie mają racji bytu. Z czego wynika kilka możliwości. A: jesteśmy wszyscy martwi i utknęliśmy w jakimś kiczowatym czyścicu. B: jedno z nas ma zwidy albo śni jakiś długi, zawiły sen. Oraz C: słońca są złudzeniem indukowanym przez deformację czasu.

- Deformację czasu?

- No tak. Jeżeli każde z nas funkcjonuje w osobnym czasie, możemy obserwować trzy różne słońca w trzech różnych położeniach. To by sugerowało istnienie wszechświata kieszonkowego.

- Ale my nie jesteśmy w niczyjej kieszeni - zaprotestowała Naomi. - Siedzimy na dnie studni i jemy syrop.

- No, cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy - wtrąciła Eva.

- Mam ochotę odgryźć komuś głowę - przyznał Alex.

- Nie mnie - zauważyła Eva. - Ja nie mam głowy.

Ruszyli na południe, w stronę zabudowań.

- Gdzie ekipa ratunkowa? - zainteresowała się Naomi. - Kiedy nas uratują?
- Uratują nas, jak będziemy im potrzebni - powiedział Alex. - Wiedzą, gdzie nas szukać.
- Czego od nas chcą? - spytała szeptem Naomi.

Jesteśmy bronią, odparł Alex. Tajną, dobrze ukrytą bronią biologiczną. Rząd trzyma nas w odosobnieniu na jakiejś asteroidzie. Jesteśmy supertajnym wirusem, który wymknął się z laboratorium i śmiertelnie nastraszył wszystkie szczury. Trzeba to było jakoś zatuszować, bo okazało się, że jesteśmy przełomem, który przyszedł za szybko. Jesteśmy genem telepatii, lekarstwem na raka, zagrożeniem dla współczesnej nauki o katastrofach. Jesteśmy nieśmiertelni, Naomi. Pokonaliśmy śmierć. Nasza nieśmiertelność jest zaraźliwa. Dzięki tobie. Stała się zaraźliwa po tym, jak złapałaś ją w tym swoim lodowym termosie. Nieśmiertelność to katastrofa ostateczna, Naomi. Nie ma końca.

- Ale dlaczego padło akurat na nas? - spytała Naomi.

Przeznaczenie, wyjaśnił Alex. Jak w tej chińskiej bajce o trzech braciach. Jeden mógł polknąć ocean, drugi mógł wstrzymać oddech na trzy dni. Byli identyczni, nie do odróżnienia. A wiesz dlaczego? Bo byli potworem. Nie trzema potworami, które się zespoliły, tylko jednym potworem, który został rozdarty na troje. Posłuchaj, Naomi, nie ma sensu szukać u mnie odpowiedzi. Nic ze mnie nie zastało poza językiem maszynowym i upiornymi napadami szału. Na dobrą sprawę wolałbym nie żyć, ale to życzenie chyba się już spełniło. Razem z pozostałymi. Korodujące żelazo robi się czerwone, a miedź zielona; mięso zmienia się w robaki, myśli w mowę. Oblązą mnie różne robaki. Na pierwszej szpuli Frankensteinia Fritz upuszcza i rozbija słój. W słóju był dobry mózg, ale po tym wypadku Fritz musi wziąć mózg bandyty. Od początku wszystko się pieprzy.

Doszli do tabliczki z liczbą mieszkańców Rodeo. Naomi zobaczyła stojące w rzędkach domy. Minęli ranczo: obory z aluminiowymi dachami, przyczepa kempingowa, bele siana, rowy irygacyjne. Pobocza drogi mieniły się tłuczonym szkłem. Zbudowane z pustaków budynki w centrum miasta były białe i płaskie, jak na prześwietlnym filmie; jak lśniąco popioły, które wiatr może w każdej chwili rozwiać. Bar. Poczta. Spożywczy.

Przed wiekami pustynia leżała na dnie oceanu, pomyślała Naomi. A potem mrówki zajęły miejsce krabów. Ot i cała zmiana. Tylko kaktusy pamiętają rafę koralową.

We troje weszli do Rodeo. Zdarzało im się już natrafiać na miasta, zawsze niezamieszkane. Znaleźli też kiedyś zdewastowany lunapark, poprawczak, ruiny azteckich zigguratów. Przekraczali powojenne zasieki i okopy. Szli przez pola nigeryjskiego prosa, nad którymi wznosiły się kopulaste spichrze. Widzieli hałdy żużlu i kratery po uderzeniu meteorów. Nigdzie jednak nie natknęli się na rzekę. I nigdy nie padał deszcz.

Znaleźli trzy chevrolety zaparkowane na podjazdach i stojącą przed pocztą platformę do przewozu siana. W rowach leżały porzucone samochody bez kół. Naomi przystanęła przed zabitym deskami sklepem spożywczym, przed którym stały dystrybutory z benzyną.

- Wygląda jak Rodeo - przyznała Eva.

- Byłaś tu wcześniej? - zdziwił się Alex. Przysiadł na schodkach sklepu i zaczął wytrząsać piasek z butów.

- Jechałam stopem z Douglas. Podrzucił mnie tu taki napalony akwizytor. Miał volvo.

Naomi zaczęła recytować sutry: *Osiem jest członów pomocniczych jogi. Pierwszym jest jama, wstrzeźliwość. Drugi to nijama, obrzędy. Trzeci - tisana, pozycje.*

Alex wszedł na drewnianą werandę sklepu i przetarł zakurzone okno, odsłaniając wypisaną czerwonym flamastrem tabliczkę: SAŁATA \$2,95 SZT.

- Sprzedawali tu sałatę po dwa dziewięćdziesiąt pięć za sztukę - powiedział. - Rozbój w biały dzień.

Naomi poczochnęła się szyją o dystrybutor.

- Zjadłabym sałaty - przyznała.

Alex zaklekotał drzwiami sklepu, a potem przyciągnął stojącą nieco dalej na werandzie ławkę i, używając jej jak tarana, stłukł szybę w drzwiach. Mamrocząc pod nosem, zaczął wyciągać tkwiące w ramie trójkątne odłamki szkła.

Wzięli nasze głowy i zbudowali to miejsce.

Ja nie mam głowy, przypomniała mu Eva.

Co tylko potwierdza moją tezę. Użyli jej, żeby zbudować to miasto. Czemu masz takie brudne paznokcie?

Wyczyść je, jeśli chcesz. Masz przecież ręce.

Gdzie dałaś scyzoryk?

Zobacz w kieszeniach. A kiedy skończysz, wydłub Naomi kamienie spomiędzy palców.

Czwartym jest pranajama, oddychanie. Piątym jest praljahara, powściągnięcie zmysłów.

Wydaje mi się, że masz wszy, Evo. Pomyśl o gąbce.

Pomyślałam. Nie jestem gąbką.

Naomi parsknęła śmiechem.

Szóstym jest dharana, koncentracja. Siódmym jest dajana, medytacja. Ósmym jest samadhi, kontemplacja. Z pierwszego członu, wstrzeźliwości, wynikają pięćorakie konsekwencje. Po pierwsze...

Naomi, przerwał jej Alex. *Czy ty naprawdę musisz w kółko powtarzać te hinduskie pierdoły?*

- Daj jej spokój - odezwał się dżip.

- Powiniennem ci połamać nogi - powiedział Alex, zwracając się do niej. - Jesteś tak cholernie samolubna...

Otworzył drzwi spożywcza. Nie mógł wyrzucić tamtej dwójki z głowy, ale mógł przynajmniej oddzielić się od niej murem. Przeszedł przez sklep, przebierając w towarach. Kurz zebrał się puchatą warstwą na podłodze, półkach, puszkach i butelkach. Na dziobatej gipsowej ścianie wisiały narzędzia samochodowe na drucianych pętlach. Klucze nasadowe. Klucze płaskie. Francuzy z długim na jard uchwytem. Kartonowe metki na zwojach sznurka. Wytwory zaginionej cywilizacji. Nekropolia pozbawiona mumii. Ktoś ukradł wszystkie zwłoki.

Podniósł aluminiową pokrywę chłodziarki na warzywa. Pomidory i główki sałaty najpierw się rozmaśliły, tworząc kałuże na dnie plastikowego pojemnika, a potem zaschły w twarde czarne plamy. Opuścił wieko, cofnął się do stojaka z batonikami i gumą do żucia i napchał sobie nimi kieszenie kombinezonu. Znalazł torby papierowe i je również zaczął napępiać: fasola w puszcze, tuńczyk, kukurydza, olej silnikowy, papier toaletowy... Starał się wybierać towary w opakowaniach o cylindrycznym kształcie.

Wyniósł torby na werandę, wyjął dwie litrowe bańki oleju i podszedł do Ewy, która na ten widok otworzyła maskę.

Wzeszły już wszystkie trzy słońca. Miało się wrażenie, że samo kredowobiałe niebo pała oślepiającym blaskiem. Słupy telefoniczne rzucały potrójne cienie na asfalt i suche zarośla. Zapowiadał się gorący dzień.

Brontozaur wyciągnął się na boku na zwirowym parkingu, dysząc jak cierpliwy chart. Wpatrzona w odległe góry Eva płała się w ciepłe słońce i nuciła pod nosem. Alex siedział na werandzie sklepu, w cieniu, pogryzał orzeszki i mruczał pod nosem.

Trzy siostry na dnie studni, jedzące tylko syrop. Nie, to niemożliwe. Pochorowałyby się. Bardzo by się pochorowały. Akson, dendryt, soma. Ogień, oddech, rdza. Za dużo myślę. Ja za dużo myślę, Naomi za dużo widzi, a Eva za dużo czuje. Żyjemy w stresie, jakiego nie wytrzymałby żaden człowiek. To musi być piekło.

Naomi wycofała się w głąb siebie, schowała przed nuceniem Ewy i sączącym się jej do głowy wyrozumowanym bełkotem Aleksa. Znała kilka sposobów ucieczki przed rodzinną chorobą. Drogi ewakuacyjne naprawdę istniały.

Jej ulubioną kryjówką było tyłomózgowie brontozaura. Chcąc się tam udać, wyobrażała sobie, że jest małą dziewczynką o żółtych włosach, która stoi w pochyłym tunelu wyżłobionym w wapiennej skale, otulona swoimi puchatymi myślami jak szalem. Szła w górę

tunelu, któremu woda nadała kształt wnętrza kręgosłupa, do momentu, gdy stawał się poziomy, rozszerzał się i dochodził do przestronnej jaskini w głębi miednicy brontozaura. Na środku jaskini stał miękki biały fotel. Siadała w nim, zapadała się w niego i zamykała oczy.

Światło sączyło się przez kości do środka. Fotel był zlepkiem prastarych ganglionów, mądrych, gadzich ganglionów. Grube kościane ściany tłumiły głosy rodziców. Naomi zaciskała mocno powieki. Czuła się zarazem uwięziona i wolna, błędząc swobodnie w rozległej pustce.

Raz, dwa, trzy, kryjesz ty, wyrecytowała w myślach. To gra dla dwojga, dlatego moja kolej nigdy nie przychodzi. Grają na mojej skórze. To niesprawiedliwe. Zawsze udają. On jest dzielnym ołowianym żołnierzkiem, ona jednonogą baletnicą, a ja rybą, która zjadła ich oboje. Ale w rzeczywistości wszyscy jesteśmy osmoloną grudą ołowiu. To stara i smutna historia. Księżniczka pokochała żołnierza, on jednak kochał wiedźmę. Księżniczka mieszkała samotnie w wieży z soli, mając za towarzyszy anioły o oczach wielkich jak spodki, jak talerze, jak młyńskie koła. Nie pamiętam zakończenia. Nie mam czym myśleć. Powinnam płynąć z biegiem rzeki, łowiąc patyki i raki we włosy. Powinnam rozpuszczać się w gęstym czarnym mule. Tylko że tu nigdzie nie ma rzeki.

Ułożona wygodnie w białej kości, utulona w gęstej szarej tkance tyłomózgowia jak fasolka w strąku, Naomi skurczyła się i zmieniła w arkusik ryżowego papieru na niziutkim biurku z laki, należącym do starszego chińskiego dżentelmena. Mężczyzna wziął arkusik w długie, szczupłe palce i zaczął z niego składać ptaka origami. Naomi przez chwilę zerknęła mu ciekawie przez ramię, ale później zaczęła się rozglądać dookoła. Za papierowymi ścianami domu starszego Chińczyka, w ogrodzie z kamieni i mchów, muzyk grał na *koto* zrobionym ze skorupy żółwia.

Naomi spojrzała na tę skorupę - i zobaczyła żółwicę unoszoną prądem oceanicznym, skubiącą wodorosty, prowadzącą morskie życie. W dniu swojej śmierci żółwica wyszła na ląd, żeby złożyć jaja. Wylazła na białą plażę, przeczołgała się po szkieletach krabów i zasuszonych rybich szczątkach i dotarła do wydmy, gdzie zagrzebała jaja w piasku. Przygodny zbieracz wyrzuconych przez morze skarbów zatłukł ją kijem i zawlókł do domu, do żony, która pokroiła mięso na gulasz, a skorupę sprzedała producentowi *koto*.

Z dwóch jaj wykluły się młode, z których jedno dotarło do morza - nie było jednak wcale morskim żółwiem, lecz pamiątką z przeszłości: plezjozaurem. Żółw nie pochodzi od plezjozaura, ale plezjozaur o tym nie wiedział. Tym plezjozaurem była babka Naomi.

Naomi otrząsnęła się z transu. Parking zaczynał się pod nią obracać. Nagle ktoś odpiłował jej górną część czaszki i wlał do głowy stopiony ołów, w którym pływały skorpiony. Takie

przynajmniej miała wrażenie.

Eva! - zawołała. Evo, gdzie jesteś?! Źle się czuję.

Dżip znalazł się tuż obok niej.

Znów odzywa się twój guz mózgu. Tylko tego nam brakowało.

Brontozaur zwymiotował gruzłową niebieskawą pianą. Żołądek skurczył mu się jeszcze kilkakrotnie, podszedł do gardła, ale nic więcej z tego nie wynikło. Olbrzymi gad wyszczerzył brunatne zęby tkwiące w zniszczonych sinych dziąsłach. Eva stała nad nim i patrzyła, żałując, że nie może wytrzeć oczu Naomi wilgotnym ręcznikiem ani pogłaskać jej po głowie. Niewiele może zrobić dżip, który chciałby pocieszyć brontozaura.

Współczucie... - pomyślał Alex. Paskudna choroba. W porównaniu z nim nawet zapalenie mózgu to wybawienie. Mam ich wszystkie złe nawyki.

Wciąż trzymał w ręce wyjęty z silnika Ewy wskaźnik oleju. Podszedł do samochodu, wsunął pręt na miejsce i zatrzasnął maskę. Rozejrzał się. Znalazł obiecującą boczną uliczkę, skręcił w nią i kierując się w stronę wzgórz, na wschód, zaczął się oddalać od głównej drogi. Skręcił w prawo w drugą przecnicę. Krzywe, popękane chodniki przecinały jałowe place, które dawniej były trawnikami. Kopnął uchwyt przerdzewiałej kosiarki.

Trójki bez wzorca. Poszatkwane historie przypadków rozpadające się na coraz mniejsze kawałki. Wyczerpany język maszynowy. Raz, dwa, trzy, kryjesz ty. Entliczek, pentliczek, czerwony stoliczek. Ja przegrywam, ty przegrywasz, my przegrywamy. Węże i drabiny, tunele i zsypy, nory i kanały. Chryste na patyku z malinowym lukrem. Jak mogłem do tego dopuścić? Byłem wołem opasowym, podążającym w błogiej nieświadomości do rzeźni, którą sam sobie zbudowałem. A teraz jestem nieuleczalnym przypadkiem. Chcę odgryźć dżipowi łeb za to, że mnie nie kocha. Mam dość. Poddaję się. Gdzie tu się można poddać? Bez mapy, rozkazów, paliwa, punktów orientacyjnych, łączności radiowej, układu kierowniczego, hamulców... Kończ z tym. Wykończ nas.

Eva skręciła na skrzyżowaniu i zobaczyła Aleksa. Siedział na ganku domu, z którego luszczyla się różowa farba. Dach ganku się zapadł, na oknach przerdzewiałe osłony z siatki wisiały w strzępach. Wjechała na podjazd.

Naomi ma gorączkę, poinformowała Aleksa.

Z pewnością. Naomi ma gorączkę, ja zwariowałem... A ty? Co jest z tobą nie tak?

Jestem nieszczęśliwa. Pustynia jest w ciągłym ruchu.

Może próbuje uciec.

Ja na pewno chciałabym uciec.

Stara kobieta i dżip umilkli. Wiatr poruszył firanką w różowym domu.

Alex wzruszył ramionami.

Widywałem gorsze miejsca. Tu przynajmniej nie ma robactwa.

Posłuchaj, Naomi zaraz wyrzyga sobie bebechy. Mógłbyś zdjąć ze mnie jeden kanister z wodą i odkręcić korek?

Pewnie, pomyślał Alex.

Wstał i zrobił to, o co prosiła.

Powiedz mi coś, Alex. Co cię gryzie? O czym stale myśli ten twój krzemowy mózg? Dlaczego jesteś taki kurewsko wredny?

Alex przygryzł paznokciec kciuka i przelknął łzy.

- Nie lubisz mnie - powiedział.

Eva patrzyła, jak wstyd i odraza czarną chmurą kłębią się wokół jego głowy. Wzdrygnął się i ukrył twarz w dłoniach. To nie była jego twarz. To nie były jego dłonie.

Trzeba coś zmienić, wyszeptał ponuro. Powinienem zniszczyć nas wszystkich.

Już to robiłeś, Wielki Wojowniku, i to wielokrotnie. Ja też was zabijałam, trzy lub cztery razy, o czym zapewne pamiętasz. Wygląda na to, że eutanazja nie wchodzi w grę.

Alex nie słuchał.

Zabiję ją. Zabiję. Zabiję ją, jej zabójcę, a na końcu jej dziecko, kiedy będzie błagała o litość. Potem sobie wybaczę i będę się z nią kochał. A potem znów ją zabiję. Po śmierci zrobi jej się przykro. Jej córka zasługuje na to, żeby umrzeć razem z nią, bo kocha mnie tak samo mocno, jak ja kocham ją. To okrutna i niecodzienna kara.

Kocha cię jak ojca. Kiedy umrzesz, poniesie na grzbiecie twoją metalową skorupę. Nocami będzie się kulila wokół ciebie, pogrążona w żalu. Będzie dźwigać twoje koła. Ona cię kocha. Nie uciekniesz przed nią. Znam takie wierne suki.

Alex dalej mamrotał pod nosem. Schylił się i podniósł leżącą luźno cegłę.

Na pewno nie jesteśmy jedynymi, których tu przetrzymują, Aleksie.

Niby dlaczego?

Muszą być inne cele, a w nich inni więźniowie.

Nawet jeśli tak, to co z tego?

To z tego, że prędzej czy później ktoś ucieknie.

Jak miałyby to nam pomóc?

Może ktoś wznieci bunt.

Alex przymknął jedno oko i spojrzał wzdłuż dłuższej krawędzi cegły.

Nie liczylibym na to. Z niektórych więzień nie da się uciec.

Nie masz za grosz wyobraźni.

Dzıp wycofał się z podjazdu na ulicę. Alex rzucił za nim cegłą, ale nie doleciała do celu i samochód spokojnie przyspieszył i się oddalił.

Możesz sobie uciekać, pomyślał Alex. Zbliża się burza. Kiedy nadciągnie, włożę ci na głowę koronę cierniową, której nigdy nie zapomnisz.

Wracając do centrum miasteczka, Eva pojechała na skróty przez zaśmiecony zaułek. Za ogrodzeniem ze zdrewniałych wiechciowatych sukulentów stała zdezelowana huśtawka. Eva rozjechała porzucony pojemnik na śmieci, żeby się wyładować.

To zły człowiek, poskarżyła się z myślach. Szkoda, że nie możemy z Naomi go odciąć, wyciąć jak guz, złapać w chirurgiczne szczypce, przytrzymać nad miską ze stali nierdzewnej - i po prostu go do niej wrzucić. Plask!

Naomi tymczasem recytowała pospiesznie:

Przyczyny każdego działania mają pięć aspektów: pierwszym jest miejsce, drugim sprawca, trzecim narzędzia...

Wiatr pchał po niebie rozwłóknioną mgiełkę cirrusów. Alex wspinał się krętą ścieżką na wzgórze. Mijał krzewy juki i echinokaktusy. Miasto zostało z tyłu, w dole. Usiadł na kamieniu. Złość go paraliżowała. Słowa przewijały mu się przez głowę jak nieskończony łańcuch rowerowy.

Najgorsze, że nie możemy wyjść z siebie, uciec od tych ciał. Naomi mogłaby umrzeć na tego swojego guza. Eva by się odwodniła, a ja zardzewiałbym sobie w jakimś spokojnym wąwozie. I misja wykonana. Ale nie, to miejsce ma własny rozum. To miejsce, ta pułapka, ten dom wariatów, ta kraina bardo, ten posupełany węzeł nicości.

Ucieknijmy! - zadźwięczał mu w głowie głos Naomi, niespodziewany jak atak dzikiego kota, głośny jak uderzenie młota w metalową beczkę. *Odejdźmy stąd!*

Ale jak? Pokaż mi.

Musisz się modlić, wyjaśniła Naomi.

Modlić się? Nie żartuj. Do czego tu się modlić?

Do czegokolwiek. Do tego, co znajduje się poza tym miejscem. To zresztą nieważne, módl się do aniołów.

Bredzisz.

Módl się do aniołów, Aleksie! Przybyły ze słońca w czasach, gdy nie było jeszcze ludzi. Unoszą się w powietrzu wokół nas, nie czujesz tego? Wojownicze anioły ze świetlistymi mieczami. Mają takie łagodne twarze... Chcą nam pomóc, Aleksie. W każdym razie większość z nich chce.

Naomi... - pomyślał Alex. *Pieprzysz od rzeczy.*

Dzıp wyhamował z poślizgiem obok cierpiącego brontozaura. Naomi dyszała ciężko. Z kloaki sączyła się jej krwawa wydzielina.

Witaj, matko, pomyślała słabo Naomi. Czy ja umieram? Czy tylko udaję? Pogrzebieisz moją głowę w piasku, kiedy umrę? Własnoręcznie wykopiesz dół?

Urwała i zaczęła nasłuchiwać. Głos, który usłyszała, brzmiał tak, jakby stara Meksykanka mówiła do niej z dna głębokiej studni:

Naomi? Naomi, przywiozłam ci wodę. Dasz radę unieść głowę? Złapać zębami za szyjkę tego kanistra?

Brontozaur jęknął i rzucił łbem i ogonem z boku na bok. Trącił przy tym pyskiem przedni zderzak Ewy i rozbił jej reflektor. Eva odskoczyła wstecz na bezpieczną odległość i zaczęła pomału okrążać parking.

W tej chwili zupełnie nie ma z nią kontaktu. Pewnie i dziesięć fiolek aspiryny by jej nie pomogło. Mogłabym je rozgnieść z wodą i wmusić w nią taką papkę... Nie, nie mogłabym. Jestem samochodem.

Sfrustrowana staranowała sklepową werandę. Balustrada zwała się jej na maskę.

Przytul mnie, matko! - zawodziła Naomi, jak zdychająca krowa morska. Przytul mnie! Nie zostawiaj mnie! Nie daj mi umrzeć!

Żądania dziecka były nierozsądne. Eva nie mogła nic zrobić. Wycofała na główną drogę, skręciła koła i ruszyła na południe. Przyspieszyła do pięćdziesięciu mil na godzinę, aż pustynia rozmazywała się wokół niej w pędzie. Wszystkie trzy słońca znajdowały się w pobliżu zenitu.

Alex siedział na kamieniu. Trzymanym w prawej ręce kolcem opuncji nakłuł sobie opuszkę lewego kciuka. W miejscu ukłucia formowała się kropla krwi. Gwałtownie zadarł głowę i spojrział w niebo; wydawało mu się, że kątem oka zobaczył błyskawicę. Niebo było bezchmurne. Nie usłyszał grzmotu.

Bo to nie była błyskawica.

Wzgórza i małe nieprawdziwe miasteczko pociemniały, jakby chmury zakryły słońca. W rzeczywistości zaś słońca po prostu przygasały, jak trzy żarówki włączone w jeden obwód.

Jadąca drogą Eva wyczuła, że zbliża się następny atak. Nie miała pojęcia, jak bardzo oddaliła się od Rodeo, więc po prostu zawróciła i popędziła z powrotem.

Wiedziała, że burza może się rozpętać w każdej chwili; jeżeli trąba powietrzna porwie ją podczas jazdy, dzıp spadnie i się roztrzaska. Dlatego wyhamowała, odcięła zasilanie turbin i zatrzymała się na środku jezdni. Mściwe mamrotanie Aleksa narastało, było już głośniejsze niż kanonada karabinów, głośniejsze od bomb, aż w końcu zagłuszyło cały świat. Niebo

otworzyło się pod nią jak ciemna, wilgotna studnia.

Pusty dżip stał na asfalcie. Wiatr dał nad pustynią. Eva zniknęła.

Naomi leżała na żwirze. Nie mogła się poruszyć. Głowa ścisnęła jej mózg jak imadło.

Pomóż mi, tato! Muszę się napić wody! Potrzebuję lekarstwa! Potrzebuję piorunów, chaosu, uzdrowienia. Potrzebuję jedwabnej drabiny, po której wspięłabym się aż na dach świata i jeszcze wyżej. Jestem taka zmęczona tym dymem i brudem...

I spadła w czarną otchłań bez dna.

Chowa się przede mną, mruknął w duchu Alex, mając na myśli Evę. Zawsze się przede mną chowa. I śmieje się ze mnie. Powinienem zasadzić ją w ziemi i przekonać się, co z niej wyrośnie.

Alex spadł w nicość. Rodeo w Nowym Meksyku znów było niezamieszkane. Otchłań się zappełniła.

Stara kobieta leżała na wznak obok ścieżki. Miała otwarte usta, oczy wpatrzone w niebo, twarz nieprzeniknioną jak kamień. Gałęzie judaszowców klekotały na wietrze, który zwał jej kosmyk siwych włosów na oczy. Można by pomyśleć, że spadła na ziemię z nieba - podstarzały latynoski anioł, który zaległ oszołomiony wśród bylic.

Brontozaur leżał przy dystrybutorach. Oddech miał płytki, ale miarowy. Jedno niewidzące oko miał skierowane na zachód, w stronę gór Chiricahua, drugim zerkał na wschód, w kierunku Peloncillos.

Dżip stał pośrodku drogi numer 80. Kolejne martwe auto w mieście.

Trzy słońca zaczęły się błąkać bez celu po niebie. Wzeszło czwarte, po nim piąte i szóste - zimne jak księżycy i niewiele jaśniejsze od gwiazd. Dwadzieścia lub więcej słońc stłoczyło się na firmamencie. Roily się nad miastem jak gzy. Niebo pociemniało, przybrało rdzawoczarny odcień. Słońca zbijały się w gromady, pływały ławicami jak małe rybki. Niektóre gromady skupiały się wokół wspólnego środka, jak liście porwane wodnym wiryem. Zza gór wyszły miriady słońc, bezbarwnych i fałszywych jak obrazy wyświetlane w planetarium.

Ponad słońcami i niebem czekały beczynnie dekoracje i scenerie z niedawnych snów trojga wędrowców. Tam, na górze, dawno zniszczona fabryka plastiku ze szczękiem i sykiem pluła szarozielonym dymem w puste niebo. Tam, na górze, sępy krążyły nad świeżym mięsem wyłożonym na szczycie zigguratu Majów. Tam, na górze, wśród zimozielonych konarów kryła się kręgielnia.

A jeszcze wyżej, w zupełnie innym miejscu, młody człowiek o długich blond włosach szedł po zmrożonym śniegu doliną wśród brzoź. Był ubrany w biały marynarski mundur

galowy, który nie był mundurem żadnej konkretnej marynarki wojennej. Stroju dopełniały czapka z daszkiem, epolety i białe jedwabne rękawiczki. Niósł skórzaną aktówkę. Zapastowane do połysku czarne buty miażdżyły leżące pod śniegiem suche liście. Był wysoki i szczupły. Szedł szybko.

Brzozy rzedły. Zaczął padać śnieg, drobny jak przesiana mąka. Mężczyzna przeszedł przez pole uschniętego owsa; po zmrożonym ściernisku sunęły cienie chmur. Skręcił i stanął w padającym z góry wąskim snopie białego światła. Śnieg szumiał jak źle nastrojone radio. Mężczyzna ruchem głowy odrzucił włosy do tyłu i mrużąc oczy, spojrział pod wiatr.

Wypatrzył następny snop światła i ruszył w jego stronę. Przeszedłszy przez niego, skierował się do następnego, a po nim do kolejnego. Brzozy zginęły w mroku za jego plecami. Szedł teraz przez tundrę, a zielony mech mlaskał i cmokał pod jego ciężarem. Z głuchym stukotem obcasów przeszedł po zielonym płótnie olbrzymiego stołu bilardowego. Nie zwalniał ani na chwilę. Wszedł do wspartego na marmurowych kolumnach pawilonu i wyszedł z drugiej strony.

Przystanął na długim zielonym dywanie, szerokim na dobre pięć jardów i tak długim, że jego koniec ginął w oddali. Skrzydlak ruszył dalej. Udawał się na spotkanie z doktorem Labiryntem, który - tak jak on - był aniołem. Chorąży nie był zachwycony perspektywą tego spotkania.

Biały szum. Białe mrówki na wydmach białego piasku. Śnieżna ślepotą.

Dekoncentracja.

Na niebie nad Rodeo zostały tylko trzy słońca, które zbiegały się dokładnie nad miastem. W końcu zwały się w jedno i cienie słupów telefonicznych z potrójnych zrobiły się pojedyncze. A potem słońca znów pomału się rozszczepiły.

Eva poderwała się gwałtownie. Zamrugała, oślepiona światłem. Cała maszyna z niej spłynęła. Kamienie boleśnie wrzynały się jej w kręgosłup. Przetoczyła się na czworaki, poczuła kamyki pod palcami. Wróciła do siebie.

Gdzie Naomi?

Eva poszła do miasta, wołając ją po imieniu. Drogą nadszedł dżip. Odpowiedział jej cyfrową odmianą głosu Naomi. Sądząc po tonie tego głosu, Naomi była przerażona. Eva wysiliła umysł. Skoro Naomi jest dżipem, to Alex...

Och, nie...

Znad domu wzniósł się olbrzymi wężowaty kształt. Widziała go pod słońce. Kołysał się

jak kobra. Miał czerwone obwódki wokół oczu. Odślaniał koślawe zęby w krzywym uśmiechu.

- Dalej, dzieci, dalej z drogi, bo tu pędzi jaszczur srogi - zanucił Alex.

Brontozaur stanął dęba i spróbował przejść po stojącym mu na drodze budynku, lecz jego przednie łapy przebiły papę i uwięzły w dachu. Wyszarpnął je i kłapiąc szczękami, obiegł dookoła cały kwartał domów. Eva puściła się biegiem. Alex odwrócił się i wymierzył okrutnego kopniaka w bok dżipa. Samochód przewrócił się jak zabawka. Stracił jeden zderzak. Alex odrzucił łeb do tyłu i zaryczał donośnie.

Eva wbiegła za komórkę z narzędziami i patrzyła, jak Alex rzuca się w pogoń za Naomi. Dżip był za duży, żeby się gdzieś ukryć. Naomi musiała po prostu być szybsza. Na ulicach Rodeo brontozaur deptał jej po piętach, ale na głównej drodze z łatwością mu uciekła, zawrócił więc i zaczął węszyć w miasteczku.

Eva wyjrzała zza szopy Głowa Aleksa sterczała nad domami. Szukał jej i się ślinił. Chowając się, przewróciła łopatę. Bestia zwróciła łeb w kierunku, z którego dobiegł szczęk, i parsknęła śmiechem. Eva zaczęła biec, łomocząc gumowymi podeszwami butów o zbitą ziemię, ale szybko zabrakło jej tchu. W głowie słyszała krzyk Naomi:

Już jadę, matko! Pomogę ci!

Nie! Nie zbliżaj się do niego! Uciekaj!

Biały szum. Trzask zakłóceń.

Dekoncentracja.

Zielony dywan pokrywał nieskończoną drewnianą podłogę. Na drewnianym horyzoncie majaczył olbrzymi szary zamek w kształcie wieży szachowej.

Choraży Skrzydlak doszedł do miejsca, w którym obok zielonego dywanu wyrosła wysoka na osiem stóp beżowa ściana. Ciągnęła się idealnie prostą linią aż po horyzont, gdzie niekończąca się podłoga stykała się z niebem białym jak papier. Szedł dalej wzdłuż ściany, aż w pewnym momencie zaczęły się w niej pojawiać rozmieszczone w regularnych odstępach szare metalowe drzwi. W każdym znajdowało się okno z matową szybą.

Po drugiej stronie dywanu również pojawiła się ściana, wraz ze swoją poprzedniczką tworząc pozbawiony sufitu korytarz. Skrzydlak minął marmurową urnę wypełnioną białym piaskiem. Usłyszał świergot jaskółki i podniósł wzrok. Nad jego głową splatały się ośnieżone gałęzie drzew. Westchnął, nie przerywając marszu, i w końcu dotarł do drzwi, na matowym szkle których widniał wymalowany od szablonu napis DR LABIRYNT.

Stanął przed nimi z pochyloną głową i wolną ręką opartą na biodrze. Pokręcił głową, przeszedł w głąb korytarza, minął jeszcze kilkoro drzwi i usiadł na dywanie, oparty plecami o ścianę. Wyjął z kieszeni grubego skręta i zapalniczkę. Siedział, palił i słuchał szumu liści. Kiedy znów podniósł wzrok, zobaczył sufit z białej płyty pilśniowej z jarzeniówkami w chropowatych oprawkach.

Wrócił do drzwi z napisem DR LABIRYNT i zastukał w szkło. Nikt nie odpowiedział. Nacisnął klamkę. Bez powodzenia. Z kieszeni spodni wyjął pęk kluczy, otworzył zamek i wszedł do pokoju.

Gabinet był pogrążony w ciemności, jedyne światło sączyło się z korytarza. Niespokojne zielone oczy Skrzydlaka sondowały mrok. Szerokie dębowe biurko. Regały z książkami. Szafka na dokumenty. Na skraju tureckiego dywanu paprocie w dużych chińskich wazach z niebieskiej porcelany. Na ścianach kreślone na pergaminie mapy w chromowanych ramach. Na niskim stoliku z laki parujący ekspres do kawy. W otynkowanej na biało wnęce trzy monitory zwrócone w stronę biurka.

Namacał włącznik. Pstryk. Zapaliły się jasne światła pod sufitem.

Siedzący za biurkiem doktor Labirynt skrzywił się i zasłonił oczy ręką.

- Przepraszam - zmitygował się chorąży Skrzydlak. - Myślałem, że pana nie ma.

- Zawsze tu jestem. Zdrzemnąłem się tylko.

- Mogę usiąść?

Labirynt uśmiechnął się półgębkiem i wskazał chorążemu krzesło. Przybrał postać niskiego, krępego, łysego mężczyzny w białym kitlu laboratoryjnym i okularach z grubymi szklami. Nos miał orli, wargi cienkie i surowe.

Skrzydłak usiadł.

- Dobrze, że wpadłeś - powiedział Labirynt. - Dawno cię nie było.

- To prawda.

- Oczywiście zdaję sobie sprawę, że masz lepsze pomysły na spędzanie wolnego czasu niż odwiedziny w przytułku dla obłąkanych.

Oczy aniołów się spotkały. Żaden nie spuścił wzroku.

- Prawdę powiedziawszy, przychodzę w imieniu czcigodnej Tkaczki, która ma do pana parę pytań.

- Jestem zawiedziony.

Dotknąwszy pilota, Labirynt włączył monitory. Chorąży obrócił się razem z fotelem i na nie spojrzął. Wszystkie trzy pokazywały ten sam obraz: prehistoryczny potwór demolował małe dwudziestowieczne miasteczko, a pozbawiony kierowcy dżip raz za razem rozpędział się

i uderzał go w jedną z tylnych łap.

- Podobają mi się te góry - powiedział Skrzydlak. - Bardzo realistyczne.

- Masz ochotę na kawę? - spytał Labirynt.

- Dziękuję, należę sobie. Pan też chce?

- Poproszę.

Skrzydlak podszedł do ekspresu, nalał dwie filiżanki kawy i na spodeczkach przeniósł je na biurko. Wyjął z aktówki niepodpisaną tekturową teczkę, położył ją na biurku Labirynta i znów zerknął na monitory. Brontozaur zgrzytał zębami jak porażony wściekłą wielbłąd. Piana leciała mu z pyska, z nozdrza ciekł krwawy śluz. Oczy miał białe jak mleko.

- Domyślam się, że czcigodna niepokoi się losem trzech zagubionych duszyczek, które widzimy na monitorach - powiedział Labirynt. - Zostało mi tylko troje pacjentów.

- Zgadza się, panie doktorze.

- Jestem zdumiony tym, jak wielu spośród nas ma własne zdanie na temat mojej małej kliniki. I dziwię im się, że dyskutują o niej za moimi plecami, zamiast osobiście odwiedzić mój przybytek.

- Może przeczuwają, że nie byłiby mile widziani.

- Czcigodna z pewnością.

Skrzydlak upił łyk kawy. Nie będzie łatwo.

- Nie musi mi pan wierzyć, doktorze, ale czcigodna nadal jest pełna podziwu dla pana.

Labirynt wygiął usta w podkówkę.

- Nie podoba jej się zaordynowana przeze mnie kuracja.

- Zrozum, ojczu, ja tylko próbuję ułatwić wam nawiązanie kontaktu.

- Z tobą mogę o tym porozmawiać, ale czcigodna niech się wypcha.

- W porządku. W takim razie nie rozmawiajmy już o niej, dobrze? Chciałbym wrócić do tych trojga. - Skrzydlak kciukiem wskazał monitory. - W jaki dokładnie sposób pańska... metoda ma im pomóc odzyskać zdrowie?

- System burz. Interesuje cię raport z postępów leczenia? Mogę ci go udostępnić. Nie mam sekretów.

Skrzydlak już wcześniej słyszał takie zapewnienia. Jego spojrzenie stało się zimne jak lód.

Brontozaur chwycił tymczasem dzipa za przedni zderzak, postawił do pionu i kopał przednimi łapami po podwoziu. Monitory buczały cicho.

- Lubią się bić - zauważył Skrzydlak.

- Istotnie. To poważny problem.

Na ekranie pojawiła się stara kobieta w kombinezonie. Rzuciła kamieniem w łeb zwierzęcia.

- To Eva? - spytał Skrzydlak.

- Nie jestem pewien, nie słuchałem ich ostatnio... Na pewno to ktoś z tej trójki.

Brontozaur wypuścił dzipa i rzucił się w pościg za kobietą, która wybiegła poza kadr.

- Powiedz mi, Skrzydlaku, co sądzisz o tych trojgu nieszczęśnikach? Na pewno wyrobiłeś sobie przemyślaną opinię, przecież od tygodni podglądasz obraz z tych monitorów.

Skrzydlak uśmiechnął się skromnie.

- Powiedziałbym, że tak źle jeszcze z nimi nie było. Od kilku wieków ich stan systematycznie się pogarsza.

- No wiesz, są martwi. Rozkład postępuje.

- Ja nie żartuję, tato. Ty tu sobie pogrywasz z ludzkimi duszami!

- Jestem tego w pełni świadomy.

- Od ponad dziesięciu stuleci usiłujesz im pomóc.

- Spójrz tylko na nich.

- Właśnie. Spójrz na nich.

- Nieszczęśliwe małżeństwo. Beznadziejna stagnacja. Nieustanne rzucanie się sobie nawzajem do gardeł. Maniakalny ojciec. Schizoidalna matka. I córka popadająca w coraz głębszy autyzm.

- A ty ciągle ich torturujesz tymi burzami.

- „Tortury” to mocne słowo.

- Ale właściwe, kiedy ktoś kogoś torturuje. Jeśli to ma być terapia, to jest nieskuteczna.

- Czasem chyba zapominacie, że to Tkaczka mi ich tu przysłała.

- To było dawno - odparł Skrzydlak.

Dwa anioły spojrzały bacznie po sobie.

- Może ich jej oddaj? - zasugerował Skrzydlak. - I tak już straciłeś resztki zawodowej reputacji. Wszyscy w Organizacji mają cię za świra.

- A ty? Co ty o mnie myślisz?

- Uważam, że powinno się ograniczyć straty i skrócić męki tych trojga. Rozwalić im mózgi i puścić Koła Inkarnacji w ruch, niech zrobią z nimi, co zechcą. Nie wahałbym się ani chwili.

- A oni z pewnością byliby ci wdzięczni - przyznał Labirynt.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, popijając kawę.

- Wolałbym, żeby Tkaczka mnie do tego nie mieszała - mruknął Skrzydlak.

Labirynt zdjął okulary, złożył je i schował do kieszeni na piersi.

- Nigdy się za dobrze nie dogadywaliśmy - zaczął, wstając z obitego skórą fotela. Mówił dalej, przechadzając się po gabinecie: - Uwierz mi jednak, kiedy mówię, że znam tych troje jak nikt inny i wiem, jaka terapia będzie dla nich najlepsza. Nie mam cienia wątpliwości, że moja kuracja okaże się skuteczna. Ta metoda, to niebezpośrednie podejście, to dla nich jedyne lekarstwo. Ja to wiem i oni też to wiedzą. Czują, że mogą ich uleczyć.

- Oni nawet nie wiedzą o twoim istnieniu! - zaproponował Skrzydlak.

- Świadomie tego nie przyznają, ale wiedzą, wiedzą... - Labirynt stanął za plecami młodszego anioła i położył mu dłoń na ramieniu. W jego głosie zabrzmiała błagalna nuta: - Posłuchaj, Skrzydlaku. Wiem, jak to wygląda. Brak postępów, ostatnia trójka pacjentów pogrążona w chaosie. To wszystko prawda, zresztą nie znasz nawet połowy faktów, ale czy ty naprawdę nie rozumiesz? Nie rozumiesz, że tak właśnie musiało być? Musiałem doprowadzić ich do takiego stanu. Nie miałem innego wyjścia. Muszą być nieszczęśliwi, muszą odczuwać wstręt do siebie samych. Jak inaczej mieliby wyrwać się z tej czarnej otchłani, w której tkwią?

Myśli oszołomionego Skrzydlaka pędziły jak szalone. Wszystko stało się jasne. Wcześniej tego nie widział, ale teraz łuski spadły mu z oczu. Inne anioły miały rację: Labirynt zwariował. Popadł w obłąd tak jak jego pacjenci.

Tkaczka będzie musiała sama to załatwić, pomyślał. Ta sytuacja mnie przerasta.

Labirynt wrócił tymczasem za biurko i właśnie uderzył w nie pięścią dla dodania wagi swoim słowom.

- Mówię ci, że dadzą radę! A wtedy zobaczymy, co powie Tkaczka. Zobaczymy, kto jest świrem! Tkaczka i pozostali przyjdą do mnie na kolanach, klnąc się na wszystkie świętości, że nigdy we mnie nie wątpili!

Uderzenie w blat przewróciło filizankę z kawą. Brunatna kałuża sięgała już do przyniesionej przez chorążego teczki i zaczynała wsiąkać w papiery. Żaden z aniołów nawet nie próbował ich ratować. Na poczerwieniałej twarzy Labirynta perlił się pot.

Skrzydlak podniósł teczkę, poczekał, aż trochę obcieknie, i schował ją do aktówki, a potem wstał i pomału zaczął się cofać ku drzwiom.

- Nie mam odpowiednich kwalifikacji, żeby to ocenić. Ja tylko zbieram informacje. Złożę raport i pewnie na tym się skończy.

Zamknął za sobą drzwi.

Kiedy Labirynt ochłonął, zgasił światło. W gabinecie zapanował półmrok rozjaśniany poświatą monitorów. W ciemności lepiej mu się myślało. Potarł w zadumie brodę.

Brontozaur chwycił w pysk głowę staruszki i podniósł ją w powietrze. Kobieta zawisała nad miastem. Jedna ręka, złamana, zwisała jej bezwładnie. Potwór mocniej zacisnął zęby i krew spłynęła jej na twarz i szyję. Obraz był czarno-biały. Krew wydawała się czarna.

Labirynt odwrócił wzrok.

W korytarzu chorąży Skrzydlak przeszedł przez pawilon, przez stół bilardowy i zstąpił na ośnieżone tundrowe mchy. Mocno wcisnął aktówkę pod lewą pachę. Wymachując trzymaną w prawej ręce laską, ścinał szybujące w powietrzu płatki śniegu.

Po jakimś czasie przystanął pod brzozą, oparł się o jej pień i wyjął z kieszeni kolejnego skręta. W drugiej kieszeni znalazł zapalniczkę.

Padający śnieg. Szum. Zakłócenia. Ściana gadających monitorów. Czarne mrówki na czarnym śniegu. Ruchy Browna.

Dekoncentracja.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

UPADŁA KOBIETA

Kiedy grzbiet boleć cię zaczyna,
To jakby ci w serce wrazić puginał.
A kiedy z serca krew ci wypływa,
Jesteś naprawdę całkiem nieżywa.

- Gęsia Mama

Eva spała w rowie przy drodze numer 80 niedaleko Rodeo w stanie Nowy Meksyk. W otaczającej ją wysokiej trawie grały świerszcze. Spała jak zabita. Miała za sobą ciężki dzień.

Po południu posprzeczała się z Alekssem, za co odgryzł jej głowę, a potem ruszył w pościg za Naomi; na szczęście, Naomi była akurat dżipem i trudno było ją złapać. W końcu Alex się uspokoił i razem z Naomi wrócili do Rodeo, żeby obejrzeć zwłoki Ewy.

Po zachodzie słońca Alex wtulił się między dwa domy i zasnął. Naomi zaparkowała na noc tuż przy nim, jak wierny pies. Po ciężkim dniu oboje byli wykończeni i drażliwi.

Eva cały czas miała nadzieję, że którejś nocy wszędzie księżyc, ale w tym świecie nie było księżyców. Leżała w rowie, cudownie wyczerpana i martwa dla całego świata. Śniła o lepszych czasach.

Zawinięta w sari z zielonego jedwabiu stałam po kostki w swawolnej pianie przyboju Morza Karaibskiego. Na białym piasku, wśród wyrzuconych przez morze wodorostów, zwawo uwijały się malutkie kraby. W ciepłej wodzie zalewanych przyplływami przybrzeżnych niecek pąkle oddychały swobodnie, zagarniając plankton rozchodzącymi się promieniście pierzastymi ramionami.

Nie, to nie tak. Nie ma krabów. Nie ma wodorostów. Mów prawdę.

Xcalak. Jukatan. Dwudziesty wiek.

Upadła kobieta stała na masywnym żelobetonowym pirsie stoczni w Xcalaku, przy jego wysuniętym w morze końcu. Z obu stron górowały nad nią olbrzymie frachtowce, kołyszące się na powierzchni szlamowatej brei. Gdzieś za grubą pokrywą chmur zachodziło słońce. Oparła się o balustradę, wodząc wzrokiem po zatoce.

Powierzchnię wody pokrywał lity kozuch pomarańczowych szumowin, gęsty od ropy i zbryzgany białą pianą jak mydlinami. Brud. Galaretowaty, martwy, toksyczny syf. Trup Oceanu-Matki. Poruszały się tylko płomienie, wybuchające od czasu do czasu na Jej martwej skórze. Tłusty brunatny dym snuł się poziomo w powietrzu. Odór rozkładu unosił się nad całym Xcalakiem.

Wierzchnia skorupa kozucha była tak twarda, że udźwignęłaby ciężar człowieka - tyle tylko, że szybko przeżarłaby mu podeszwy butów. A gdyby trafiło się jakieś miększe miejsce, człowiek zapadłby się w ten syf jak w gnijące cielsko wieloryba.

Na dziobach ogromnych stalowych statków montowano pługi, wyposażano je również w długie metalowe wiosła ułatwiające przedarcie się przez szumowiny. W tej chwili złożone wzdłuż burt wiosła przypominały podkurczone odnóża gigantycznych owadów. Odkąd kobieta znalazła się między kadłubami statków, zgiełk miasta wyraźnie przycichł. Sylwetki pokładowych żurawi ładunkowych rysowały się wyraźnie na tle gasnącego nieba. Przy nadbudówce jednego ze statków wisiał na linowej ławeczce marynarz-rozgwiastka i skrobał odłóżką z metalu farbę.

Ciemność była nad powierzchnią bezmiaru wód, a Duch Boży unosił się nad wodami³.

Ale nie w Xcalaku. W Xcalaku nieosiągalny Duch ukrywał się gdzieś wśród wstrząśniętych fioletowo-żółtych chmur. Ani kropli deszczu. Prażące się w słońcu wyschnięte na wiór rowy melioracyjne. Smród uryny i śmieci. Nieruchome powietrze. *Chacowie* odeszli.

Ześlij nam znowu Chaców, o mądry Ehecatlu! Ześlij ich nam, błagamy jednooki ojczyzn wicherów.

Nikt nie słuchał. Upadła kobieta w czerwonej sukience stała oparta o balustradę. Na ramieniu trzymała ściaganą sznurkiem czarną torebkę. Patrzyła na pelgające po morzu płomienie. Marynarz o twarzy rozgwiastki zeskrobywał farbę z nadbudówki.

Miała siedemnaście lat. Minał prawie rok, odkąd zaczęła pracować jako dziwka. Od tego czasu zaliczyła cztery różne miasta. Wśród swoich nauczyła się tylko dwóch fachów: kapłaństwa i kurestwa. Kurestwo było uczciwsze. Zaspokajało konkretną potrzebę, tak przynajmniej jej się wydawało.

³ Cytat za Biblią Tysiąclecia (przyp. tłum.).

W ulicznej profesji opanowała wiele nowych umiejętności. Nauczyła się siedzieć godzinami na dworcu kolejowym i czytać gazetę. To trzeba umieć. Nauczyła się też opowiadać o swojej niedoli. Niektórzy mężczyźni domagali się, żeby upadłe kobiety opowiadały im bajki. Chcieli poznać najobrzydliwsze szczegóły jej najświeższych upodoleń. Chyba dobrze się przy tym bawili, a opowieści nie musiały przecież być prawdziwe.

Widząc ją, nikt by nie pomyślał, że urodziła się jako skalar. Nosiła przybraną twarz, nielegalna operacja plastyczna upodobniła ją do ukwiału; miała różowe macki wszczepione w głowę. Gdyby marynarz na ławeczce odwrócił się i spojrzął na nią z góry, właśnie po tych mackach poznałby, że jest dziwką. Takie kobiety rozpoznawało się z daleka.

Zmęczona staniem, przysiadła na pachółku cumowniczym. Ułożyła sobie na kolanach luźne końce szarfy. Biały jedwab mienił się tęczowo jak muszla uchowca.

Nigdy nie widziała tęczy ani muszli uchowca. Te słowa przysły później.

Siedziała wpatrzona w ocean pokryty rdzawopomarańczową pianą. Utkane ze spalin i wyziewów chmury kłębiły się nad wodą jak wyprute wnętrzości. Miały fioletowy odcień nadmanganianu potasu.

Myślała o stacjach orbitalnych konstruowanych przez jej rodaków. Srebrne strąki pędziły przez ogniście lodowatą próżnię okołoksiężycową. Światelka nawigacyjne migwały w twardej ciszy. Konchokształtni ludzie-ślimaki wchodzący w skład załóg przechodzili proste, eleganckie testy badające ich zdolność przetrwania.

Kapłanka-skalar w przebraniu ukwiału siedziała na polerze i żałowała, że nie jest człowiekiem-ślimakiem.

Tak to właśnie wyglądało.

Upadła kobieta ruszyła w drogę powrotną do miasta, wśród brezentowych płacht i żelaznych knag. Mijała stopy kłód zrobionych z morskich gąbek i bele bawełny wyhodowanej z białej pleśni. Pirs wzniósł się wyżej, ponad murem okalającym port i spiętrzonymi do poziomu ulicy pianobetonowymi tarasami. Szła po chodnikach w głąb lądu, pomiędzy poczerniałymi od sadzy ceglanymi magazynami. Nad dachami szkarłatne promienie słońca przeszywały strzępiaste chmury. Na bruku kładły się długie cienie pustych wozów. W zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Kamienny labirynt.

Przeszła obok wykopu w ziemi, odsłaniającego biegnące pod miastem rury i ogrodzonego płotem z metalowej siatki. Spychacze przycupnęły w półmroku zmierzchu, zgarbione i ponure, wśród szpul lśniących kabli.

Dotarła do skrzyżowania i zesza z krawężnika, żeby przejść na drugą stronę ulicy.

- Panienko? - rozległ się bardzo blisko męski głos.

Odwróciła się w jego stronę. Serce waliło jej jak młotem.

- Nie zauważyłam pana - powiedziała.

Trudno było w to uwierzyć. Przykucnął na widoku, opancerzony jak czołg i najwyżej dwa razy od niego mniejszy. Człowiek-krab. Gliniarz. Musiała go wziąć za jeden z buldożerów. Stał teraz na tylnych nogach i włączył umieszczone na brzuchu reflektory. Połyskliwą czarną skorupę zdobiły inkrustowane kwarcem i nefrytem tolteckie motywy.

- Dokąd się panienka wybiera?

- Byłam w porcie. Oglądałam statki.

- Dokąd się panienka wybiera? - powtórzył.

- Do domu.

- A gdzie panienka mieszka?

Podawała nazwę miejsca. Podrapał się szczypcami po policzku obrzmiałej twarzy, którą miał wbudowaną w tułów.

- Nie powinna panienka sama tu przychodzić. To niebezpieczne.

- Na przyszłość będę ostrożniejsza - zapewniła go.

- Koniecznie.

Gdyby wiedział, że w rzeczywistości jest kapłanką-skalarem, ukląkłby i całował rąbek jej sukni. I odprowadziłby ją do domu, bo skalary nie mieszały się z pospółstwem. Skalary w ogóle nie mogły swobodnie się poruszać. Mieszkały wszystkie w statecznych opactwach, wiodąc pozbawione trosk życie aż do dnia swojej śmierci. Wszystkie - poza jednym. Była taka kapłanka, jedna jedyna w dziejach swojego ludu, która nie umarła, tylko się uratowała i miała przez to problemy: z policją, z klientami, ze zdrowiem, z narkotykami... Same problemy. A wszystko przez to, że nie chciała po prostu umrzeć.

Krab i upadła kobieta stali naprzeciw siebie i mierzyli się wzrokiem. Kobieta nie mogła się ruszyć, dopóki krab jej na to nie pozwoli.

- Może panienka odejść - powiedział w końcu.

Odeszła. Skierowała się do głównego dworca kolei jednoszynowej. Po drodze mijała ule mieszkalne, tartaki i fabryki bawełny. Kłody hodowano z gąbek, ale ludzie nadal nazywali je kłodami. Bawełna wyrastała z pleśni, a ludzie wciąż nazywali ją bawełną. Nie widziała w tym nic dziwnego.

Minęła żółwioc człowieka w uprząży, ciągnącego wózek pełen powiązanych w paczki gazet. Na gazetach siedział człowiek-ośmiornica, odziany w żółty płaszcz przeciwdeszczowy i trójkątny kapelusz. Żółw zatrzymał się przed ulem mieszkalnym. Ośmiornica zsiadł z wózka i zaniósł paczkę gazet do holu apartamentowca. Żółw czekał. Spojrzał na upadłą kobietę,

kiedy obok niego przechodziła. Można sobie było wyobrazić, że ma znudzony wyraz pyska, ale ludzie zatracili już umiejętność odczytywania emocji z twarzy. Mutacje poszły za daleko i w zbyt wielu kierunkach.

Człowiek-ośmiornica wrócił do wózka. Nie okazywał żadnych uczuć i nie miał głowy. Brak głowy uczył go pokory, a innych tolerancji dla takich jak on. Tak wtedy mówiono.

Minęła ślimacze matki zmierzające do zigguratu handlowego. Ślimaczy ojcowie wracali rikszami do domów i chowali się w swoich norach. Meble ogrodowe na balkonach. Czarne błyszczące oczy na przezroczystych szypułkach. Rodzina zawsze składała się z czwórki ślimaków - ojciec, matka, syn, córka. Tak już się rodzili: czwórkami. Żyli równe pięć lat, a potem umierali, wszyscy naraz, jak w zegarku.

Z upadłą kobietą było inaczej. Nie była ślimakiem. Pod względem genetycznym była skalarem. Zastanawiała się, na kiedy jest zaprogramowana jej śmierć. Jak kapłani nastavili jej zegar? Miała zostać pokrojona na kawałki, więc może wcale nie ruszali jej zegara? Albo przez pomyłkę zapomnieli wyposażyć ją w mechanizm śmiertelności? Wtedy żyłaby wiecznie. Przez pomyłkę.

Dotarła do jednego z kanałów dzielących miasto na sześciokąty i przeszła nad nim po nefrytowym moście. Po powierzchni błękitnej wody pływały opalizujące insekty, pogwizdując swoje znajome piosenki.

Na końcu długiej promenady trójkątne wejście prowadziło do zigguratu z czarnego szkła. Weszła do środka, gdzie znajdowała się poczekalnia dworca kolei jednoszynowej - wysoko sklepione wewnątrz z rzędami drewnianych ławek, na których siedziały grupki pasażerów czekających na pociąg: ludzie-kryle, ludzie-minogi, samice manatów z młodymi w wózkach. Byli też żołnierze - głównie ludzie-rekiny, nadzy, kolorowo tatuowani, z kościstymi fiutami, które poprzedzały ich w marszu, kołysząc się na boki. Pojawiali się i szybko znikali; nie musieli długo czekać na pociąg.

Wszyscy przedstawiciele jej ludu nosili maski. Wszyscy. Od małego hodowali dzieciom maski na twarzach. To jej jednak nie dziwiło. Całkiem możliwe, że maski miały ułagodzić rozeźlone duchy morskich istot, które jej lud wytruł.

Po kątach stali mężczyźni-nereidy z miseczkami żebraczymi. Ślepe ryby jaskiniowe błąkały się między ławkami, ostukując posadzkę długimi białymi wypustkami. Stara meduza w rurowatym chodziku przeszła od ławki do stoiska z hot dogami kukurydzianymi. O tak, wszyscy pariasi mieli tu swoich przedstawicieli. Zwłaszcza od chwili, kiedy zjawiała się upadła kobieta.

Weszła między nich. Po twarzy rozpoznali, z kim mają do czynienia. Patrzyli, ale nie

dotykali. Zнали zasady. Będzie później wspominała ich twarze wynurzające się z otchłani pamięci jak makaron wypływający na powierzchnię gotującej się zupy. Umowy społeczne odziane w ludzkie ciała.

Ludzie u władzy umieli wytłumaczyć swoje decyzje. Robili to czy tamto tylko dlatego, że mogli to zrobić. Wszystkiego próbowali. Uważali, że są to winni Nauce.

Zeszła po granitowych schodach i skierowała się ku swojej ulubionej ławce. Ławka była pusta, leżała na niej tylko gazeta. Doskonale. Upadła kobieta wzięła do ręki gazetę i usiadła. Przyszło jej do głowy, żeby osiedlić się w innym mieście. Miała dostatecznie dużo muszelek, żeby ją było stać na bilet. Czemu nie? Wyjęła z torebki kapsułkę i przełknęła ją na sucho. Zaczęła studiować zawieszony na ścianie rozkład odjazdów.

Wyszła do damskiej toalety i stanęła nad umywalką. Spojrzała w plamiaste metalowe lustro, pochyliła się i ochlapała wodą twarz i macki. Podniosła wzrok, oglądając w lustrze swoją drugą twarz. Makijaż był nie do zderzenia. Płaszczkookształtny lekarz z Chetumalu dobrze się spisał.

Był chirurgiem plastycznym. Cieszył się fatalną opinią i pracował w podejrzanym dzielnicy. Miał pysk jak ząbkowana kielnia i był tak zboczony seksualnie, że bardziej się chyba nie da, ale znał się na swojej robocie. Do dziś pamiętała wyraz jego twarzy, kiedy powiedziała mu, czego od niego chce. Nigdy przedtem nie przyjmował w gabinecie żadnego skalara i pomysł przerobienia jej na ukwiał był tak perwersyjny, że nie potrafił mu się oprzeć. To dopiero wyzwanie! Będzie musiał odpiłować dziewczynie pół twarzy! I to właśnie zrobił, gdy tylko porozumieli się w kwestii zapłaty. Rolę waluty pełniły usługi seksualne, świadczone w okresie, gdy jej twarz przypominała krater wulkaniczny.

W końcu zdjął jej bandaż i mogła podziwiać jego dzieło. Nie poznawała siebie. Najbardziej przekonującym detalem nowej twarzy była mała fałszywa blizna, jak po zagojonej ranie od noża. Jakby pochlastał ją alfons.

Chirurg błagał, żeby została dłużej, zgodziła się na kolejną operację: chciał jej wszczepić dodatkowe otwory cielesne. Zarzekał się, że dzięki nim zrobiłaby furorę jako dziwka. Odmówiła. Nie chciała zwracać na siebie nadmiernej uwagi. Twarz miała doskonałą, ale dokumenty gówniane.

Dwie eleganckie kobiety-marliny weszły do toalety. Rozmawiały po aztecku. Na widok upadłej kobiety stanęły jak wryte. Spojrzały po sobie znacząco i wyszły, rozmawiając wystarczająco głośno, żeby je usłyszała:

- Wolno im tu przychodzić?
- Nie wiedziałam...

Wróciła na ławkę. Zzulała buty, oparła stopy na siedzeniu i zaczęła czytać gazetę, a w przerwach między akapitami obserwowała mężczyzn w poczekalni. Obserwowanie mężczyzn było częścią jej fachu. Kupowali bilety, stali w kolejce, flegmatycznie czekali na powrót do swoich miast i domów. Tylko po długiej obserwacji umiała odróżnić tych, których warto zaczepić, od takich, których należy unikać. Musiała zagaić rozmowę i odpowiednio nią pokierować; musiała wiedzieć, czego chcą, nawet jeśli sami tego nie wiedzieli.

Czytała dalej. Budowa nowego dolmenu przemysłowego. Satelitarne zdjęcia ciągnących się całymi milami petroglifów. Jej rodacy zrównywali góry z ziemią, zasypywali wąwozy, pokrywali ziemię twardniejącym strupem pianobetonu, który następnie rozdrapywali tak długo, że jeszcze bardziej się rozprzestrzenił. Przyprawiali pianobeton kośćmi porzuconych dzieci, żeby odpędzić huragany. Szykowali się do Chwalebego Dnia, w którym całe Tahuantinsuyu zostanie wybrukowane, od Uxmalu do Copanu, od jednego oskorupiałego morza do drugiego.

Po co to robili? Podawano różne powody. Hydroponika wyeliminowała konieczność posiadania ziemi uprawnej. Poza tym, w ziemi leżały się tęgoryjce. No i było to ambitne wyzwanie: zamienić cały kontynent w martwą kamienną płytę, porzeźbioną rysunkami. Zmienić Ziemię w księżyc.

Z głośników popłynął komunikat, że pociąg podstawia się na tor. Przed zamkniętymi szklanymi drzwiami uformowała się kolejka. Wszyscy stanęli razem, poszturchując się, odpychając malutkie dzieci, otwierając lub zamykając bagaż, wyjmując bilety, przekładając je do kieszeni, skarżąc się na to czekanie... Upadła kobieta nienawidziła ich wszystkich.

Może by ich polubiła, gdyby śpiewali jak ptaki lub pohukiwali jak małpy, ale zamiast tego skrzeczeli jak ropuchy i skamleli jak pudle. Albo chcieli wepchnąć w nią swoje wypustki i trysnąć w nią swoimi sokami radości. Miała ochotę odejść na pustynię, modlić się i pościć. Zamiast pustyni otaczały ją jednak puste pianobetonowe place, bez chwastów i cienia.

Rozważyła możliwości dalszego działania. Mogła kupić bilet i wsiąść do pociągu. Mogła znaleźć klienta i namówić go, żeby wynajął pokój. Mogła podjechać do zigguratu handlowego i kupić sobie nową sukienkę. Mogła utkać nową sukienkę z pajęczyny i starych gazet. Mogła też utkać łódkę i pożeglować nią na księżyc.

Weszła do szklanego westybulu, z obu stron zamkniętego szklanymi drzwiami. Z prawej strony stał uszkodzony automat z gumą do żucia oraz metalowe krzesło pucybuta. Po lewej, we wnęce, znajdowała się kapliczka Naszej Pani Ixchel Księżycowej, z półeczką na ofiary i bambusową matą do klęczenia. Na półeczce leżały suszone kwiaty, wafelki waniliowe i sześciokątne miedziaki z dziurką, a obok ciasno złożone karteczki z niebieskiego papieru

ryżowego: modlitwy do Białej Pani.

Upadła kobieta klękła na macie. Za jej plecami przechodzili szurający nogami pasażerowie - przyjezdni i odjeżdżający. Zajrzała do torebki w poszukiwaniu ofiary. Kosmetyki. Wycinki z gazet. Gumki na wacka. Miętówki. Speed. Środki nasenne. Nic.

Dotknęła czołem zimnej maty i pomodliła się do Ixchel Matki Śmierci. Zamknęła oczy. Znalazła się daleko od Xcalaku.

Eva płynęła kanałem w podziemiach kliniki Quintana Roo. Miała twarz nowicjuszkiskalara. Była ubrana w podartą szpitalną koszulę.

Chirurdzy chcieli ją zabić, ale im uciekła i jakimś sposobem natrafiła na ten podziemny kanał, gdzie zbudowała sobie tratwę z kawałków plastikowych rur. Na tratwie spływała ciemnymi, opadającymi kanałami, niesiona bystrym nurtem zimnej wody. Uciekała z miejsca zbrodni. Zbrodnią była jej ucieczka.

Kanał zakręcił. Tratwa uderzyła o ścianę. Eva ześliznęła się z plastikowych rur i wpadła po pierś w wodę. Szum pędzącej wody brzmiał ogłuszająco. Tratwa się rozpadała.

Zalało ją żółte światło. Płynęła wzdłuż wydrążonej w ścianie kanału podłużnej wnęki, przywodzącej na myśl peron metra. Na wpół płynąc, na wpół brodząc w wodzie, zaczęła przeć w jej stronę.

Usłyszała jakieś krzyki i tupot gumowych butów na kamieniu. Dwóch mężczyzn biegło równoległe do kanału: pracownicy kanałów. Bosakami usiłowali zahaczyć tratwę. Eva zapadła się w lodowatym mule. Hak bosaka zaczepił o rękaw szpitalnej koszuli. Pękł szew, ale udało się ją wyciągnąć na kamienny podest.

Mężczyźni zamienili pospiesznie kilka zdań. Rozmawiali w języku, który słyszała pierwszy raz w życiu - po hiszpańsku, jak sobie później uświadomiła. Rękami w czarnych gumowych rękawicach wskazywali jej twarz, ręce. Zdumiewała ich i niepokoiła. Kawałkami papieru otarli brud oblepiający jej oczy i usta. Pomogli jej wstać. Sprawdzili, czy niczego sobie nie złamała. Byli żabnicokształtni. Mieli jedno zmętniałe oko, świecący frędzel na końcu wyrastającej z głowy wypustki i długie wąsy wokół pyska. Należeli do kasty pariasów, najpodlejszej z podłych.

Zaprowadzili Evę do wylotu żelobetonowego tunelu o idealnie okrągłym przekroju. To była droga do wyjścia. Mężczyźni wrócili do swoich zajęć, a Eva ruszyła tunelem do góry.

Przyświecał jej fosforyzujący niebieski mech. Jej stopy też świeciły, oblepione niebieską mazią. Szła tak całymi godzinami. Zraszacze w suficie tryskały delikatną mgiełką, która

osiadała wolno w niebieskawym powietrzu i rozmyślała kontury wszystkich obiektów. Podobne do szafirów krople czepiały się kosmatych ścian. A potem powietrze zrobiło się brunatne. Eva poczuła na języku smak zarodników na długo przed dotarciem do grzybowej farmy.

Znalazła się w ciemnej jaskini, pełnej stojaków o półkach wysypanych ziemią, zwieszających się z góry gumowych węży i stalowych zbiorników na zardzewiałych stelażach. Z gruzłowej petrogleby wyrastały skupiska miękkich białych grzybów. Zjadła kilka i popiła je wodą z węża, a potem wspięła się na półkę stojaka i poszła spać.

Po przebudzeniu przeszła z tej jaskini do następnej, a potem do kolejnej. Wyglądały identycznie, ale w końcu dotarła do takiej, w której nie rosły grzyby. Znalazła w niej szemrzące pompy i kuliste bursztynowe zbiorniki na aluminiowych podporach. Podłogę wyścielał czarny pumeks. W świetle gołej żarówki cienie kładły się kratownicą na kałuże stojącej wody.

Uderzyła głową w rurę i zakłęła.

- Ostrożnie - rozległ się obok niej, w ciemności, obcy głos. - Bo zrobisz sobie krzywdę.

Bardzo gruba stara kobieta o długich siwych włosach patrzyła na Evę łagodnymi oczami. Ręce miała skrzyżowane pod krągłym brzuchem koloru bursztynu. Wisiała do góry nogami.

Kobieta była zbiornikiem. Eva się rozejrzała: wszystkie zbiorniki były w istocie kobietami; dwie z nich zdążyła już minąć, niczego nie zauważywszy. Teraz obie parsknęły śmiechem, rozbawione jej zaskoczeniem.

Zakręciło się jej w głowie. Musiała usiąść na podłodze.

- Wydajesz się niedożywiona - zauważyła najbliższa z małżowatych kobiet.

- Na samych grzybach długo nie pociągniesz - dodała druga.

- Lubisz mleko?

Kobiety-malże karmiły ją mlekiem przez wiele dni. Mleko spływało im z brzuchów do gardeł, z odgłosem przypominającym przelknięcie. Eva je całowała, a wtedy słodkie jak miód mleko ściekało z ich twardych brązowych pysków wprost do jej ust.

W końcu jednak czas spędzony pod ziemią dobiegł końca i Eva znalazła się daleko od grzybowej farmy. Po zboczu przydrożnego rowu wygramoliła się na zalaną przebarwionym światłem słońca powierzchnię Tahuantinsuyu, a potem ruszyła drogą przed siebie. Była ubrana w worek foliowy. Wargi miała spękane od słońca. Przez cały dzień mijały ją wozy - zaprzężone w mężczyzn i przez mężczyzn powożone. Nikt się przy niej nie zatrzymał.

Szła tak cały jeden dzień, a potem drugi, licząc na to, że w końcu znajdzie jakieś miasto. Pękały jej paznokcie, z nosa kapąło. Szła wpatrzona w pianobeton pod stopami. Ziemia stała

się grudą przypalonego puddingu, szerniałą bryłą ciasta przyklejoną do błyszczącej metalowej patelni. Koło wozu rozwałkowało ją na płask. Smakowała brandy i trocinami. Niebo zwisało w strzępach z zardzewiałych pinezek. Za dużo prania w brudnych rzekach. Za dużo wykładania na kamień i bicia kijanką.

Caminé y caminé.

Przez cały ten czas upadła kobieta klęczała przed kapliczką na dworcu kolejowym. W końcu wstała i ukradła wafelek z półki na ofiary.

Wyszła na ulicę, pogryzając wafelek, i ruszyła przed siebie bez celu. Szła i szła, zerkając w ostrożne oczy mijanych mężczyzn.

Encontré el camino a traves de la ciudad.

Niektórzy mężczyźni taksowali ją wzrokiem, ale żaden nie chciał jej spojrzeć w oczy. Czyżby dziś wieczorem zabrakło spragnionych? Czyżby nikt nie był zdesperowany?

Nadie me miró a los ojos. No se escuchó ninguna voz.

I tak być powinno. Była jedną z wybranek. Była zakazana i czczona jednocześnie. Po to się urodziła. Swoją świętością mogła uzdrawiać chorych albo zakazać zdrowych. Ludzie budowali jej ołtarze, pluli na nią, zapalali jej świece, palili ją na stosie, umierali dla niej i zabijali jej dzieci. Do tego właśnie przywykli.

Wędrowała po placu, na którym chodniki wyłożono mozaiką z miki i turkusów. Przeszła po ikonach przedstawiających Wielorybiego Cesarza i jego konkubiny i usiadła na kamiennej ławce pod juką.

Minęła ją rozproszona gromadka dzieci-osłonic. Pod opieką odzianej w długi czarny habit siostry-kałamarnicy wracały z wycieczki edukacyjnej. Miały gładkie, błyszczące główki i oczy jak czarne guziczki. Poszturchiwały się nawzajem, szeptały, a drobne kamyki uwierały je w butach. Wszystkie sprawiały wrażenie bardzo zadbanych. Miały domy i łóżka, do których mogły wrócić. Miały oficjalne imiona. Upadła kobieta miała ochotę pogłaskać je po główkach. Patrzyła na swoją bezradnie wyciągającą się ku nim rękę.

Zakonnica natychmiast do niej doskoczyła, patrząc spode łba, wygrażając jej pięścią i wrzeszcząc na dzieci:

- Odsuńcie się od niej! Nie dajcie się jej dotknąć! To nierządnicą! Brudna dziwka!

Zagarnęła dzieci i zaczęła się oddalać. Musiały biec, żeby za nią nadążyć.

Upadła kobieta odeszła z placu. Szła ulicami w świetle latarni, kreśląc kontury kolejnych sześciokątów. Zagrały syreny obwieszczające godzinę policyjną.

Tyle problemów... Wszystko przez to, że uciekła spod noża chirurgów. Wszystko mogło ułożyć się tak spokojnie, gdyby nie to, że chciała żyć. Spuściła swoje tajemne dziedzictwo w toalecie - i gdzie wylądowała? W szambie. W kamiennym labiryncie.

Szła przed siebie, coraz głębiej w noc, po deskach, papie i złomach żelobetonu. Idąc, śniła na jawie o rzekach, pampie, dżungli. Marzyły jej się piaszczyste wydmy, zasy pyłowe, sterty suchych liści - coś miękkiego, na czym mogłaby się położyć. Wolałaby teraz spać.

¿A donde podia yo ir?

W kamiennym labiryncie. W rafie koralowej. W kopcu termitów. W ojczystej krainie, w której jej rodacy potracili ludzkie twarze.

En el lugar donde nacir. En un laberinto de piedra.

Opowiedz o swojej niedoli. Opowiedz o swojej niedoli, gdy dzień kończy się powoli. Opowiedz, opowiedz, opowiedz.

Nagle usłyszała za plecami klekot krabowych odnóży policjanta. Rzuciła się do ucieczki, biegiem wśród rozchwianych cieni, do stoczni, nad morze.

Biegła w stronę morza, powtarzając:

Nie, nie, nie! Tak nie może być! Rzucono na mnie urok! Mam żmije zamiast wnętrzości. Jestem koszmarem z krwi i mydlin. Jestem zatrutym popiołem piętrzącym się na wodzie. O, bogini! Dewy! Aniołowie światła! Niech ktoś przełamie to zaklęcie; niech ktoś stłucze tę żarłoczną glinianą butlę i mnie uwolni. Pocałuje. Obetnie mi głowę. Przebije się przez las cierni. Przeszyje moje serce.

Biegła ku morzu, wyśpiewując swój lament:

Albowiem kruk zdławił powierzchnię bezmiaru wód. Helodermom nie urodzą się dzieci. Iguany będą ukrywały sekrety przed sobą nawzajem. Powrócą skorpiony morskie i skaczące kraby. Będziemy musiały wywieźć nasze dzieci daleko i ukrywać się przed jaskiniowcami, którzy tańczą wokół ognisk z rozgrzany do czerwoności żelaznymi pogrzebaczami w dłoniach. Będziemy musiały na nowo odkryć rolnictwo, suszenie, śpiew, tkactwo, modlitwę... Wszystko od nowa, po raz stutysięczny. Mężczyźni będą daleko, zajęci rozpinaniem sieci na ptaki, zastawianiem wnyków na króliki i oślepieniem żab rozpalonymi pogrzebaczami.

Upadła kobieta ocknęła się z zadumy na końcu pirsu, w tym samym miejscu co poprzednio. Płonąca na morzu ropa na przemian rozblęskiwała i przygasła w ciemności. W migotliwym blasku ognia kozuch brudu wyglądał zdradziecko solidnie, jak afrykańska pustynia, na której karawana stanęła na noc obozem. Czarny dym kłębił się wokół płomieni i wirem wznosił ku niebu.

Postanowiła ze sobą skończyć. Oczyma wyobraźni widziała już swoje zwłoki, zaplątane

w morszczyń i oblezione przez maleńkie błękitne kraby. Wypływające na otwarte morze. Smutne resztki kobiety nocy, która życie we wstydzie zakończyła śmiertelnym grzechem samobójstwa.

Prawdę mówiąc, już wcześniej tego próbowała. I to kilkakrotnie. Truła się, cięła, dusiła gadżetem do poduszania... Za każdym razem jej przeklęty pech sprawiał, że lądowała w szpitalu cała i zdrowa. Zupełnie jakby miała anioła stróża. A ci mantogłowi chirurdzy?! To dopiero podstępne skurwysynki. Byli zdolni do wszystkiego. Potrafili człowieka pozszywać, wpompować mu całkiem nową krew albo przeszczepić cudzą wątrobę. Dla ratowania życia dopuszczali się najgorszych okrucieństw. Byli zboczeni. Jej jednak wystarczyłaby jedna udana próba.

Zdjęła z ramienia torebkę i przytrzymując ją w wyciągniętej ręce za barierką, otworzyła i odwróciła do góry nogami. Fiolki po lekach, dokumenty i sześciokątne monety bezgłośnie poleciały w mrok. Wypuściła torebkę, nasłuchując odgłosu upadku. Na próżno.

Wspięła się na pacholek, a z niego na balustradę. Stała w ciemności na poręczy, z łatwością utrzymując równowagę. Oddychała spokojnie. Dokładnie wiedziała, jak zawibruje poręcz uwolniona od jej ciężaru.

Jakiś mężczyzna coś do niej powiedział. Nie była sama. Odwróciła głowę, straciła równowagę, pośliznęła się.

Spadła na pirs. Upadła na wznak, patrząc w górę na ubranego w garnitur człowieka-suma. Podał jej rękę i pomógł wstać. Wystarczyło jedno dotknięcie jego spoconej dłoni, by Eva zorientowała się, że właśnie znalazła sobie klienta na tę noc. Był zdenerwowany. Lubiała takich. Byli mniej kłopotliwi.

Tak oto suma zmienił jej plany na ten wieczór i znów skomplikował jej życie. Ale będą przecież inne wieczory, jutro albo pojutrze.

- Już po godzinie policyjnej - powiedział. - Nie powinniśmy tu być.

Wzruszyła ramionami.

- Co tu robisz?

- Myślałam, że to oczywiste.

- Smutno ci? - Gapił się na jej piersi. - Jesteś samotna?

- Tak - przytaknęła. - I mam problemy finansowe - dodała z krzywym uśmiechem.

Uwielbiali to.

- Możemy przedyskutować twoje problemy w moim pokoju hotelowym - zasugerował suma.

- Dobrze - zgodziła się. - Chodźmy.

Poddała się rutynie. Wykonywała pożądane ruchy. Skinęła głową. Wzięła go pod ramię. Roześmiała się. Rutyna o wszystko zadbała.

Wrócili do miasta.

Kiedy sum otworzył drzwi pokoju w hotelu, upadła kobieta poszła prosto do łazienki. Wzięła prysznic, owinęła się szlafrokiem gospodarza i wróciła do pokoju.

Siedział w fotelu, z rozpiętym rozporkiem, i grzebał sobie w gaciach. Wyciągnął członek i trzymając go oburącz położył go sobie na piersi. Najwyraźniej penis nie był przyczepiony do reszty ciała; przetaczał się w jego dłoniach, różowy i pożyłkowany. Moszna wyglądała jak uczepiona do niego włochata suszona śliwka.

Sum szczegółowo opisał, co powinna z nim zrobić, gdzie go sobie włożyć, czego absolutnie nie wolno jej robić... Dotarło do niej, że jej klient się boi. Ale czego? Że uprowadzi mu fiuta i zażąda okupu? Że sprzeda go na czarnym rynku? Ile był wart obcięty kutas menedżera niższego stopnia?

Zdjęła szlafrok i wyciągnęła się na łóżku. Sum położył jej członek na brzuchu - komiczną kiełbasę, kolebiącą łebkiem z boku na bok. Błysnął flesz. Sum miał aparat w pogotowiu.

Atamna!

Cały ten wieczór był absurdalny, ale jej to nie przeszkadzało. Otrzyma zapłatę za poświęcony mu czas, a pewnego dnia bogowie jej ludu zapłacą jej za całe trudne życie. Pewnego dnia wysłuchają jej najtajniejszych modłów.

W tym dniu Eva obudzi się na pustyni, w blasku trzech słońc, i nie będzie miała pojęcia, skąd się tam wzięła. Wejdzie w głąb pustyni i zamieszka na niej sama po kres czasu.

Zapomni o samotnych dniach spędzonych wśród swojego ludu. Nigdy więcej się jej nie przyśnią.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

MONTOWNIE

Lecz że zamknięte były drzwi,
Kopię i biję, stukam i
Wyważyć chcę je, lecz na klucz
Były zamknięte, a ja, prócz...⁴

- Lewis Carroll

Tyle razy śnił mi się ten sam sen...

Nie miewam już nowych snów. Śni mi się stale kilka tych samych, w kółko. Większość z nich ma związek z moją młodością.

Ten, na przykład, wiąże się z tym, jak oślepiłem na posterunku - posterunku, który sam sobie wyznaczyłem. Wyimaginowanym posterunku.

We śnie jestem młodym, srogim durniem, jakim faktycznie byłem, mieszkając w Chicago w 1995 roku. Miałem wtedy jeszcze własne nogi i prawie całe ręce - te, z którymi się urodziłem. Po pierwszym gwałtownym zrywie tempo mojej autodestrukcji wyraźnie się zmniejszyło.

Bezpowrotnie odeszły szczęśliwe dni, kiedy to w fabryce obcinałem sobie rękę i jak gdyby nigdy nic szedłem do domu na piwo. Najwidoczniej czułem jakiś sentymentalny związek z samym sobą.

Mówię o durniu, którym byłem, ale z trudem udaje mi się w niego uwierzyć. Wyobraźcie sobie tekturową sylwetkę młodego głupka, tak będzie lepiej. Ubierzcie go w wycięte z papieru ubranie: jasnoniebieska koszula, szorstkie szare spodnie, małe czarne buciki. Włóżcie go do świata ruchomych tekturowych mieszkań, do pudełka z teatrzykiem nazywanym „fabryką”. Tekturowe ściany, tekturowi ludzie, tekturowe maszyny. Doskonale. A teraz

⁴ Przeł. M. Słomczyński.

pryczepcie mu elektryczny śrubokręt do kikuta prawej ręki i dłoniokształtną protezę do kikuta lewej.

Oto on.

Postawcie go przy taśmociągu. Po taśmie suną kineskopy w metalowych obudowach, zaopatrzone w jakieś obwody drukowane i kolorowe przewody.

Z oczywistych powodów został przeniesiony z wydziału produkcji modeli. Jego nowa praca polega na montowaniu w obudowach monitorów tylnych ścianek z płyty pilśniowej. Lewą ręką wkłada śruby na miejsce, prawą - śrubokrętem - dokręca je. Jego rękami steruje zaprogramowany automat. On sam nie musi im poświęcać ani krzty uwagi.

Dlatego błądzi myślami gdzie indziej. Ogląda kurz na cementowej posadzce. Albo przygląda się innym monterom, którzy muszą myśleć (przynajmniej trochę) o tym, co robią. Albo zamyka oczy i wsłuchuje się w fabrykę - klekotanie kluczy pneumatycznych, pomruk silników taśmociągu, biały szum klimatyzatorów.

Wymyśla kłamstwa na temat swojej przeszłości. Udaje, że rękę stracił na wojnie - tak, tak, toczy potajemną wojnę z fabryką. Wygląda na to, że fabryka wygrywa. Jest inny niż wszyscy. Tamci przychodzą tu po prostu dla kasy. A on nie potrzebuje pieniędzy. Co by z nimi robił? Nigdy nie wychodzi z fabryki. Nigdy nie ogląda dziennego światła. Nigdy nie śpi.

Brzmi jak chodząca zagadka. Co to jest: wojuje z fabryką, nie ma rąk i nigdy nie śpi?

Nie mam pojęcia, ale dreszczyk przeszedł, co? Ha, ha, ha.

Bynajmniej nie odmawiałem przyjmowania wypłaty. Przeciwnie, pobierałem pensję, i to w potrójnej wysokości, bo dzień w dzień pracowałem na wszystkich trzech zmianach, tyle że pod różnymi nazwiskami. o czwartej po południu odbijałem na wyjściu kartę Aleksa Pierwszego, a na wejściu Aleksa Drugiego.

Podobno człowiek musi spać. Może więc nigdy nie byłem człowiekiem? Może byłem maszyną, która sama się oszukiwała? Łatwo jest się ukryć przed sobą samym: wystarczy znaleźć miejsce, w które nigdy się nie zagląda, pracować non stop i nie spać. W ten sposób nigdy się człowiek nie dowie, kim jest, a odwali niesamowity kawał roboty.

Można rozmyślać o nowych celach w życiu. Można odliczać minuty pozostające do przerwy na kawę, a kiedy przerwa wreszcie nadchodzi, iść do tak zwanej stołówki (rzędu automatów z jedzeniem i pić stojących pod gołą kamienną ścianą), usiąść na poliuretanowym krześle i dalej myśleć. Można pić gorące kakao i rosół i myśleć. Można jeść hot doga i lody i myśleć. Można zsumować liczbę śrub, które się codziennie przykręca. Nie można zrobić tylko jednego, jeśli jest się mną: nie można przestać myśleć. Taka wada projektowa. Jeżeli choć na chwilę przestanę myśleć, wszystkie rdzenie pamięci zostaną

wyzerowane.

Na czym to ja stanąłem?

Stałem przy taśmie i przykręcałem pilśniowe tylne ścianki do obudów, kiedy mój brygadzysta, pan Bosch, i dozorca, pan Siever, przyszli i stanęli za moimi plecami. Pan Bosch postukał mnie w ramię, żeby zwrócić moją uwagę, a potem skinął na mnie palcem, każąc mi iść ze sobą do biura. Siever zajął moje miejsce przy taśmie.

Kantorek pana Boscha mieścił się w oszklonej budce w kącie podziemnej hali, w której pracowaliśmy. Znajdowały się w nim dwa krzesła, metalowe biurko, szafka na dokumenty i wieszak na płaszcze. Lampka na giętym pałuku rzucała owalną plamę światła na gąszcz poplamionych olejem papierów. Pan Bosch - łysy, w grubych okularach - wskazał mi krzesło i przesunął w moją stronę leżącą na biurku notatkę służbową.

- Firma postanowiła cię przenieść. Szefostwo wymyśliło jakiś nowy bzdurny program motywacyjny. Przeczytaj to.

Podniosłem notatkę na wysokość twarzy. Nie zamierzałem jej czytać, ale wyznawałem żelazną zasadę, by nie sprzeciwiać się innym ludziom. Przekonałem się na własnej skórze, że gdy tylko się komuś postawisz, z miejsca zostajesz wciągnięty w jego głupi prywatny świat. Unikanie sporów doprowadziło do tego, że w ogóle z nikim nie rozmawiałem i żyłem sobie całkiem sam we własnym głupim prywatnym świecie. Okrutnie samotny i wiecznie nagabywany przez tłum idiotów - oto jak wyglądało moje życie. Szczury poddane mniejszej presji odgryzają sobie łapy.

Pan Bosch obserwował mnie cierpliwie. Próbowałem czytać notatkę, ale jakkolwiek bym ją obracał w rękach, zawsze mi się wydawało, że ją trzymam do góry nogami.

Pan Bosch wyjaśnił mi, że będę od tej pory wykonywał obowiązki wszystkich innych pracowników - nie jednocześnie, ale po kolei, rotacyjnie. Miałbym zastępować monterów na stanowiskach i zapewniać im nieplanowane dziesięciminutowe przerwy.

- Wiąże się z tym dwunastoprocentowa podwyżka - dodał. - To awans. Wiesz, dlaczego cię wybrali? Zerowa absencja, Alex. Czy ty nigdy nie chorujesz?

- Szkolę się, żeby zostać maszyną. Od kiedy zaczynam?

- Już zacząłeś. Moje gratulacje. Ten awans to najlepsze, co cię mogło spotkać.

- Zgadzam się.

- Wiesz, dlaczego tak mówię, Alex?

- Nie mam pojęcia.

- Chodzi o twój problem psychologiczny. Bo ty masz problem, Alex, problem wielki jak cały świat. Mówiłem ci już o tym?

- Możliwe. Mogę już iść?

- Jesteś zagrożeniem dla siebie i wszystkich, którzy cię otaczają, Alex. Potrzebujesz terapii. Długiej terapii, Alex.

- Dziękuję za troskę, panie Bosch.

Wyszedłem z kantorka i skierowałem się w stronę taśmy. W zmechanizowanej ręce nadal trzymałem notatkę, więc teraz znów na nią zerknąłem. Było coraz gorzej: nie dość, że nie byłem w stanie nic odczytać, to jeszcze zapomniałem, co to w ogóle jest. Zdarzały mi się takie sytuacje. Zdumiewały mnie wtedy zwykłe, codzienne przedmioty: papierowy kubek, budzik, kartka z notesu... Wiedziałem, że pełnią jakieś funkcje, ale za nic nie potrafiłem ich nazwać.

Klakson zatrzął mi prosto w ucho. Stałem między dwoma wózkami widłowymi, których kierowcy spierali się o pierwszeństwo przejazdu. Zszedłem im z drogi.

Poszedłem do szatni, otworzyłem swoją szafkę i postanowiłem wymienić śrubokręt na bardziej wszechstronną protezę. Wybrałem tę tworzącą komplet z ludzką dłonią przypiętą do lewego przedramienia.

Siever trwał na moim stanowisku i w nabożnym skupieniu wykonywał moją robotę. Wyglądało na to, że obaj awansowaliśmy. Przeszedłem wzdłuż taśmy aż do windy towarowej, którą odjeżdżały gotowe monitory.

Zaglądałem pracownikom przez ramię, uczyłem się ich ruchów na pamięć. Gdyby było mnie więcej, pomyślałem, mógłbym sam obsadzić całą tę fabrykę.

Stałem za plecami Evangeline, starszej Murzynki z paskudnymi żylakami na nogach. Lubiłem ją, ponieważ doceniała przemysłność moich protez, a raz sprezentowała mi na Boże Narodzenie świąteczną pocztówkę. Była ubrana w krzykliwą różową sukienkę, na głowie miała wałki do zakręcania włosów. Przed nią na taśmie przesuwały się obwody drukowane, a ona w każdy z nich wstawiała diodę z ustawionego z boku pudełka. Pinceta w jednej ręce, lutownica w drugiej.

Na mój widok wyjęła zatyczki z uszu.

- Co ty tu robisz? - zdziwiła się.

- Dostałem nową robotę.

- To świetnie, skarbie. Jesteś za bystry na to, żeby tu pracować.

- Daj lutownicę. Zastąpię cię.

- Jakiś ty uprzejmy.

Zeszła ze stołka i oddaliła się sztywnym krokiem.

Jej słowa nie dawały mi spokoju. „Co ty tu robisz?”. Niebezpieczne pytanie.

Letnie tygodnie wlokły się niemiłosiernie, a ja powoli uczyłem się wszystkich zadań montażowych wykonywanych w naszej podziemnej hali. Byłem dumny ze swojej pracy i miałem nadzieję, że wkrótce stanę się maszyną. Byłem całkiem zadowolony, jeśli nie liczyć bezsenności i problemu z nadmiarem myślenia - do czasu, aż przyśnił mi się ten zły sen. To była pierwsza przerwa na nocnej zmianie. Zasnąłem na krześle w stołówce. Przyśnił mi się koszmar.

(Więc jednak spałem. Oto dowód).

Śniło mi się, że jak zwykle pracuję przy taśmie, tyle tylko, że zamiast montować monitory, produkujemy na szlifierkach części do samolotów. Odłamki plastiku odbijały mi się od okularów ochronnych. Nie rozumiałem, dlaczego takie duże elementy kadłuba trzeba koniecznie robić z polistyrenu, który jest przecież bardzo łatwopalny. Odszedłem ze swojego stanowiska w poszukiwaniu miejsca, w którym ktoś składałby te elementy w całość, i dotarłem do hangaru wypełnionego modelami bombowców zbudowanych w skali jeden do jednego i pustych w środku. Wyglądały diabelnie imponująco, ale wiedziałem, że nigdy nigdzie nie polecą.

Po drugiej stronie hangaru pracownicy wytaczali gotowe maszyny na zewnątrz. Wyszedłem za nimi. Odrzutowce zjeżdżały pochyłym pasem wprost do lejka gigantycznego młyna mielącego je na kawałki, z których - jak nagle sobie uświadomiłem - po przetopieniu powstawały nowe części do samolotów.

Wróciłem do fabryki, żeby podzielić się swoim odkryciem z innymi. Znalazłem pana Boscha, ale kiedy próbowałem z nim porozmawiać, nie mogłem wykrztusić ani słowa. Poszedłem do szatni przejrzeć się w lustrze i zorientowałem się, dlaczego nie mogę otworzyć ust: moja głowa była zrobiona z białego plastiku, gładka i pusta.

Obudzony na krześle, próbowałem sobie przypomnieć sen, ale w głowie kołatały mi tylko te słowa: „Co ja tutaj robię?”.

Co my wszyscy robiliśmy? Pracowaliśmy dla ESU, Educational Systems Unlimited. Ale co montowaliśmy? Co produkowała nasza fabryka? Pytałem ludzi, ale nikt nie umiał mi odpowiedzieć. Miało to coś wspólnego z edukacją. Normalny człowiek w tym momencie by odpuścił i przestał się dopytywać, ale nie ja. Ja byłem niedoszłą maszyną z deficytem snów i misją do wykonania.

Wsiadłem do windy i razem z partią monitorów zjechałem na niższą kondygnację. Tam nauczyłem się sekwencji montażowej wykonywanej przez faceta imieniem Joe. Miał orientalne rysy, wystrzępioną kocią bródkę i zwinne palce, i przez cały dzień budował spluczki do toalet: wkręcał do nich okrągłe miedziane płytki.

- Może wy tutaj i my u siebie produkujemy dwie zupełnie różne rzeczy? - zasugerowałem.

- Niemożliwe - odparł Joe. - To wszystko elementy jednej całości.

- Ale jakiej? Płatnego kibla z telewizorem?

- Wiem tyle, co i ty. Dlaczego w ogóle tak się tym przejmujesz?

- Jestem po prostu ciekawy.

Joe podrapał się po brodzie.

- Ciekawość to pierwszy stopień do piekła - powiedział.

Ruszyłem z biegiem rzeki spluczek, wypatrując miejsc, w których łączyłyby się strumienie komponentów.

- Przepraszam, przeprowadzam ankietę: jak myślisz, co tu się produkuje?

Przestałem zastępować monterów przy taśmie. Samowolnie zmieniłem zakres swoich obowiązków. Zatrzymałem się w poszczególnych rejonach fabryki tylko na chwilę, żeby się zorientować, co się w nich wytwarza i dokąd trafia gotowy produkt.

Hipisowski typek nazwiskiem Reeves miał pewne ciekawe teorie. Próbowałem go wysondować, kiedy wkręcał do wyświetlacza kolorowe lampki: zieloną, czerwoną, niebieską.

- Jak myślisz, do czego to jest? - zapytałem.

- A co mnie to obchodzi? Mam swoje problemy.

- Ale gdybyś miał zgadywać...

- Może my wcale niczego nie produkujemy, gościu. Mam kumpla, pracuje dwa poziomy niżej. Tapiceruje fotele. Aż się człowiek zaczyna zastanawiać, co to będzie: fotel, monitor, kibel, kolorowe lampki... I wiesz, co ci powiem? Wcale nie jestem przekonany, że chcę wiedzieć. Mam milion teorii, ale o większości staram się nie myśleć.

Tyle Reeves. Odbiłem kartę i w środku zmiany poszedłem do domu. Przeszedłem Pulaski do Humboldt i złapałem autobus jadący na wschód, do arsenału gwardii narodowej. Moje mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze nad Walgreenem. Zjadłem trochę popcornu i walnąłem w kimono. Spałem na podłodze, bo nigdy się jakoś nie zebrałem, żeby kupić materac. Całkiem liczne w mieszkaniu szczury i karaluchy nie wchodziły mi w drogę. Chyba się bały.

(Czyli miałem mieszkanie. Zapomniałem już o tym).

Przyśnił mi się kolejny sen. Oglądałem niemy film o młodym, przesadnie poważnym mężczyźnie imieniem Felix. Jest gładko ogolony i po germańsku przystojny, czarne jak smoła włosy zaczesuje gładko w tył, odsłaniając wysokie blade czoło. Taki drugi Colin Clive.

Pracuje w fabryce. Ze stoperem w ręku kontroluje pracę maszynarii, sprawdza tempo

pracy sprężarek i robi notatki. Siaduje też przy biurku w ceglanej wnęce z pochyłym stropem i pociąga za korbkę maszyny liczącej.

Wszystko w tym niemym filmie jest ogromne, kanciaste i koślawe. Poruszają się gigantyczne tłoki. Z krat w podłodze buchają obłoki pary. Pozbawione twarzy ludzkie roboty w więziennych trykotach wloką się noga za nogą. Otyli nadzorcy stoją na metalowych balkonach i trzaskają z batów.

Felix zostaje wezwany przed oblicze przełożonego, Ivana - chodzącej beki tłuszczu z wąsem jak u morsa. Ivan każe mu posprzątać zalatujący pleśnią magazynek, żeby zrobić miejsce dla nowych maszyn. Felix zakasuje rękawy i bierze się do roboty.

Mocuje się właśnie z tokarką, kiedy zauważa jakiś przedmiot wciśnięty pomiędzy nią i ścianę. (Tu nastrojowe oświetlenie i złowieszczą muzyka organowa). Felix zdmuchuje kurz ze swojego znaleziska - czarnego pudełka wielkości dużego słownika. Jego twarz przybiera dziwny, chorobliwy wyraz. Pudełko go intryguje. Wieczorem chowa je pod połą płaszcza i potajemnie wynosi do domu.

(Napis na ekranie: MIJAJĄ DNI).

Felix się zmienia. Przykłada się do pracy jak nigdy dotąd, ale zapomina się ogolić. Chudnie. Jego oczy przypominają oczy żołnierza w niewoli. (Napis: PEWNEGO RANKA...).

Felix przychodzi do pracy jeszcze bardziej wymizerowany niż zazwyczaj. Jego płaszcz dziwnie opina ciało. Kiedy Felix zdejmuje go i wiesza na wieszaku, widać, że zamiast prawej dłoni ma toporną protezę. Ani jednego dnia chorobowego, ani słowa wyjaśnienia, tylko ta odcięta ręka i przyczepiony do kikuta prymitywny szpon domowej roboty.

Inni robotnicy za bardzo się go boją, żeby zapytać, co się stało. Nikt już z nim nie rozmawia, ale powtarzane szeptem plotki grzmiać ogłuszająco. W końcu Ivan prosi Feliksa do swojego kantorka i ostrożnie, z drugiej strony biurka, zadaje pytanie: (Napis: CO CI SIĘ STAŁO?).

Felix siada, na wpół ukryty w cieniu. Milczy jak głaz. Ivan nie wytrzymuje jego spojrzenia, spuszcza wzrok. Felix jest jeszcze ciągle zbyt szlachetny, żeby kłamać, ale jak ma wyjaśnić brygadziście, że nakarmił swoją ręką czarne pudełko? Ivan spogląda na szpon, który z łatwością mógłby rozszarpać człowiekowi gardło na krwawe strzępy.

Film się urywa, ekran robi się biały, sen się kończy.

Następnego wieczoru w drodze do pracy zająrzałem do Walgreena. Kupiłem notatnik i stoper. Ludzie zechcą ze mną rozmawiać, jeśli będę coś notował. To będzie wyglądało bardziej oficjalnie.

Stoperem zmierzyłem czas niezbędny do tego, by przebyć drogę od zegara przy bramie

do budynku za torami, w którym realizowałem swoją misję. Dwadzieścia straconych minut. Przestałem odbijać kartę. Byłem w niebie.

Wytropiłem pewien szczególnie obiecujący element - klawiaturę komputerową. Taśmociąg niósł klawiatury w głąb wąskiego ceglano tunelu o łukowatym sklepieniu. Weisnąłem się obok taśmy do tunelu i posuwając się bokiem, brnąłem coraz głębiej, chcąc się dowiedzieć, dokąd prowadzi. Tunel ciągnął się w nieskończoność, skręcając od czasu do czasu. Światła było w nim dość, ale rwało mnie w kolanach, plecy zaczynały mnie boleć od schylania się przed podporami, a od gadania do siebie zaschło mi w gardle. Wczołgałem się więc pod taśmociąg, ułożyłem między podporami i poszedłem spać.

Było całkiem przytulnie. Z obu stron taśmociągu zwieszały się gumowe fartuchy, chroniące produkty przed kurzem. Położyłem się na boku, bo na plecach miałem wysypkę. Człowiek z misją musi się czasem zmagać z wysypką.

Najgorsze było to, że ledwie przymknąłem powieki, natychmiast zacząłem śnić. We śnie leżałem na wznak na taśmociągu, który niósł mnie w dal, i patrzyłem na przesuwany się nade mną sufit. W pewnym momencie taśma się zatrzymała. Mężczyzna w białym kombinezonie odkręcił mi prawe ramię, odłożył je na bok i taśmociąg znów ruszył. Ilekroć się zatrzymywał, kolejni mężczyźni w białych kombinezonach odejmowali mi kolejne członki. Sen trwał, a ze mnie zostawało coraz mniej.

Obudziłem się i zdeorientowany wytknąłem głowę spod gumowych fartuchów. W pierwszej chwili miałem wrażenie, że spoglądam w głąb pionowego szybu zakończonego jasno oświetloną komorą, w której ludzie w białych fartuchach i kapciach chodzą w tę i z powrotem po białej ścianie.

Dopiero stanąwszy na nogi, poznałem, gdzie jestem: w dziale komputerowym. Ze szczelin w suficie zwisały ruchome beżowe przegrody. Wszyscy pracownicy mieli na twarzach filtry powietrza, żeby lepiej chronić obwody drukowane.

Personel przyjął mnie życzliwie. Pokazali mi, gdzie się mogę umyć, znaleźli mi czysty fartuch i filtr. Wielu miało protezy, zwłaszcza sztuczne oczy, których najpopularniejszym modelem była duża czarna kula z maleńkim białym otworkiem. Młode kobiety z radością wykladały zawilości swoich obowiązków poważnemu młodemu mężczyźnie z notatnikiem pod pachą, ale co rusz pokazywały mi jakieś rzeczy, które były za małe, żebym mógł je zobaczyć. Poznałem tam baptystkę imieniem Jo Anne, która zamiast dłoni miała wtyczki pasujące do skrzynek z mikromanipulatorami. Dziewczyna w moim typie.

Nie miałem jednak czasu na kobiety. Miałem misję do wykonania i znajdowałem się coraz bliżej Gotowego Produktu. Prawie czułem w powietrzu jego zapach. Na moich oczach finalizował się proces montażu.

Na scenę wkroczyły metalowe stojaki, szerokie na dwie stopy i na jard długie. Pojawili się moi starzy znajomi - monitory, które montowano na stojakach, po trzy na każdym. Obok nich wstawiano kolorowe lampki. Na moim wykresie tuzin pokręconych korzeni łączył się, tworząc pień.

Wtedy zobaczyłem pulpity. Buszowałem po magazynie, kiedy na mojej kondygnacji zatrzymała się winda pełna pulpitów. Mierzyły cztery na osiem stóp i były największymi z dotychczasowych komponentów. Postanowiłem uczepić się ich jak rzep psiego ogona. Gdzie one, tam i ja. Usiadłem na ich stosie i razem wyjechaliśmy na górę - aż na poziom gruntu, do hali wysokiej na trzy piętra. Ze swojej wysoko położonej grzędy widziałem ciągnące się w dal rzędy i szeregi aluminiowych budek, podobnych trochę do tych chemicznych wychodków, których już się nie widuje. Niedaleko ode mnie dwóch techników podłączało przewody wózka diagnostycznego do portu jednej z takich budek. Inspekcja.

Zlazłem na podłogę i obszedłem najbliższą budkę. Dostrzegłem wylot klimatyzacji i niepodłączone wyjścia hydrauliczne przy podstawie, ale nie znalazłem drzwi. Tylko cztery przykręcone do stelaża ściany. Gdyby ktoś wszedł do takiej wygodki, utknąłby na amen.

W narożniku jednej ze ścian dostrzegłem naklejkę, fioletowy owal z napisem AUTYSTYKON.

Czyli to właśnie robiłem przez całe życie. Budowałem autystykony. Miałem przed sobą dzieło moich rąk. Nie wiedziałem tylko, czym naprawdę jest.

Idąc wzdłuż ustawionych w rzędzie autystykonów, znalazłem w końcu taki, z którego zdjęto jedną ścianę, dzięki czemu mogłem zajrzeć do środka. Wnętrze było wyłożone pianką i tapicerowane czarnym skajem. W czarny skajowy fotel wbudowano toaletę; sedes wyzierał przez otwór w siedzeniu. Nie miał pokrywy, wyposażono go natomiast w pasy do krępowania użytkownika.

Fotel - mniejszy niż go zapamiętałem - nadawałby się w sam raz dla pięciolatka. Sprzączki pasów były zamykane na kluczyki. Wszystko pasowało. Funkcja wymusiła formę.

No dalej, powiedziałem sobie w duchu. Zajrzyj. Nikt cię przecież nie wepchnie do środka i nie zadzga. Śmiało, Alex. Nie oślepniesz. Obejrzyj wszystko dokładnie.

Z podłokietnika wyrastał wspornik plastikowego blatu. W blat wbudowano klawiaturę. Do drugiego podłokietnika była przymocowana dentystyczna spluwaczka z kranikiem do splukiwania. Pod sufitem dyndała czerwona gumowa rura - pewnie podajnik zimnej owsianki,

domyśliłem się. Owsianki naszpikowanej środkami uspokajającymi. To miało sens. Dzieciak musi jeść. Zamykanie dziecka w pudełku bez jedzenia byłoby nieludzkie.

U góry przedniej ściany znajdowały się monitory, pochylone lekko, w stronę fotela, i kolorowe lampki: czerwona, zielona, niebieska. Spod monitorów zerkąła na mnie kamera.

Podszedłem do dwójki diagnostyków. Jeden - niski i łysy, w grubych rogowych okularach - trzymał w ręce notatnik, palił fajkę i nadzorował pracę drugiego, który był mechanikiem. Nadzorcą był pan Bosch z mojego dawnego działu. Najwidoczniej on też awansował.

Spojrzał na mnie.

- Alex! Nareszcie jesteś. Masz jakieś pytania?

- Co to za budki, panie Bosch?

Zaciągnął się dymem z fajki i zmarszczył brwi.

- Kabiny uczniowskie. Skomputeryzowane kabiny uczniowskie. Dla szkół. Podstawowych.

- Czego uczą?

- Wszystkiego, czego uczy się dziś dzieci.

- Po co w nich sedesy?

- Żeby dzieci mogły srać, Alex.

- A dlaczego nie mogą po prostu pójść do łazienki?

- Bo są przypięte pasami, a kabiny nie mają drzwi.

To wyjaśniało sprawę.

- A te kamery?

- To po to, żeby mieć dzieci na oku.

- Chce pan powiedzieć, że nauczyciele widzą dzieci na monitorach?

- Nic nie mówiłem o nauczycielach.

Nie wiadomo dlaczego serce waliło mi jak młotem, a pięści zaciskały się kurczowo. Chyba się zdenerwowałem. Pan Bosch coś sobie zanotował.

- Jeżeli naprawdę chcesz zobaczyć, jak to działa, powinieneś odwiedzić jakąś współczesną szkołę podstawową. Większość z nich używa wyłącznie autystyków.

Może miał rację, może faktycznie powinienem odwiedzić szkołę. Może tego właśnie wymagała ode mnie moja misja.

Drugi inspektor postukał mnie w ramię. Stałem mu na drodze. Odsunąłem się na bok, a on przykręcił elastyczne węże do wylotów toalety. Sprawdzał spłuczkę.

Zrobiło mi się duszno. Kości miałem jak z namoczonej tektury, która w każdej chwili

może się złamać w dziesięciu miejscach jednocześnie.

Nagle zapragnąłem zabić pana Boscha. Albo siebie. Ale co bym w ten sposób udowodnił? Może powinienem wysadzić fabrykę w powietrze - co wtedy bym osiągnął? Dokładnie nic. Dynamit jest gównem wart. Trzeba działać subtelnie, jeśli chce się komuś naprawdę zaszkodzić, subtelniej niż człowiek. Trzeba być maszyną i pokonać maszyny na ich terenie.

- Panie Bosch?

- Tak?

- Co pan tu dokładnie robi?

- Ja? Losowo wybieram egzemplarze i dokonuję pomiarów. Jeżeli wyniki odbiegają od ustalonych norm, zapisuję ten fakt w formularzu. A ty? Co ty tu robisz?

Złapałem się za głowę. Miałem wrażenie, że trzymam w dłoniach starą kulę ze sparciałej gumy, spękaną i płaczącą pudrem.

- W porządku - powiedziałem. - Wystarczy. Proszę mnie obudzić.

- Słucham? - zdziwił się pan Bosch.

- Niech mnie pan obudzi! Dość już widziałem. Nie chcę oglądać najbardziej krwawych kawałków.

- Co ty wygadujesz? - spytał pan Bosch, tyle że to wcale nie był pan Bosch, tylko jakiś obcy człowiek.

Potrząsałem go za ramiona i darłem mu się prosto w twarz:

- Sen! Sen! Zmieńcie mi sen albo mnie obudźcie!

- Zostaw mnie! - odwrzasnął. - Nie znam cię, człowieku!

Złapałem jego ramiona w plastikowo-metalowe pięści i pchnąłem go do tyłu, na autystykon.

- Dość tego pieprzenia, dupku. Obudź mnie.

Dwaj inspektorzy oderwali mnie od intruza. Ledwie mnie puścili, osunąłem się na kolana i zwymiotowałem. Narzygałem prosto do sedesu w otwartej kabinie; niektóre rzeczy znajdują się na właściwym miejscu we właściwym czasie.

Wstałem, otarłem usta i odszedłem. Zaszyłem się w ciemnym zakamarku komory ładunkowej i wybuchnąłem płaczem. Oszukiwałem się. Nie miałem żadnej misji do wypełnienia. Byłem zwykłym durnym Polaczkiem z urojonymi pretensjami do świętości.

Stałem w cieniu i patrzyłem, jak przygotowuje się partię autystykonów do transportu. Każdą kabinę owijali pianką, którą następnie spinali miedzianymi pasami. Zbijali skrzynie z

płyty wiórowej, do których autystykony wchodziły na styk, a potem po metalowych pochylniach z mozołem wciągali je do czekających ciężarówek.

Wyszedłem na parking, w wąskim przejściu między dwoma samochodami widziałem prążącą się w letnim słońcu Wrightwood Avenue. Chodnik oddzielał od krawężnika skrawek ziemi porośniętej palusznikiem. Przeleciał żółty motylek. Oczekałem do momentu, kiedy nikogo nie będzie w pobliżu, i po pochylni wszedłem do skrzyni ładunkowej jednej z ciężarówek. Zamierzałem odwiedzić szkołę podstawową. To należało do moich obowiązków.

Zapakowane autystykony niemal dotykały srebrnego sufitu skrzyni ładunkowej, ale miejsca wystarczyło, żebym mógł wdrapać się na górę i tam położyć. Wyciągnąłem się na dwóch skrzynkach, podparłem brodę rękami i czekałem.

Zgrzyt i szczełk. Ktoś odstawił ruchomą pochylnię. Pisk zawiasów. Ciemność. Trzask drzwi szoferki. Wibracje od silnika.

Samochód szarpnął, ruszył, zatrzymał się, skręcił w lewo, wrzucił wyższy bieg. Zahamował na światłach przy Pulaski Street, skręcił na północ i z pomrukiem potoczył się po dziurawej jezdni. Skrzynie podskakiwały pode mną.

Skręć na autostradę. Świsł powietrza. Jechałem przez kraj zboża i bydła, przez zmierzch, w noc. Na zachód. Kiedy tylko zaczynało mi się coś zwidywać w ciemności, wyjmowałem i zapalałem zapalniczkę. W równej błękitnej poświacie widziałem swoją rękę, skrzynki, siebie.

Obróciłem się na bok i zasnąłem. Miałem wrażenie, że lecę w dół, jakbym wpadł do ciemnej i głębokiej studni.

Śniło mi się, że jestem żołnierzem przechodzącym wstępne przeszkolenie i właśnie pokonuję tor przeszkód. Bezlistne drzewa pod zachmurzonym niebem. Skuta mrozem brunatna ziemia trzaskała mi pod butami. Biegłem ciężko, dysząc obłokami pary. Byłem sam. Może dostałem karę. Straciłem czucie w palcach rąk i nóg. Przeczłołem się pod drutem kolczastym i biegłem dalej.

Dotarłem do barykady z podkładów kolejowych. Po linie wspiałem się na jej szczyt, przrzuciłem nogi na drugą stronę - i ciężko się zdziwiłem. Po drugiej stronie barykada była wyłożona śliskim aluminium. Puściłem się liny i zjechałem metalowym ślizgiem jak po zjeżdżalni, nogami do przodu.

Ślizg stał się poziomy i wypluł mnie na zamarznąłą powierzchnię stawu. Znieruchomiałem na brzuchu. Lód wydawał mi się cienki. Przelatujący kos posłał mi oburzone spojrzenie. Zacząłem pełznąć do brzegu. Lód jęknął i pękł, a ja wpadłem po pachy w wodę. Rękami bezradnie drapałem lód.

Zapadła noc. Świeża warstwa lodu skuła wodę na wysokości mojej piersi. Staw chwycił

mnie mocno w szczęki, nie groziło mi już utonięcie. Wyszły gwiazdy.

Wojskowy dżip zjechał nad staw, oślepiając mnie reflektorami. Wjechał na lód i zatrzymał się przede mną. Oczy bolały mnie od nadmiaru światła. Czekałem na ratunek, ale samochód po prostu stał beczynnie, powarkując na jałowym biegu. W końcu zatrafił. Chciał, żebym usunął mu się z drogi.

- Objedź mnie! - zawołałem. - Objedź mnie! Masz cały staw!

Modliłem się o wyzwolenie.

Obudziłem się, wygrzebałem zapalniczkę, zapaliłem następnego papierosa, znowu zasnąłem. Zasyzczały hamulce pneumatyczne. Zjechaliśmy na wagę samochodową na granicy z Missouri.

W tym miejscu stareńka klisza ze snem przepala się i pęka. Obraz niknie, ale ścieżka dźwiękowa trwa.

Obudziłem się, kaszląc. Wszędzie było pełno dymu, śmierdziało przypalonymi żeberkami. Najwidoczniej zbite z płyt wiórowych skrzynie były łatwopalne. Piekłem się żywcem. Całe szczęście, że stało się to podczas ważenia samochodu: znaleźli mnie i ktoś wezwał karetkę. Słyszałem głośnie okrzyki złości i obrzydzenia.

Jadąc do szpitala, zastanawiałem się, jak wyglądam. Nie dowiedziałem się, ponieważ ambulans nie chciał mi podsunąć lusterka, a zresztą i tak straciłem oczy. Ugotowały się jak dwie małe szalotki. Ambulans zresztą w ogóle był idiotą. Gęba mu się nie zamykała. Opowiedział mi dowcip z brodą - ten o pudlu, który trafił do mikrofalówki. Kretyn.

Nie byłbym pewnie taki przewrażliwiony, gdyby choć na chwilę udało mi się przestać myśleć. Nawet kiedy się starałem - kiedy, na przykład, próbowałem spalić się na węgiel, albo kiedy zmutowane cykady wyskubywały mi nerwy - zaczynałem myśleć jak opętany, jakbym miał nie dostać drugiej szansy.

W szpitalu położyli mnie na skrzypiących noszach i wieźli po korytarzach pachnących miętą. Radiolog z zatkanym nosem poił mnie stęchlą wodą z papierowego kubka. Zabzyczała jarzeniówka. Radiolog odwrócił mnie i pstryknął następne zdjęcie.

Pielęgniarki zdjęły mi ręce i zabandażowały mnie od stóp do głów. Przez wiele dni leżałem w łóżku i sikałem w cewnik, napelniając moczem plastikowe woreczki. Potem wysiadły mi nerki i podłączyli mnie do hałaśliwej maszynierii do dializy.

Do ślepoty musiałem się przyzwycząić. Z początku desperacko usiłowałem przypominać sobie wygląd różnych rzeczy; chciałem utrwalić je w głowie, zanim przepadną na zawsze.

Jednakże, im bardziej chciałem pamiętać, tym szybciej zapomniałem. W końcu dałem sobie spokój.

Bandażę zdjęli ze mnie razem ze skórą - ale dermatolog to przewidział i zawczasu zamówił nowiutką skórę z koncernu farmaceutycznego w Bostonie. Z początku trochę mnie swędziała, ale cieszyłem się, że ją mam.

Kiedy serce odmówiło posłuszeństwa, kardiolog miał już na podorędziu nowe, a skoro już mnie otworzyli, hepatolog skorzystał z okazji i wymienił mi wątrobę. Ciągłe jeszcze czekaliśmy na nowe nerki ze sklepu z nerkami w Armadillo. Jedzenie było smaczne, a moje ubezpieczenie z pracy pokrywało wszystkie koszty.

Wreszcie sprawa moich wnętrzności się wyklarowała i oftalmolog mógł mi podłączyć nowe oczy. Wszystko widziałem w pastelowych odcieniach, perłowych szarościach, rozwodnionych akwarelach - kolorach chlebowej pleśni, ale, do licha, przynajmniej miałem oczy! Przyzwyczaję się.

Skierowali mnie na terapię. Bardzo jej potrzebowałem, ponieważ byłem osobnikiem mocno zaburzonym. Musiałem się dużo nauczyć o kanalizowaniu swojej nienawiści do samego siebie i społecznie akceptowalnych sposobach jej uzewnętrzniania. Moi terapeuci wierzyli we mnie: jeżeli się przyłożę, jeśli stanę się lepszym człowiekiem, to pewnego dnia - być może - stanę się ponownie użyteczny. Może nawet zostanę ciężarówką dostawczą albo śmieciarką. Pomaganie innym odgrywa kluczową rolę w procesie rehabilitacji.

Wydaje mi się jednak, że najważniejsze w życiu jest to, żeby coraz bardziej upodabniać się do maszyny, a coraz mniej przypominać człowieka. Próbowałem wam to wyjaśnić, kiedy się poznaliśmy. Powiedziałem o tym Naomi, kiedy, szurając nogami, wychodziliśmy z kręgielni. Powiedziałem Evie, kiedy we troje ukrywaliśmy się w krzakach na tyłach pralni. Ciało jest takie wilgotne i lepkie... Fakt, że Naomi potrafiła nas wchłonąć, najlepiej dowodzi moich racji. Musisz się stać maszyną, jeśli chcesz tego uniknąć.

Po wypisaniu ze szpitala wróciłem do swojej szczerzej nory przy Humboldt. Wszelkie społeczne skłonności opadły ze mnie jak zgniłe owoce z drzewa. Nauczyłem się przyjaźnić z ludźmi; umiałem opowiadać im dowcipy, żeby się przy mnie rozluźniali.

Pierwszej nocy w mieszkaniu znów przyśnił mi się Felix i jego fabryka. Opowiedzieć wam o tym, zanim pogrążę się w odmętach fal alfa?

Felix siedzi przy biurku naprzeciw Ivana, przyciskając do piersi to swoje złowieszcze czarne pudełko. Ivan wstaje. Uśmiecha się niepewnie. W kadrze pojawia się tłum robotników otaczających Feliksa. Są wychudzeni, a ich oczy są całkowicie pozbawione wyrazu. W tym momencie Felix doznaje olśnienia: fabryką rządzą zombi. Żywe trupy. Zabiłyby go dawno

temu, gdyby nie fakt, że dopiero teraz zdały sobie sprawę, że jest żywy.

Gonia go po całej fabryce, śliniąc się i rycząc. Mijają tryskającą skrami odlewnię. W tle widać wybuchy gazu. Fabryka się wali. Felix dostrzega drzwi, dopada do nich i wybiega na zewnątrz. W oślepiającym blasku słońca nieżywi robotnicy nie mogą go tknąć.

Stoi na smaganej wiatrem pustyni. Biały piasek ciągnie się jak okiem sięgnąć, w oddali tworzą się nad nim małe trąby powietrzne. Na horyzoncie mającą burzowe chmury. Felix odwraca się, ciekaw widoku eksplodującej fabryki, lecz ta zniknęła już bez śladu. Felix stoi i gapi się na miejsce, w którym powinna się znajdować.

Czuje na sobie czyjś wzrok.

Znowu się odwraca - i staje twarzą w twarz z olbrzymim szarym brontozaurem. Łeb bestii znajduje się jard od jego głowy. Gad taksuje go spojrzeniem jednego spokojnego, tajemniczego oka.

- Uparty z ciebie człowiek, ojciec - mówi kobiecym głosem. - Chodzimy w kółko, żeby sprawić ci przyjemność.

(Napis: KIM JESTEŚ?).

- To ty mi powiedz - odpowiada brontozaur. - To twój film. (Napis: FELIX MA PASKUDNE PRZECZUCIE, ŻE BRONTOZAUROWI MÓWI CAŁKIEM DO RZECZY).

- Ile razy jeszcze zamierzasz zaciągać mnie i matkę w to potworne miejsce? - pyta brontozaur.

I nagle to już nie jest Felix, tylko ja, Alex. Zamknięty w powłoce dzipa stoję na pustyni w blasku trzech słońc.

- Czy ja nadal śnię? - pytam Naomi.

Kręci głową, powoli, ze smutkiem.

- But ci się rozwiązał - mówi.

Patrzę w dół, ale przecież nie noszę butów na oponach. Kiedy podnoszę wzrok, jestem sam.

ROZDZIAŁ ÓSMY

UPROWADZENIE

Lecz ostro rzekł, gdyż hardy był:
„Nie musisz krzyczeć z całych sił!”.
Hardy i drwiący był, w tym rzecz.
Rzekł: „Poszedłbym je zbudzić, lecz...”.
Korkociąg z półki wziąłem sam
I zbudzić je poszedłem tam⁵.

- Lewis Carroll

Na czym to ja...? A tak, kręgielnia. Połknęłam tatę. Moje nerwy wyszły mi przez skórę.

Nie było to miłe. Moje nerwy wgryzły się w Aleksa jak małe żółte robaki i wessały go jak spaghetti.

Kiedy na chwiejnych nogach wyszliśmy na dwór, w gęstą mżawkę, byliśmy niezłe wymieszani: dwa serca, cztery płuca, zwisające bezużytecznie nadprogramowe ręce, w to wszystko zaplątana koszula Aleksa... Jakoś jednak udało się nam doczłapać do samochodu, nie przewrócić się i upchnąć w środku.

Rozebrałam go i zjadłam do końca. Siedzieliśmy na ciemnym parkingu i wyczekiwaliśmy wycia policyjnych syren. Deszcz szemrał na asfalcie. Byliśmy spoceni i nie mogliśmy się wygodnie ułożyć. Ważyliśmy chyba ze trzysta funtów i ledwie mieściliśmy się w moim kombinezonie i butach do kręgli. Ale to nie była moja wina - większość masy stanowił Alex.

- Fajne auto - powiedziałam. - Chociaż trochę małe.

Alex nie chciał ze mną rozmawiać. Dąsał się. Metodycznie nadawałam nam ludzką postać: dwoje uszu, jeden nos, strzecha rudokasztanowych włosów... Dołeczek w podbródku i nieszczęśliwie wykrzywione usta Aleksa. Moje zielone oczy i perkaty nos. Do tego tyle sadła,

⁵ Przeł. M. Słomczyński.

że eskimoska rodzina wyżywiłaby się przez trwającą pół roku noc.

Podniosłam z dywanika utyłane spodnie Aleksa i wyjęłam z kieszeni portfel i kluczyki. Uruchomiłam samochód i ruszyłam w stronę centrum. Minęliśmy remizę strażacką i sklep z piłami łańcuchowymi, a potem ogrodzony cmentarz, na którym woda ściekała z wierzb na mech, a kopce igliwia mieniły się w świetle reflektorów.

Włączyłam ogrzewanie. Wycieraczki mlaskały kojąco. Jezdnia wyglądała jak szary biskopt. Maski wozu drżała jak galaretka cytrynowa. Mijaliśmy stacje benzynowe, skrzynki pocztowe i zbiorniki z propanem. Komis samochodowy, apteka, agencja ubezpieczeniowa - wszystko spało, jak co noc. Ja zaś byłam głodna. Dopiero co zjadłam całego człowieka, ale to tylko zaostriło mój apetyt. Brzuch miałam jednocześnie wypchany i pusty.

Zauważyłam leżący przy drodze ochłap mięsa, różowy i włochaty. Zatrzymałam samochód, wysiadłam i cofnęłam się poboczem, aż zobaczyłam martwego oposa.

Jedno czarne paciorkowate ślepię patrzyło ślepo w przestrzeń. Na pyszczku i wąsikach skrzepła brunatna krew. Z brzucha wylewały się wnętrzności. Szturchnęłam go czubkiem buta, a potem przykucnęłam w deszczu. Byłby przepyszny, gdyby nie był martwy. Zgarnęłam go w dziesięć tłusciutkich palców, ułożyłam sobie na przedramieniu i rozpięłam kombinezon. Przytuliłam oposa do piersi i zaczęłam go kołysać, ponagłając moje nerwy, żeby w niego weszły.

W końcu wniknęły do środka, ale nie udało im się go ożywić. Coś nie wyszło. Martwe zwierzę zadygotało i wierzgnęło łapkami. Przestraszona widokiem białych ząbków upuściłam oposa na ziemię.

Jego skóra rozpękała się jak spieczona słońcem torba na śmieci. Jej kawałki odpełzły niczym węże i przepadły w wysokiej trawie. Wątroba i płuca wyskoczyły z korpusu i przygarbione zaczęły się odczołgiwać jak przemoczone gąsienice. Mięśnie oderwały się od szkieletu i rozproszyły. Nawet kości się rozpełzły. Każda tkanka oddzielała się od pozostałych i kryła w trawie, żeby umrzeć w samotności. Niezła sztuczka, pomyślałam. Ale mojego głodu nie zaspokoila.

Zobaczyłam tonącą w kałuży dżdżownicę - dużą brązową dżdżownicę, która wiała się powoli w wodzie. Wzięłam ją do ręki i położyłam sobie na języku. Próbowala mi się wgrzyźć w podniebienie miękkie. Nie przeszkadzałam jej, aż wczołgała się we mnie. Była żywa i przepyszna, ale ja potrzebowałam czegoś więcej.

Wcisnęłam się z powrotem za kierownicę i ruszyłam przed siebie w poszukiwaniu motelu. Bez powodzenia. Marzyłam o gorącym prysznicu. Minęłam pralnię samoobsługową. Miałam trochę ciuchów, którym pranie by nie zaszkodziło. Było też ubranie Aleksa, leżało

zwinęte na dywaniku, zakrwawione i oślizłe. I jeszcze rzucone luzem łachy na tylnej kanapie.

Objechałam w kółko kwartał domów i zaparkowałam przy krawężniku. Wsiadłam, przyciskając kłęb ubrań do brzucha, zamknęłam kopniakiem drzwiczki samochodu i przepchnęłam się przez drzwi pralni. W środku było ciepło, wilgotno - i ciasno, bo wszędzie stały pralki i suszarki. W głębi, naprzeciw wejścia, znajdowały się automaty z napojami i detergentami, tablica ogłoszeń i drzwi do łazienki.

Było tam też czworo ludzi: nastolatka (mniej więcej moja rówieśnica), jej chłopak, starsza kobieta i mały chłopiec. Wyglądało na to, że się znają. Dziewczyna wyciągała mokre ubrania z ładowanej od góry pralki i przerzucała je do drucianego wózka. Miała skórzaną kurtkę narzuconą na koronkową bluzkę i włosy ufarbowane na pomarańczowo i zaplecione w dwa warkoczyki. Jej chłopak siedział w fotelu, ubrany w podarte dżinsy i koszulkę z krótkimi rękawkami. Popijał napój gazowany z puszką i oglądał coś na wbudowanym w fotel telewizorze na monety.

Chłopczyk ganiał z wózkiem wśród pralek, popychając go najszybciej jak się dało i co chwila wpadając na którąś z maszyn. Jego matka, w bezkształtnym fioletowym swetrze, oklapła bezwładnie na drugim fotelu i czytała kolorowe piśmko. Na oparciach foteli wisiały kurtki.

Małolaty wybałuszyły oczy, kiedy weszłam, i prędko odwróciły wzrok. Podeszłam do najbliższej pralki i wrzuciłam do niej naręczę ubrań. Doszłam do wniosku, że powinnam kupić jakiś proszek w automacie; było nie było, tak się właśnie robi pranie, prawda? Nie chciałam zwracać na siebie uwagi. Pozbyłam się już wojskowego dżipa i zmieniłam wygląd, ale wolałam nie ryzykować.

Skierowałam się do automatów, przestępując po drodze nad wyciągniętymi nogami klientów. Chłopiec z wózkiem wyjechał zza zakrętu, zobaczył mnie i stanął. Przez krótką niezręczną chwilę ja tarasowałam drogę jemu, a on mnie, aż w końcu obiegnął wózek dookoła i zaczął go pchać w drugą stronę.

Wrzuciłam kilka ćwierćdolarówek do otworu i pociągnęłam za dźwignię. Maszyna wypluła paczkę mydła w płynie. Wróciłam do swojej pralki, polałam pranie mydłem, zatrzasnęłam pokrywę i wrzuciłam następne ćwierćdolarówki, tym razem do pralki. Usiadłam, patrząc, jak napełnia się wodą. Udawałam, że przysypiam, ale byłam jak najdalej od zaśnięcia.

Chłopak wyrzucił puszkę do kosza.

- Zmienili repertuar w kinie samochodowym - powiedział.

- Szkoda - powiedziała dziewczyna. - Chciałam zobaczyć ten poprzedni film, jak on się nazywał...

- *Hodag*.

- Ty go widziałeś?

- Ja oglądam wszystko.

- I co?

- Niezły, taki splatterek. Dziki Zachód, mroźna daleka Północ, traperzy, poszukiwacze złota, takie tam...

- Aha.

- Pewnej zimy nadchodzi burza śnieżna. Jest tam taki koleś, który poluje na bobry czy cholera wie na co. Mieszka w górach ze swoją starą-dziwaczką i dziećmi. No i śnieg ich zasypuje.

- Mhm.

- Przymierają głodem, drewno im się kończy i w końcu zamarzają. Tak na śmierć. Tylko mała córeczka, co ma dziesięć lat, przeżywa, bo zjada kawałki ciała mamy i brata, ale w ten sposób ściąga na siebie starą indiańską klątwę.

- Jest kanibalką?! Obrzydliwość...

- Nie przerywaj mi - wtrąciła kobieta, odkładając pisemko.

- No więc opętuje ją taki zły duch i wtedy ona zmienia się w tego Hodaga. Szaman to wszystko wyjaśnia, później, jak ona już załatwi paru ochlapusów i kilka panienek. Wysysa im mózgi przez...

- Nie chcę tego słuchać.

- Sandro! - skarciła nastolatkę kobieta. - Daj mu skończyć. Poczulałam zimny powiew na kostce: nogawka kombinezonu podjechała mi w górę łydki. Sięgnęłam w dół i namacałam narośl na nodze. Ścisnęłam ją przez materiał. Poruszyła się. To były palce, trzy wielkie włochate palce stopy Alex próbował sabotażu, drań jeden!

Wypuśćmnietyporąbanasuko! Wyplujmnietyprzekłętazdzirozpieklarodem!

Możesz sobie krzyczeć do woli, odparłam. I tak nikt cię nie słyszy.

Palce rozmiękły i wtopiły się w ciało.

Chłopczyk na przemian otwierał drzwi suszarki i zamykał je z trzaskiem. Pstryk. Trzask. Pstryk. Trzask. Pstryk...

- Jak się kończy? - spytała Sandra.

- Film? Pojawiają się duchy jej rodziców i wszystkich, których zabiła. Ścigają ją...

- I co jej robią?

- Zaciągają ją z powrotem do piekła czy gdzieś tam.

Ledwie udało mi się wygładzić skórę na nodze, zaczęło mnie swędzieć między łopatkami, jakby złąziła mi spalona słońcem skóra. Znowu Alex. Nie mógł ani chwili usiedzieć spokojnie.

Przycisnęłam kręgosłup do oparcia. Co tym razem próbował wypchnąć? Coś kościstego... Kikut. Ręka odcięta w nadgarstku. Wierciłam się na krześle, wgniatając go w siebie, a on krzyczał mi w głowie. Złapałam się za głowę. Ona też miała dziwny kształt.

Pomocypomocyjestemuwięzionywwariatce!

Pod włosami czułam rosnące wypukłości, jak nabiegłe krwią bąble. Wyciekał ze mnie na wszystkie strony. A przez cały ten czas spiker w telewizji monotonnym głosem opowiadał o jakimś porwaniu. Albo może o morderstwie, policja jeszcze tego nie rozstrzygnęła. Nie dalej niż przed godziną bezrobotny mechanik z Illinois, pan Jakiśtam, został napadnięty i uprowadzony z kręgielni w spokojnym miasteczku Małoważne w środkowym Mniejszaoto. Świadców nie byli pewni, czy...

- Ej, słuchajcie! - zawołał chłopak. - W wiadomościach mówią o naszym miasteczku!

Wiedziałam, że muszę zniknąć. Przeszłam w głąb pralni, modląc się w duchu, żeby nikt nie zauważył rosnących na moim ciele opuchlizn. Schowałam się w łazience i zamknęłam drzwi na klucz. Usiadłam na sedesie. Miałam ochotę umrzeć. Marzyłam o cichym pokoju w motelu i trzech dobach snu. Musiałam strawić Aleksa, żeby nie rozsądził mnie od środka.

Wśluchałam się w deszcz na dachu. Głośno dudnił. Wybrzuszenia przemieszczały mi się pod włosami. Oparłam się plecami o spluczkę i zaczęłam tłuc potylicą o ścianę.

Nie wychodź! Właż z powrotem! I nie wrzeszcz na mnie! To nie moja wina!

Nie potrafiłam go zdominować. Kiedy wcisnęłam go do środka w jednym miejscu, wyłaził w dwóch następnych. Miałam jego kolana pod pachami, łokieć pod brodą i oczy pod językiem.

Wstałam i przejrzałam się w lustrze nad umywalką. Nie wiedziałam, czy śmiać się, czy płakać. Z głowy sterczały mi palce rąk Aleksa, chyba ze dwadzieścia. Skąd on ich tyle wziął?!

Kombinezon zaczynał mnie dusić. Rozpięłam suwak i uwolniwszy ręce, zrolowałam ubranie w dół po białych, sflaczałych nogach. Czułam, że muszę wyjść na dwór. Na deszcz.

Chwiejnym krokiem wyszłam z łazienki. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejkiej wszyscy w pralni zerwali się na równe nogi i gapili na mnie.

Chłopczyk podbiegł do matki i objął ją za kolana.

- Mamusiu! - zaskomlił. - Co się stało tej grubej pani?

Sandra z chłopakiem pomalutku cofali się w stronę wyjścia. Chłopak dławił się, jakby miał zaraz zwymiotować, ale i tak nie mógł oderwać ode mnie oczu.

Chciałam tylko uciec do lasu i tam się schować, lecz oni stali mi na drodze. Sandra szczękała zębami, jakby brodziła w lodowatej wodzie, a potem nagle wybuchnęła śmiechem - i zeszywniała, kiedy przestraszył ją dźwięk własnego śmiechu. Kuśtykałam w jej stronę jak para bliźniąt syjamskich uczestnicząca w wyścigu w workach.

- B-brzydko jest się ś-śmieć z grubasów - powiedziałam. - B-bardzo b-brzydko.

- Zostaw ją! - krzyknął jej chłopak, ruszając w moją stronę. Zacisnął zęby i szturchnął mnie (całkiem mocno) w ramię.

- Nie dotykaj tego czegoś! - ostrzegła go Sandra.

Za późno. Już złapałam go za nadgarstek.

Spragnione nerwy wypełzły mi z czubków palców. Moje zdziwaczałe mitochondria wspięły się po jego ręce - ale tylko do łokcia. Poluzowały chrząstki i podpiłowały ścięgna, jak dywersanci sabotujący most kolejowy. Kiedy wykonają swoją robotę, wystarczy jedno mocniejsze szarpnięcie, żeby gładko urwać mu pół ręki. Byłam głodna, ale nie mogłam zjeść go całego na raz; musiałam zostawić miejsce na deser. Oparłam mu wolną rękę na piersi i go odepchnęłam.

Zatoczył się do tyłu. Z jego nadgarstka zwieszała się uczepiona go moja prawa ręka, wyrwana z barku. Straciłam równowagę i z impetem usiadłam na linoleum. Chłopak spojrzał na moje oderwane ramię.

- Aaa! - wrzasnął chrapliwie. - Zabierzcie to ode mnie!

Dźwignęłam się na czworaki. Kręciło mi się w głowie, dręczyły mnie nudności. Dwiema rękami opierałam się o podłogę, dwiema trzymałam się za głowę... Nie, to niemożliwe. Liczymy jeszcze raz. Zwymiotowałam na podłogę, ale nie przez usta, tylko prosto z brzucha: otwierały się w nim szczeliny, przez które wylażyły cienkie kawałki jelit. Dwiema rękami próbowałam wepchnąć wnętrzości Aleksa z powrotem, dwie oparłam na podłodze, dwiema trzymałam się za głowę... Wydawało mi się, że umieram.

Ale wydawało mi się również, że jeśli kogoś zjem, poczuję się znacznie lepiej. Spojrzałam w oczy matce chłopczyka. Wpatrywała się we mnie takim wzrokiem, jakby na mojej twarzy masowo leżały jakieś larwy - a to wcale nie były larwy, tylko czystiutkie brunatne dżdżownice, które zwęszyły świeże powietrze i wylażyły ze mnie całymi pękami. Niektóre były spore, jak ogromne brazylijskie rosówki. Zjadłam tylko jedną, ale jeden egzemplarz wystarczy, żeby produkować kopie.

- Na co się g-gapisz? - zaskrzeczałam.

- Wezwijcie karetkę! - błagał chłopak. - Nie mogę tego oderwać!
- Zabijcie to coś! - wykrztusiła matka. - Niech ktoś weźmie pistolet i zabije to cholerstwo!
- Tylko tego spróbujcie - powiedziały usta, które wykwitły na jednej z moich rąk.
- Właśnie! - zawtórowały im drugie, na udzie. - Tylko spróbuj!

To byłoby kopanie leżącego. Miałam nadzieję, że naprawdę mnie kopnie; wessałabym ją wtedy jak bagno. Próbowałam wstać, ale miałam za dużo kończyn, żeby wszystkie upilnować. W dodatku, jedwabiście miękkie kasztanowe włosy co rusz wpadały mi do oczu.

Sandra złapała chłopaka za łokieć i razem wybiegli z pralni. Błyskawica rozświetliła parking. Dwoje mi uciekło, ale dwoje zostało.

- J-jak ci na i-imię? - zapytałam.

- Dora - odparła kobieta i skoczyła ku wyjściu, wlokąc za sobą swojego bachora.

Błyskawicznie stanęłam jej na drodze i odciąłam ją od drzwi. Musiałam chyba skoczyć jak żaba.

Dora rzuciła się na mnie z nożem do mięsa; najwyraźniej nosiła go w torebce, żeby nocą czuć się bezpieczniej. Co za kobieta! Nierdzewną stałą broniła potomstwa! Dźgnęła mnie błyszczącym ostrzem i przekreśliła nóż w ranie. Coś tam się ze mnie wylało, ale to tylko zaostrzyło mój apetyt.

Puściła nóż, odskoczyła i omal się nie przewróciła, potknąwszy się o swoje dziecko.

- Odsuń się! - wydarła się na nie.

Była idealna, ta Dora. Miałam ochotę ją schrupać z wisienkami na piersiach i miętówkami między palcami stóp. Wyjęłam wbity w szyję nóż.

Znów spróbowali (we dwoje z bachorem) dobiec do drzwi - i tym razem naprawdę się przewróciła. Wykorzystałam tę świetną okazję i skoczyłam, przygniatając ją do podłogi. Drzwi trzasnęły za dziecakiem.

Mocowałam się z nią, próbując przygwoździć ją do ziemi, ale zaparła się stopą o mój brzuch i zdołała mnie odepchnąć, a potem wyczołgać się spode mnie na tyle, że oparła się plecami o pralkę.

Poruszyła bezgłośnie wargami, ale jej oczy ziały pustką, jakby uciekła już z pralni, zostawiając za sobą tylko ciało.

Próbowałam się skupić i pomyśleć. Jakiś robal przeczołgał mi się pod skórą na policzku i usiłował się wcisnąć pod powiekę. Wyłuskałam go palcem, a on zaczął głośno bzyceć, urażony. Machał delikatnymi beżowymi skrzydełkami. Inne insekty wypychały mi przez skórę włochate czułki. To były larwy ciem. Wyhodowałam stadko ciem. To nie był mój pomysł, pojawiły się znikąd. Byłam całkiem sensowną dziewczyną, potrzebowałam tylko

jakiejś dobrej kobiety, która by mnie naprostowała. Otóż to: dobrej kobiety, która położy się na mnie, wyprasuje mnie i powstrzyma mój rozpad.

Moja pralka rozpoczęła fazę namaczania.

Zacząłam się czołgać w stronę Dory. Próbowałam się uspokoić. Nie chciałam jej ponaglać. Są dwa sposoby, żeby zrobić coś takiego - dobry i zły. Uklękłam przy niej i objęłam ją niektórymi moimi ramionami. Będziemy szczęśliwi we troje - Dora, Alex i ja. Po latach będziemy się śmiać z tego dnia.

Oparłam głowę na jej ramieniu. Czuję się taka cholernie delikatna; miałam wrażenie, że stoję na szczycie urwiska nad oceanem i byle podmuch wiatru może pchnąć moje koziółkujące ciało prosto w rój ważek i ciem, rozbieganych mrówek i wijących się węgorzy. Żaden podmuch nie poruszył jednak powietrza w zagraconej i zatęchłej pralni i moje ciało wciąż tkwiło na kościach.

Potrzebowałam jej. Umierałam z głodu. W pniu mojego mózgu kielkowały dziesiątki nowych gruczołów, o których nikt nigdy nie słyszał - a mnie nikt nie pytał o zdanie.

Dora nie chciała na mnie spojrzeć. Znajdowała się na jakiejś innej planecie. Uderzyłam ją czołem w bark, łzy popłynęły mi z oczu, ale ona była całkiem martwa, martwa jak ravioli. A ja nie mogłam jej zjeść, dopóki nie zwracała na mnie uwagi.

W moim gardle wezbrał płynny grzmot; rozdeły się czerwono cętkowane fałdy jaskrawoniebieskiej skóry; z szyi wyrosły mi białe kolce. Zaintonowałam płaczącą pieśń głodu. Postraszyłam Dorę kłapnięciem robaczych szczęk, splunęłam kroplami amoniaku. Przysunęłam twarz do jej twarzy i pokazałam jej swoje ociekające jadem żuwaczki. Nadal nie chciała się mnie bać. Może byłam zbyt wybredna? Nie, po prostu pewne sprawy musiałam załatwić po swojemu. Pogroziłam jej pięściami, które grzechotały jak suche strąki grochu i świeciły jak robaczki świętojańskie. A ona patrzyła przeze mnie na wylot.

W moim mózgu namnażały się czarne skrzepy rozczarowania. Czaszka z najwyższym trudem opierała się rosnącemu ciśnieniu płynu mózgowo-rdzeniowego. Kora mózgowa zacisnęła się kurczowo, upodabniając się do rozwścieczonego lawendowego grzyba, twardszego od kości. Zasycałam na obmierzłą różową kobietę i moje kości kwadratowe rozeszły się na boki, a w szczęce wyrosły nieproszone zęby: rekina, ryjówki, węża koralowego... Moja skóra zatańczyła od gwałtownych deformacji. Błyskawica przecięła niebo nad pralnią, kładąc się stroboskopową bielą na gałęziach sosen. Zagrzmiało, jakby rozpękły się góry.

Rozległ się strzał ze strzelby. Śruciny siekły w pralkę i zrykoszetowały na wszystkie strony. Odskoczyłam od Dory i spojrzałam na drzwi.

Stała w nich kobieta o włosach tak czarnych, że aż granatowych, w czerwonej sukience, z wycelowaną we mnie strzelbą: kolba przyciśnięta do ramienia, plecy proste, spojrzenie wzdłuż lufy... Profesjonalistka. Rozpoznałam ją. To była ta Meksykanka z kręgielni, Eva.

W tej samej chwili odstrzeliła mi rękę.

- No - powiedziała. - Teraz mnie zauważyłaś.

Próbowałam coś powiedzieć, zanim przeładuje, ale z moich ust dobyło się tylko płaczące miauczenie.

- Co to za pomysł, żeby tak się mnie pozbyć? - zapytała Eva. - O co ci chodzi? Wolisz jego ode mnie?

Miau, miau, miau, odparłam.

Strzeliła mi w twarz i pierś. Impet pocisków rzucił mnie na plecy. Eva podeszła bliżej.

- Nie ruszaj się. Nawet nie drgnij. Wiem, po co do mnie przyszedłaś, i zamierzam dać ci to, czego potrzebujesz.

I odstrzeliła mi głowę. Błyskawica przecięła niebo za jej plecami.

Podkuliłam nogi - wszystkie, które udało mi się namierzyć. Wycelowalam w nią.

- Ty po prostu chcesz umrzeć - ciągnęła, przeładowując po raz kolejny. Miała taki cichy, kojący głos. - Szukasz wyjścia. Ja cię rozumiem, Naomi. I mogę ci pomóc.

Kiedy na nią skoczyłam, wystrzeliła następny ładunek, który w locie przyjął na klatę. Potrzaskane odłamki żeber uślały podłogę, a ja zderzyłam się z Evą i obaliłam ją na ziemię.

Nie przeszkadzało mi, kiedy rozwalila mi głowę. Głowy są łatwe; mogłam tworzyć nowe czaszki i mózgi równie szybko jak ona mi je odstrzeliwała. Już czułam rozkwitające mi na plecach czaszki. Pękały w szwach jak krojone granaty, a ze szczelin wyłaziły insekty, które strzępywały pyłek ze skrzydeł i potrząsały pierzastymi czułkami. Przygniotłam Evę całym ciałem, a z mojego mózgu wyrosły najeżone nerwami wypustki; przypominały opatrzone mackami słoneczniki. Moje larwy zagnieźdżały się jej w uszach i wkręcały pod język, a potem od środka zmieniały całe uzwojenie organizmu. Słyszałam, jak dusi się pode mną - słyszałam to jej uszami. Wiedziałam już, że przeszczep się przyjmie.

Jakimś cudem udało się nam - całej trójce - wstać i ruszyć do wyjścia. Mieliliśmy kręgosłupy zrosnięte na wysokości bioder, ale udało nam się - kulejąc, sunąc bokiem i podskakując - wyjść z pralni prosto w zacinający deszcz.

Unikając dróg, zaszyliśmy się w gąszczu chwastów i karłowatych brzózek. Naszą drogę znaczyła smuga śluzu i srebrnych opiłków. Wypluliśmy strzępy naszej czerwonej sukienki i zielonego kombinezonu. Wczołgaliśmy się pod kopiec zeschniętych liści, skuliliśmy się w nich i dygotaliśmy z zimna. Schowaliśmy się przed żołnierzami.

Fatalnie się to ułożyło; ja czułam się zbrukana, a oni zgwałceni. Powinnam była delikatniej się z nimi obchodzić, ale teraz było na to za późno.

Nasze ciała gnily. Gazy będące produktem rozkładu bulgotały w naszym obwisłym, ciastowatym ciele, coraz bardziej rozdmymając nasz bezkształt, do czasu, aż wreszcie znalazły ujście. Oklapliśmy powoli, jak niedopieczona beza, dla której nie ma już nadziei.

Czego ja właściwie pragnęłam od świata? Chciałam być zwykłą młodą kobietą pozbawioną szczególnych talentów; chciałam grać w scrabble, robić sałatkę ziemniaczaną, mieć chłopaka, który opowiadałby mi obejrzone filmy... To wszystko. Wcale nie tak dużo. Ale czy świat chciał mi pójść na rękę? Czy zamierzał spełnić moje marzenia?

Eva? - zdziwił się Alex. *Co ty tu robisz?*

To samo, co ty. Jak myślisz, udałooby się nas jakoś rozdzielić? Wyciąć?

Nie nabijajcie się ze mnie! - jęknęłam błagalnie. *To wcale nie jest śmieszne.*

Biedna Naomi, odezwała się Eva. *Myślisz, że nas te żarty śmieszą? Nie, Naomi. Ani trochę.*

A znacie ten o kanibalu, który pozbył się trzystu funtów obrzydliwego sadła? - zapytał Alex.

Zjadł żonę? - domyśliłam się.

Widzę, że znacie. Ile ty właściwie masz lat?

To przez te żarty miałam ich serdecznie dość. Chciałam się przespać, ale nie mogłam, bo ciągle ich słyszałam. W końcu ich przepędziłam, wyrzygałam ich i kazałam im znaleźć sobie własne sterty liści - ale i wtedy słyszałam, jak gadają. Od tamtej pory cały czas ich słyszę.

Zagrzebałam się głębiej w ziemi, czując się jak ślimak bez skorupy - naga, różowiutka, lepka. Uformowałam sobie czaszkę, żeby mieć gdzie trzymać mózg, ale głosy tamtych na przemian to we mnie wnikały, to znów uciekały, goniąc się i chichocząc jak rybiki. Plujki składały jaja w moim bezbronnym sercu, aż całe zaczęło buczeć i roić się od trylobitów. Nie było dla mnie ucieczki.

Pojawili się żołnierze - z niebieskimi kogutami na samochodach, megafonami, latarkami, granatami dymnymi. Szukali nas bardzo długo, hałasując przy tym okropnie; miałam wrażenie, że upłynęło kilka dni, zanim kolejno wywlekli nas w okrutne, zimne promienie słońca.

Cały czas dopytywali się, co zrobiłam z ofiarami. Powiedzieli, że jeśli będę współpracować, zagwarantują mi uczciwy proces. Durnie. Kretyni. Nie mieli pojęcia, z czym mają do czynienia. A poza tym, cokolwiek bym im powiedziała, i tak na koniec trafiłabym z powrotem do puszek. I dobrze.

Niech wpełzną mnie do puszek; niech mnie zamrożą jak pozbawioną smaku fasolkę; niech zrobią ze mną wszystko co najgorsze. Jedną puszkę już im rozwaliłam i nie miałabym nic przeciwko temu, żeby rozwalić następną.

Moim największym zmartwieniem nie było zapuszkowanie, lecz moja głowa, która nie funkcjonowała jak należy. Myśli Aleksa i uczucia Ewy wpełzały do niej i wyfruwały z powrotem jak larwy i ćmy. Nie miałam chwili spokoju. Co mogłam zrobić? Czy mózg może uciec z czaszki? Jak? Przecież oczy stoją mu na drodze, i nerwy. Czy serce może wyskoczyć z piersi? Oczywiście, że nie: więżą je żebra, tworzące klatkę.

Gdyby serce było piękną asystentką iluzjonisty, można by się przebić mieczami na wylot, a ono by zniknęło. Uciekłoby. Wyszło za kulisy.

Tylko gdzie są te kulisy? Nad tym się właśnie zastanawiam.

No i jak się tam dostać?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

SIROCCO

Lecz podszedł do mnie człowiek ten
I rzekł: „Już rybki zmorzył sen”.
Więc rzekłem ja, więc rzekłem mu:
„Musisz obudzić je ze snu!”⁶.

- Lewis Carroll

Biały piasek. Biały piasek niesiony wiatrem. Biały piasek niesiony wiatrem zwiewającym biały piasek.

Pałący wiatr dał nad pustynią. Piasek osypywał się z grzbietów wężowo pofalowanych wydm. Tumany piasku przyćmiewające światło słońca. Biały piasek rozwiewany białym piaskiem. Wydmę rosły i osuwały się, a piaszczyste trąby powietrzne tańczyły na ich grzbietach.

Syk przesypującego się piasku na przemian narastał i opadał, światło to przybierało na sile, to słabło. Ognisty wiatr wysysał wilgoć ze wszystkiego, czego dotknął.

I właśnie tutaj, w samym środku pustyni, znajdowali się kobieta, dżip i brontozaur. Zajęli pozycje, tworząc trójkąt, zwróceniem twarzami do wewnątrz. Burza piaskowa smagała ich grzbiety jak parząca mgła. Momentami tracili się nawzajem z oczu.

Brontozaur siedział na podkulonych nogach. Kobieta przysiadła na piętach, opierając ręce na udach. Rękawy jej kombinezonu łopotały na wietrze. Piasek tworzył zaspę przy brzuchu dinozaura, wzdłuż łydek kobiety, dookoła opon dżipa.

Biały piasek osadzał się w rozwianych siwych włosach starej kobiety. Zbity biały piasek wypełniał zmarszczki na skórze brontozaura. Kopiec białego piasku rósł na karoserii samochodu.

⁶ Przeł. M. Słomczyński.

Spoglądali na siebie, ale nic nie mówili. W zgromadzeniu zapanował ład. Alex łypał lewym okiem na kobietę. Szyję miał przygiętą, prawe ślepie wtulone w lewy bark. Było mu ogromnie przykro, że dzień wcześniej odgryzł Evie głowę. Chciał jej to jakoś wynagrodzić. Tak bardzo ją kochał, aż bolało... Na pewno znów będą przyjaciółmi.

Przeniósł wzrok na Naomi, szukając na zapiaszczonym metalowym pudle jakichś śladów cechujących ją przymiotów: młodości, wielkoduszności, sympatii do niego. Cztery kamery spoglądały na niego z narożników panelu fotowoltaicznego. Diamentowa siateczka przecinała czarne szkło jak nić pikowaną kołdrę. Gdzie się podziała Naomi?

Naomi obserwowała biednego Aleksa. Czuła w okablowaniu jego łęklivą konsternację, słyszała echo fantomowych złości, szept amputowanych żądz. Powiększyła obraz pyska brontozaura, obejrzała zbliżenie połyskliwego czarnego oka okolonego fałdami pożłobionej skóry. Jak bardzo mogą się jeszcze zestarzeć? Kiedy to się skończy?

Eva, która dotychczas kontemplowała wierzch swych dłoni, podniosła wzrok i napotkała złowieszcze spojrzenie Aleksa. Zgrywał skruszonego. Nie potrzebowała jego wyrzutów sumienia. Zgoda, wczoraj ją zabił, i to w paskudny sposób, ale już mu wybaczyła. Przecież ma guz w głowie, a ona знаła to uczucie. Poza tym, sama też nieraz go zabijała. O co mu chodzi?

- Proszę o spokój - powiedziała. - Chociaż raz spróbujmy podyskutować rozsądnie o naszej sytuacji.

- Świetny pomysł - odparła z dzipa Naomi.

- Jako przewodnicząca zebrania będę udzielała głosu uczestnikom. Nie zamierzam tolerować pyskówek.

- A kto cię wybrał na przewodniczącą? - sprzeciwił się Alex. - Ja tu jestem najstarszy.

- Porozmawiamy o możliwości ucieczki z tego miejsca. Ogłaszam rozpoczęcie obiektywnego dochodzenia w następującej sprawie: gdzie my jesteśmy, do kurwy nędzy?!

- Ja chciałbym się również dowiedzieć, skąd się tu wzięliśmy - dodał Alex.

- To będzie drugi punkt porządku obrad. Naomi, zechciałabyś zaproponować kolejny?

- Owszem. Dlaczego nie możemy umrzeć?

- Dobre pytanie - przyznał Alex. - Mocno osadza nas w rzeczywistości. Oczywiście jest, że to zadupie nie może być prawdziwe, ale ja wiem, że kiedyś byliśmy prawdziwi. Kurczę, osobiście jeździłem śmieciarką po Tucson! Czy może być coś bardziej prawdziwego?

- Przewodnicząca zabierze głos - zapowiedziała Eva.

- Tak jest - przytaknęła Naomi. - Przewodnicząca zabierze głos.

- To będzie tylko domniemanie - zastrzegła się Eva - ale przypuścmy, że to, czym

jesteśmy, jest o stopień bardziej rzeczywiste niż to, gdzie jesteśmy. Czym zatem jesteśmy? Człowiek, cyberdżip i dinozaur. Co ten fakt sam w sobie oznacza? Co sugeruje?

- Że jesteśmy nienormalni? - podsunęła Naomi.

- Wypaczenie czasu - powiedział Alex.

- Rozwiń tę myśl - zażądała Eva.

- Pochodzimy z różnych epok. Dinozaury wyginęły, zanim pojawił się człowiek, a kiedy budowano pierwsze takie dżipy jak ja, człowiek był na wymarciu.

- Widzę, że się rozumiemy.

- Jesteśmy wypaczeniem czasu - podsumowała Naomi. - I nie możemy się nawzajem zabić. Mogę zadać jeszcze jedno pytanie?

- Nie - odparła Eva.

- Nudzę się - poskarżyła się Naomi.

- To idź na spacer - powiedziała Eva. - Jest ładna pogoda.

- Właśnie - zawtórował jej Alex. - Spadaj.

- Nie zamierzam - zaproponowała Naomi. - A poza tym nie jestem jakimś prehistorycznym dinozaurem, co tylko dowodzi, jak mało wiesz. Jestem wytworem bardziej zaawansowanej techniki niż ty. Zostałam utkana na genetycznych krosnach.

- Nie robili takich rzeczy w dwudziestym wieku - zauważył Alex.

- A kto powiedział, że robili?

- To jakim cudem pamiętasz dwudziesty wiek?

- Chodzi o tę Kanadyjkę - dodała Eva. - Rezerwistkę, która zmieniła się w banshee. Pamiętasz tę historię?

- A, chodzi wam o mój mózg. No oczywiście, że mój mózg to wszystko pamięta. Armia całe wieki trzymała go w zamrażarce, zanim wstawiła go w ciało apatozaura. Guz to nie moja wina. Dostałam uszkodzony mózg, wyjęty z ciała porywaczki, którą sąd wojskowy skazał na krzesło elektryczne. Po śmierci pocięli ją na części. Tylko że mózg pewnie trafił do złe opisanej szufladki, bo inaczej nigdy by go ponownie nie użyli.

- Aż dziwne, że go nie zniszczyli - powiedział Alex.

- Postanowili go zachować do dalszych badań, ale nie mieli na nie pomysłu.

- Czyli, technicznie rzecz biorąc, jesteś apatozaurem.

- Technicznie rzecz biorąc, jestem ZRA, zmodyfikowaną rekonstrukcją apatozaura, wyposażoną w ludzki mózg i głos. Miałam bardzo szczęśliwe dzieciństwo.

- A gdzie? - zaciekawiała się Eva.

- Wyklułam się na pokładzie międzygwiazdowego transportowca wysłanego z misją

terraformowania odległej ziemiopodobnej planety. Nazywał się *Kosmiczna Igła*, ponieważ miał kształt gigantycznego drutu do robótek ręcznych.

- Czyli dzieciństwo spędziłaś w kosmosie - podsumował Alex. - Co było w nim szczęśliwego?

- Na *Kosmicznej Igle* nie wiedzieliśmy, co to strach. Byliśmy dumnymi poszukiwaczami przygód udającymi się na spotkanie nieznanego. Przemierzaliśmy aksamitną pustkę wśród gwiazd, które świeciły na czarnym tle jak odległe ogniska.

Alex z Evą spojrzeli po sobie obojętnie.

- Nasz srebrzysty statek wyglądał przepięknie. Oczywiście, ja i moje rodzeństwo z jednego wylęgu nie widzieliśmy go na własne oczy, ale oglądaliśmy obraz przekazywany z satelitów. W przeciwieństwie do ludzi z załogi nie mogliśmy wychodzić na zewnątrz; nie było odpowiednio dużych skafandrów.

- Słyszałeś wcześniej tę bajeczkę? - spytała Eva Aleksa.

- Nie przypominam sobie.

- *Kosmiczna Igła* była napędzana dysonansem grawitacyjnym, kierowana przez załogę w transie i chroniona modlitwą. Podłogi miała wyłożone pianką i białym skajem. Poduszki naszych łap zawsze były świeżo umyte, czyściutkie. Eva była nawigatorem, a Alex radiolokatorem.

- Brzmi fajnie - powiedziała Eva.

- To był prawdziwy raj. Każda gwiazda świeciła innym kolorem i była otoczona kulistą tęczą. Tam się właśnie urodziłam: czerwona plamka na żółtku jaja. Żółtko pływało w różowej galarecie w pękatej mosiężnej kadzi. Wydostałam się z niej, a kiedy mogłam już sama wejść po pochylni, nauczyciel nakarmił mnie słodkim melonem.

- Jak się nazywał wasz statek? - spytał Alex.

- Przecież mówiłam: *Kosmiczna Igła*.

- A nie *Szpikulec*?

- Nie. Dlaczego miałyby się nazywać *Szpikulec*?

- Nieważne.

- Też go pamiętasz?

- Nie. Mów dalej.

- Kto był tym nauczycielem? - zainteresowała się Eva. - Kto ci dał melon?

- Nauczycielami były zmodyfikowane genetycznie czepiaki. Wychowywały nas od jaszczurki. Miały ogromne łby, w życiu takich nie widziałam. Uczyły nas mówić. Tłumaczyły, skąd pochodzimy. Jeśli tylko coś nas zaciekało, nauczyciele mieli gotowe

odpowiedzi.

- Kto dowodził statkiem? - zapytał Alex. - Dla kogo pracowaliście?

- Byliśmy sługami Pajęczej Matki, siódmym pokoleniem apatozaurów hodowanych specjalnie dla Niej. Stanowiliśmy przedłużenie Jej świętego ciała. To z Jej jaj powstawały na krosnach genetycznych wszystkie żywe istoty zamieszkujące statek.

- Z jaj?! - powtórzyła Eva. - Kim właściwie była ta Pajęcza Matka?

- Małym pogońcem, którego trzymali w złotym terrarium na ołtarzu w katedrze. Od wieków utrzymywali Ją przy życiu i z Jej jaj tworzyli zwierzęta domowe, rośliny uprawne, ludzi... Nawet ciebie tak stworzyli, Evo.

- A kto stworzył te krosna? - zaciekał się Alex.

- Projektanci - odparła Naomi. - Któż by inny?

- A kto zbudował statek?

- Budowniczości.

- Poddaję się.

- Zmienialiśmy się przy śpiewaniu hymnów pochwalnych na cześć Pajęczej Matki; w każdej chwili śpiewał jakiś chór. Opiekunowie karmili Jej nadworne ważki. Je też wychwalaliśmy w naszych pieśniach. Oddawaliśmy cześć niciom tworzącym Jej pajęczynę.

- Do czego były im potrzebne brontozaury? - dopytywał się Alex. - Radar rozumiem. Radar się przydaje. Ale brontozaury?

- Sami z początku się nad tym zastanawialiśmy; zjadaliśmy mnóstwo siana, a nawet nie mieliśmy rąk. Dopiero nauczyciele nam wyjaśnili, że uczymy się na mnichów.

- A po co komu mnisi? - zdziwiła się Eva.

- Modliliśmy się - wyjaśniła Naomi. - Przez całą dobę modliliśmy się o bezpieczną podróż i powodzenie naszej misji. Modliliśmy się, pościliśmy, odprawialiśmy oczyszczające rytuały. Modliliśmy się do galaktyki, a także do wszystkich lokalnych bogów, demonów i aniołów, których wpływy kapłanki stwierdziły w pustce, przez którą lecieliśmy.

- Ale dlaczego brontozaury?! - nie ustępował Alex.

- Właśnie do tego dochodzę. Chodzi o długość kręgosłupa. Rozmiary układu nerwowego ograniczają możliwości rozwoju duchowego. To dlatego słonie mają większe dusze od ludzi. Brontozaur może dostroić swój rdzeń kręgowy do dłuższych fal w eterze. Najlepsze byłyby wieloryby, ale w kosmosie bardzo trudno zapewnić im odpowiednie warunki do życia.

- To brzmi sensownie... - mruknął Alex.

- Nauczyciele tworzyli dla nas całą masę przepisów i za najdrobniejsze przewinienia łamali nam palce, sadystyczne małpiszony... Ale ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

Wybaczyliśmy im i słuchaliśmy ich, żeby się doskonalić w posłuszeństwie.

- A to ci niespodzianka, jak powiedział ślepiec, zderzywszy się ze słoniem. Cóż, czego się można spodziewać po naczelnym? Brudne, kłótlive ścierwojady. Wynalazły koło, ale poza tym...

- Oni w ogóle uwielbiają koła - zauważyła Naomi. - Mają hyzia na punkcie wszystkiego, co okrągłe i cykliczne. Wiersze. Piosenki. Pory roku. Stulecia. Wiatraczki. Młynki modlitewne. Zegary...

- Jajka turlane z góry - dodał Alex.

- Wielkanocne?

- Nie, skądże! Mówię o turlaniu jajek na wyścigi! A ty jak zwykle mącisz. Skup się!

- Daj jej spokój - wtrąciła Eva.

- Zmusz mnie - odparował Alex. - Wiesz, czym się różni oko koguta od wycieraczki samochodowej? Wiesz czy nie? Nie możesz wiedzieć, bo tych dwóch rzeczy nie da się porównać. Nie ma żadnych podstaw. Chcesz inny przykład?

- Chyba odbiegamy od tematu - powiedziała Eva. - Naomi, czy ten statek-igła lądował na jakichś obcych planetach?

- No pewnie. Nas, na przykład, wysadził tutaj.

- Dlaczego akurat tutaj?

- Bo byliśmy chorzy. A dla chorych nie ma miejsca na *Kosmicznej Igle*.

- Więc zostawili nas tutaj.

- Otóż to. W szpitalu.

- To na tej planecie jest szpital?

- Na planecie nie ma, ale jest za nią, z tyłu.

- No dobrze. Powiedz mi teraz coś innego: zanim *Samsara* wyrzuciła tu naszą trójkę, czy kiedykolwiek wcześniej byliśmy w innym miejscu niż na jej pokładzie? Czy byliśmy na Ziemi?

- Jak powiedziałaś?

- Powiedziała o statku *Samsara* - podpowiedział Alex.

- A nie tak go nazwałaś? - zdziwiła się Eva.

- Nie - odparł Alex. - Ona go nazywa *Kosmiczną Iglą*. To ty mówisz *Samsara*.

- A ty *Szpikulec* - przypomniała Naomi.

- Jak mogli nas tak porzucić? - Eva zmarszczyła brwi. - I co to za szpital?

Naomi parsknęła śmiechem.

- Właściwie to wcale nie jest szpital.

- No to po co nas tu uziemili?

- Nie uziemili nas. Uciekliśmy. Jesteśmy zbiegłymi niewolnikami.

Eva zerknęła na Aleksa i wróciła spojrzeniem do Naomi.

- Przecież powiedziałaś...

- Skłamałam - odparła śpiewnie Naomi.

Przez chwilę wszyscy troje wsłuchiwali się w zawodzenie wichury.

- Pozwolicie, że podsumuję - odezwał się w końcu Alex. - Gdzie my jesteśmy, do kurwy nędzy? Jesteśmy na planetoidzie, za którą znajduje się szpital. Nie jesteśmy jednak pacjentami, lecz zbiegłymi niewolnikami. W porządku. Skąd się tu wzięliśmy? To akurat wiem: wyzionęliśmy ducha, kopnęliśmy w kalendarz, tylko po prostu nie pamiętamy, jak to się stało. Dlaczego nie możemy umrzeć? Bo już jesteśmy martwi. Jakies pytania?

- Pamiętasz, żebyś odlatywał z Ziemi, Alex? - spytała Eva.

- Nie. Pamiętam Chicago, a potem ileś tam kolejnych posad w roli samochodu w służbach komunalnych. Dalej była wojna plazmowa i teraz to. Poza tym mam jedną wielką dziurę w pamięci.

- Musiała być niezła impreza... - Eva strząsnęła piasek z rzęs. - Może zginęliśmy w czasie wojny. Ale coś takiego powinniśmy pamiętać, nie?

Znów zasłuchali się w skowyt wiatru.

- Ja się chyba po prostu zepsułem - powiedział Alex. - Zjechałem do rowu, nie poprosiłem o odholowanie. W środku nocy, w środku zimy, zaległem w dziurze na dnie morza... A potem anioły poniosły nas do nieba i oto jesteśmy.

- Skoro mowa o aniołach... - wtrąciła Naomi. - Dziś w nocy rozmawiałam z naszym aniołem stróżem. Wszystko mi wyjaśnił.

- A ty mu uwierzyłaś - dorzucił Alex.

- Powiedział ci, jak się nazywa? - spytała Eva.

- Doktor Labirynt.

- A ty mu uwierzyłaś - powtórzył Alex.

- Jest aniołem! Anioł by nie skłamał. Doktor Labirynt zbudował całe to miejsce: leje po bombach, sklepy, ruiny Majów... Wyciąga te obrazy z naszych głów, kiedy śpimy. Powiedział mi, że tylko ja pomału zdrowieję, chociaż i tak jestem jeszcze bardzo chora.

- To był taki łysy facet w białym kitlu? - zapytała Eva.

- Tobie też się przyśnił!

- Zaraz, zaraz... - wtrącił się Alex. - Nasz anioł stróż jest konowalem od głowy?

- Nadal nie rozumiem, dlaczego nie możemy umrzeć - powiedziała Eva. - Zgadzam się,

że jesteśmy martwi, ale dlaczego uniemożliwia nam to umieranie? To mi pachnie jakimś uprzedzeniem.

- Nie możemy umrzeć, bo idziemy przez pustynię - wyjaśniła Naomi. - Żeby umrzeć, musimy przez nią przejść.

- Jak mamy przez nią przejść, jeśli nie jest prawdziwa? - wycodziła Eva przez zaciśnięte zęby. - Chyba coś ci się pomyliło.

- Otóż to - powiedział Alex. - Ona jest pomyłona, ty nieszczęśliwa, a ja obłąkany. Stworzylibyśmy niezłą trupę do objazdowego wodewilu. Panie i panowie, przed państwem Stepujące Psychotoksyny! Dopiero co zwolnione z oddziału zamkniętego: Pomylenie, Nieszczęście i Obłąkanie!

- Mamo, o czym tata mówi?

- Tak sobie gada, Naomi.

Alex rytmicznie uderzał głową w piach.

- Koło tortur - mamrotał. - Koło tortur. Fatalny błąd.

- Nie przejmuj się tak - pocieszyła go pogodnie Naomi. - Kiedyś w końcu umrzemy. Doktor Labirynt mi to obiecał.

- Zamykam posiedzenie - obwieściła Eva.

Roześmiała się. Brontozaur jej zawtórował. Wiatr się wzmógł. Piasek kłuł boleśnie.

Naomi już zaczynała odpływać myślami w dal. W głębi uzwojenia dzipa odłączyła kamery i wyciszyła mikrofony. Wściekła wichura zagłuszała histeryczny śmiech starej wiedźmy i starego smoka. Naomi ich nie słuchała. Zatonęła w sobie i zwinięta w niebieską kulę pławiła się w słonej wodzie. Otwierała swoje prawdziwe oczy.

Rozprostowała kości i wypłynęła pod powierzchnię ciepłej laguny - niebieski plezjozaur pluskał się nieopodal brzegu w błotnistej szarawej wodzie, wystawiwszy na powierzchnię tylko oczy i nozdrza. Sterowała koniuszkiem ogona wlokącym się po dnie, wzbijając miniaturowe chmury mułu.

Dalej popłynęła przez rozświetlone, białe niebo, wysoko nad jałową wulkaniczną równiną. Lodowate powietrze ze świstem owiewało jej głowę. Monotonie równiny przełamywał rząd cyprysów, za którym ciemna skała ustępowała miejsca zielonemu trawnikowi, idealnie gładkiemu i ciągnącemu się aż po horyzont.

W niewyjaśniony sposób trawnik zmienił się w bezkres zielono farbowanego płótna naciągniętego na nieskończony stół bilardowy. Naomi przefrunęła nad ustawionymi w trójkąt bilami, z których każda miała rozmiary dziesięciu ogromnych gór. Zboczyła z kursu, zniżyła lot i zatoczyła krąg; wyglądała przy nich jak tycia błękitna traszka pływająca pomiędzy

olbrzymimi głazami w górskim strumieniu. Nieopodal dostrzegła zamek. Przypominał gigantyczną wieżę szachową wykutą z białego jadeitu.

Zamek - biały i wysoki - stał na środku czarnego jeziora, które rozciągało się na stole bilardowym mniej więcej milę od niej. Nie było mostu zwodzonego. Brama była zamknięta.

Naprawdę skurczyła się do rozmiarów traszki i wpłynęła do środka przez zakratowane okno. Znalazła się w długim korytarzu zbudowanym w całości z kości słonia, wyłożonym zielonym dywanem i ozdobionym kwiatami w doniczkach. Po obu stronach korytarza ciągnęły się szeregiem szare metalowe drzwi przeszklone matowym szkłem. Jej wzrok przyciągnęło nazwisko wypisane drukowanymi literami na jednych z nich: DR LABIRYNT.

Przycisnęła się do szyby, szukając miejsca, przez które mogłaby wśliznąć się do środka. W końcu znalazła fragment szkła, który nie stawiał oporu, i przeniknęła do gabinetu doktora Labirynta.

Zawisła w półmroku - szklista błękitna traszka - i zaskoczona rozglądała się po pokoju. Była w nim już wcześniej, ale dziś ledwie go poznawała, taki panował w nim bałagan. Z szuflad przewróconej szafki na dokumenty wysypały się tekturowe teczki. Podłoga była usłana zdeptanymi książkami. Ktoś pozasłaniał ekrany monitorów brudnymi bandażami, na których powiesił zakrwawione narzędzia chirurgiczne. Chińskie wazy wylądowały w jednym kącie w postaci sterty porcelanowych odłamków przemieszanych z wilgotną ziemią i strzępami więdących paproci. Na dębowym biurku doktora Labirynta ktoś zbudował barykadę ze stolika do kawy, dwóch krzeseł i szarych flanelowych koców.

Podeszła do barykady i zaczęła ją ostrożnie okrążyć, aż dotarła do miejsca, w którym przez szparę w kocach udało jej się zajrzeć na drugą stronę. Pod stolikiem do kawy siedział w pozycji lotosu łysy mężczyzna w okularach z grubymi szklami, ubrany w slipy i obszarpany kitel laboratoryjny upstrzony zaskorupiałymi plamami w różnych kolorach. Siedział sztywno, pot ściekał mu po twarzy, okulary miał zaparowane i mamrotał coś pod nosem.

Naomi obróciła swoją maciupęnką, upiorną główkę i zauważyła, że monitory są włączone i wszystkie pokazują ten sam obraz: widok z lotu ptaka na białą piaszczystą pustynię, na której znajdują się kobieta, dżip i brontozaur. Tylko dlaczego matka i ojciec byli tacy czerwoni?

Podpłynęła bliżej. Smagający pustynię wiatr musiał być ogłuszający, chociaż w gabinecie Labirynta oczywiście nie było go słycać. Niesiony nim piasek obdzierał kobietę i dinozaura ze skóry. Przesztywali z nogi na nogę, grzęznąc w coraz głębszych wydmach. Dżip stał nieruchomo, niezrażony tym, że piasek zasypuje mu kolejne kamery.

To burza, pomyślała Naomi, szybując w zatęchłym powietrzu. Jakiś nowy rodzaj burzy. A

ja jestem w jej stacji nadawczej.

Wydma pogrzebała ich wszystkich. Zniknęli bez śladu.

Przesypujące się kopce soli. Zadymka śnieżna. Pędzące chmury. Białe ziarno. Białe mrówki rojące się na trzech monitorach. Pustka.

Naomi spojrzała na Labirynta, który wyczołgał się spod stolika i, zeszywniały, zgramolił się z biurka na podłogę. Otarł twarz kocem, potem wysiąkał w niego nos.

- Coś się popsuło - mruknął.

Podszedł do monitorów i pomanipulował pokrętłami. Obraz śnieżył.

- Zgubiłem ich.

Osunął się ciężko na skórzany fotel i zadygotał. Roztarł zziębnięte ramiona. Zaciśnął pięści.

- Rozklejam się.

Ktoś zapukał do drzwi, ale Labirynt chyba tego nie usłyszał. Szybująca w powietrzu traszka, którą była Naomi, przepłynęła na drugą stronę drzwi, zaciekawiona tożsamością przybysza - i znalazła się twarzą w twarz z piękną Hinduską o kawowej skórze, ubraną w białe jedwabne sari. Hinduska czekała cierpliwie przed drzwiami gabinetu. Miała spokojną twarz, z której nie dało się wyczytać jej wieku, i lśniące czarne włosy, opadające aż do pasa. Na sari narzuciła kamizelkę z fioletowego filcu, wyszywaną maleńkimi lusterkami. Na przegubach dłoni i kostkach nóg miała mnóstwo miedzianych bransolet, srebrne pierścionki na palcach rąk i brunatnych nagich stóp, złoty kolczyk w nosie. Jej czoło zdobił drawidyjski symbol świętej kobiety.

Czcigodna Tkaczka znów zabębniła palcami w szkło. Wyglądała bardzo oficjalnie, ale w jej oczach pały figlarne błyski. Odczekała jeszcze chwilę, po czym przysunęła usta do matowej szyby i delikatnie na nią dmuchnęła.

Wysadzone z framugi drzwi wpadły do gabinetu, przekoziółkowały, rozbiły okno i zwały się na biurko, niszcząc barykadę. Zaskoczony Labirynt podniósł wzrok. Stojąca w progu Tkaczka skinęła mu z uśmiechem głową.

- A, to ty. Wejdz.

Labirynt zakrzętnął się w poszukiwaniu miejsca, na którym mógłby posadzić Tkaczkę. Obszedł gabinet dookoła i chodziłby tak dalej, gdyby nie położyła mu ręki na ramieniu.

Kiedy się do niej odwrócił, przysunęła się i pocałowała go w usta. Cofnął się, ocierając wargi wierzchem dłoni, aż z głuchym odgłosem uderzył plecami o ścianę. Tkaczka usiadła na przewróconej szafce na dokumenty.

- Masz bałagan w gabinecie - zauważyła.

Złożyła ręce na kolanach, przymknęła wymalowane powieki i westchnęła. Jakby w odpowiedzi na to westchnienie, wszystkie luźne przedmioty w pokoju - mapy, fiołki z lekarstwami, stetoskop, nawet biurko doktora Labirynta - poderwały się w powietrze i koziółkując, przeniknęły przez ściany. W gabinecie została tylko szafka na dokumenty i obita czerwonym pluszem sofa z białymi frędzlami. Doktor Labirynt widział tę sofę pierwszy raz w życiu.

Tkaczka rozprostowała ręce na boki. Ściany pomieszczenia się rozsunęły, a ona poprawiła fałdy sari na kolanach.

- Znacznie lepiej - powiedziała.

Przeniosła się na sofę i poklepała miejsce obok siebie. Labirynt zapiął obdarty kitel i przysiadł się do niej.

- Co słyhać, czcigodna?

Tkaczka wzruszyła ramionami.

- Zależy, gdzie ucho przyłożyć. Ciężko pracuję, ale właśnie wróciłam z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego pierwszego. Tam zawsze wypoczywam.

- Masz jeszcze ten domek na drzewie w Indiach?

Pokiwała głową.

- Przydaje się, kiedy nie mam dyżuru.

- Ja wolę żyć w terażniejszości. Być na czasie.

Już wdali się w pojedynek. Przyzwyczajenie drugą naturą człowieka.

Labirynt kichnął, a kiedy przetarł i otworzył oczy, stwierdził, że razem z Tkaczką i sofą znajdują się na dworze - pod wierzbą, nad stawem, otoczeni polem zielonego owsa.

- Lubisz sałatkę z makaronem? - spytała Tkaczka.

Znał ją dostatecznie długo, żeby właśnie czegoś takiego się spodziewać. Podziękował, dostał papierowy talerzyk i srebrny widelec.

- Dlaczego tu jesteśmy?

- Bo nas przeniosłam. Co, zbyt sielankowo?

- Po co przyszłaś?

Tkaczka podniosła wzrok znad tosta, który smarowała masłem. Oczy miała szeroko otwarte, niewinne.

- Stęskniłam się za tobą - odparła.

Labirynt skrzyżował ręce na piersi.

- Wcale nie. Słuchałaś wrednych plotek.

- Nigdy. - Dotknęła jego ręki. - Ja się po prostu o ciebie martwię, podobnie zresztą jak

wiele aniołów z naszego kręgu. Na przykład Skrzydlak: jest przeświadczony, że zwariowałeś.

Labirynt zapatrzył się na skrzącą się w słońcu wodę stawu.

- Zdradziecki mały pedryl. - Odłożył widelec. - Przyszłaś zobaczyć na własne oczy.

- Prawdę mówiąc, chcę porozmawiać o twoich trojgu pacjentach.

- To nie twoja sprawa. Kiedy będę potrzebował porady duchowej, sam o nią poproszę.

Pole pociemniało, cień padł na staw, wierzba zaszeleściła niespokojnie.

- Och, Labirynt... - Tkaczka westchnęła. - Jesteś taki cholernie rzeczowy. - Ukłękła na sofie i złapała Labirynta za klapy kitla. - Spójrz na siebie: gonisz w piętke, w ogóle nie wychodzisz z gabinetu... Co mieliśmy sobie pomyśleć? Musisz współpracować, Labirynt. Do Czarnej Ściany zostało tylko pięćset lat.

- Myślisz, że nie jestem tego świadomy? Nawrót Minojski tuż-tuż, a troje z Dwanaściorga Zainteresowanych postradało zmysły. To katastrofa, za którą zresztą ponoszę pełną odpowiedzialność. Ale nie zapominaj o jednym, Tkaczko: to ty oddałaś mi ich pod opiekę.

- Wszystko to prawda, nie spodziewałam się jednak, że postanowisz zrobić sobie trwałą fuchę z...

- Trwałą? Nic nie jest trwałe, czasu coraz mniej, a ty masz czelność prawić mi kazania o Czarnej Ścianie?!

- Przyszłam do ciebie na klęczkach, doktorze. Bądź łaskaw to zauważyć.

Labirynt uspokoił się i przegryzł oliwkę.

- Jestem przeczulony na punkcie tego przypadku - przyznał. - Ta trójka ogromnie mnie rozczarowała.

Tkaczka obrała gotowane jajko ze skorupki. Posoliła je.

- Kuracja nie przebiega zgodnie z przewidywaniami? - spytała.

Labirynt pokręcił głową.

- To mało powiedziane - prychnął z goryczą.

Na gałęzi nad ich głowami przysiadł wróbel. Czcigodna pogryzała w zadumie jajko.

- Mogłabym z nimi porozmawiać?

- Wykluczone. To moi pacjenci i ja ich wyleczę. Potrzebuję tylko więcej czasu.

Anioły jadły w milczeniu. Wiatr tarosił kłosa owsa. Labirynt zdjął okulary i przetaił szkła rękawem, a kiedy znów je założył, siedzieli z Tkaczką w małym, pozbawionym sprzętów pomieszczeniu z przeszkloną ścianą wychodzącą na salę operacyjną. Za szybą ekipa neurochirurgów i asystentek prowadziła operację mózgu.

- Są niewiarygodnie uparci - ciągnął Labirynt. - Ale ja ich złamię.

Odwrócił wzrok, żeby nie patrzeć na odsłonięte mózgowie. Nie mógł się skupić. Na dole,

na stole operacyjnym, stało się coś bardzo złego. W powietrze trysnęła fontanna krwi, asystentki nerwowo biegały po sali. Labirynt zamknął oczy i próbował uspokoić myśli.

Kiedy rozchylił powieki, stali z Tkaczką na ubitej czerwonej ziemi w promieniach tropikalnego słońca. Otaczał ich tłum inkaskich wojowników w pełnym rynsztunku bojowym, zwróconych w stronę stromej granitowej zigguratu. Śpiewający pieśń kapłani prowadzili gromadę jeńców na szczyt piramidy, gdzie już czterech więźniów leżało związanych na czterech półkach obsydianowego ołtarza. Cztery kapłani wzniesli sztylety do ciosu.

- O czym to ja mówiłem... - Labirynt się zamyślił.

Tkaczka obserwowała z zadartą głową patroszenie jeńców. Nawet nie mrugnęła.

- A tak, już wiem - podjął Labirynt. - Większość ich urojeń ma związek z łączącymi ich więzami rodzinnymi. Wydaje im się, że gdyby umieli ten fakt wytłumaczyć, mogliby go także cofnąć. Dlatego racjonalizują regresję i unikają konfrontacji z bieżącą sytuacją w życiu po śmierci.

- Labiryncie! Przecież oni wszyscy umarli w ciężkiej psychozie, którą twoja terapia tylko pogłębiła! Nie wydaje ci się, że w tej chwili najprostsze, co można zrobić, to doprowadzić do ponownej inkarnacji całej trójki? Niech wtedy sami wszystko sobie wyjaśnią.

Labirynt odchrząknął, zniecierpliwiony.

- Nie, nie, nie. To niedzisiejsze myślenie. Schematyczne. Przeszarzałe. Z epoki miętko tapicerowanych izolatek. Mój system burz jest znacznie lepszy.

Tkaczka ujęła jego podbródek w gładką brązową dłoń i spojrzała w jego wodniste oczy.

- Jak cię słucham, to chce mi się wyc - powiedziała.

Stali na końcu bambusowego pomostu sięgającego w głąb szerokiej zielonej rzeki w Malezji. Była wilgotna noc. Gwiazdy jasno świeciły nad wodą. Gdzieś wśród lian przenikliwie rechotały trzy żaby, a wszędzie dookoła woda z chlupotem omywała korzenie zarośli mangrowych.

Tkaczka wzięła Labirynta za rękę i poprowadziła go w głąb lądu, ścieżką przez dżunglę. Zobaczyli ognisko strzelające iskrami pod niebo i chwilę później wyszli na polanę, gdzie nagie kobiety tańczyły w kręgu wokół ognia, kołysząc się powoli w rytm muzyki, której Labirynt nie słyszał.

- Musisz tak wszystko zmieniać? - zapytał.

Usiedli na bambusowych matach, obserwując tancerki.

- A ty? - odpowiedziała pytaniem Tkaczka. - Musisz zamieniać pacjentom te urojone ciała? Czemu ma służyć ta zabawa? W jaki sposób pomaga się im przystosować?

- Jeżeli zamierzasz mnie obrażać - zachnął się Labirynt - to zakończę tę dyskusję.

Oczy Tkaczki załśniły odbitym płomieniem ogniska.

- Mógłbyś im się chociaż przedstawić.

- Nie przepadam za takim brataniem się z pacjentami. Zachowanie dystansu daje lepsze efekty.

Tkaczka objęła kolana ramionami i zaczęła się kołysać na macie.

- Wiesz co? - Skrzywiła się. - Czasem nachodzi mnie ochota, żeby znaleźć jakiś duży kamień i rozłupać ci nim czaszkę. Jak ja mogłam za ciebie wyjść?!

- To było dawno. A potem mieliśmy inne pomysły na leczenie chorych.

- Leczenie... - powtórzyła szeptem Tkaczka. Nagle urosła dwukrotnie. - Leczenie? - Wstała, górując na polaną. Jej nagie ciało załśniło w blasku ognia, rysując się na tle gwiazdzonego nieba. - Masz czelność nazywać się lekarzem?

Labirynt zerwał z siebie kitel i cisnął go między paprocie, jakby szykował się do zapasów. Tancerki wirowały w kręgu wokół ognia.

- Nie są gotowi! - wykrzyknął. - Nie zgadzam się! Jeszcze z nimi nie skończyłem! Jestem o krok od dokonania przełomu!

- Jesteś o krok od odniesienia poważnych obrażeń głowy - ostrzegła go olbrzymka.

- No to mnie zabij - zaproponował płaczliwie. - A jeśli nie jesteś w stanie sama tego zrobić, poszczuj mnie Szpilą. Szpila to urodzona zabójczyni. Będzie zachwycona, jeśli dasz jej pretekst do załatwienia mnie.

Płomień ogniska strzelił wysoko i na ułamek sekundy oślepił Labirynta. Kiedy odzyskał wzrok, stał w blasku reflektorów na linie rozpiętej w namiocie cyrkowym, wysoko nad wysypaną trocinami areną, obserwowany przez stojących po kątach kłownów i wołyżerów dosiadających słoni. Tłum na trybunach wstrzymał oddech.

Tkaczka podeszła do niego od tyłu i objęła go w talii. Przycisnęła piersi do jego pleców.

- Stary anioł z ciebie - szepnęła mu do ucha. - Bardzo stary. Przepracowujesz się. Jesteś wyczerpany. Za długo przebywasz tu wśród swoich martwych dusz, zamkniętych w klatkach i dołach z wężami. Popadłeś w zwyczajny obłęd, Labirynt, lecz duma nie pozwala ci prosić o pomoc. Nazywasz siebie lekarzem? Wydaje ci się, że jesteś w stanie zachować dystans do chorych dusz? Do tych, których więzisz w piekle białego piasku? Śnij dalej. Zaraziłeś się od nich. Stałeś się ich chorobą. Zmieniłeś się w potwora. Ale ja zawsze będę cię kochać, ponieważ kocham wszystkie potwory. I dlatego mi ich oddasz: oddasz mi ostatnich troje pacjentów swojego zakładu, ponieważ też mnie kochasz, bo wszyscy mężczyźni mnie kochają. A także dlatego, że wiesz, że nie wolno w taki sposób wykorzystywać ludzkich dusz,

jak koni pociagowych. Twoja trojka musi odpocząć. Oddaj mi ich. Wypuszczę ich na pastwisko.

- Mogłem się pomylić... - przyznał ostrożnie Labirynt. - Ale nie mogę tak po prostu... tak po prostu...

Nagle stanęli twarzą w twarz na powierzchni księżyca. Ostre cienie, mizerna grawitacja, rozległa cisza. Doktor Labirynt był wprawdzie aniołem, ale przyzwyczyił się do oddychania i jakiegoś takiego ciśnienia powietrza. Tkaczka celowo sprawiała mu dyskomfort.

Nieważne. Udzielił już odpowiedzi. Podjął ostateczną decyzję.

Tkaczka znów zaczęła mówić i mimo że próżnia nie przenosiła dźwięku, Labirynt słyszał ją wyraźnie:

- Skoro nie możesz zrobić tego sam, zmusimy cię. Przekroczyłeś swoje uprawnienia. Twój czas dobiegł końca. Możesz sobie być aniołem stróżem Aleksa, ale ja jestem aniołem stróżem Ewy. Masz mi oddać więźniów. Daję ci jedną noc na przemyślenie sprawy. Jutro wrócę. Wykap się.

Krzywy uśmiezek przemknął po twarzy Labirynta. Przez krótką chwilę leżeli z Tkaczką pod patchworkową kołdrą w łóżu z białym frędzlastym baldachimem, z głowami opartymi na puchowych poduchach, i patrzyli sobie w oczy.

A potem Tkaczka zniknęła i Labirynt został sam w wybebeszonym gabinecie. Stał na przewróconej szafce.

Trzy martwe monitory przycupnęły na półce przy drzwiach na korytarz. Środkowy zamigotał i ożył: brontozaur, kobieta i dziup stali na piaszczystym pustkowiu. Brontozaur przekrzywił głowę i jednym okiem patrzył w kamerę. Podekscytowana kobieta podskakiwała wokół dziupa. Chyba coś mu tłumaczyła.

Znajdowali się we wnętrzu kineskopu i ze zdumieniem oglądali gabinet Labirynta, który wyglądał dokładnie tak, jak opisała im go Naomi. Brontozaur wykręcił szyję i zwrócił się do kobiety, która pokiwała głową.

Jedynym dźwiękiem dobiegającym z monitora było miarowe buczenie.

Czcigodna Tkaczka szła właśnie po moście zwodzonym przerzuconym nad fosą okalającą zamek Labirynta, kiedy tknęło ją złe przecucie. Uniosło się znad czarnej wody jak wilgotna mgła. Znieruchomiała w pół kroku.

Uświadomiła sobie, że jeżeli zmuszą Labirynta do oddania pacjentów, będzie usiłował ukryć swoją porażkę, uśmiercając ich. Właśnie tak: zabije ich. Pewnie nie dzisiaj i nie jutro,

ale wkrótce. Zbyt mocno go przycisnęła.

Paskudna sytuacja. Będzie potrzebowała pomocy.

Chyba czas wezwać Szpilę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

DEZYNSEKCJA

Mieli nogi ze spalonych zapalek.

Mieli nogi ze spalonych zapalek.

Mieli nogi ze spalonych zapalek.

I ręce też.

- Vachel Lindsay

Był rok 1997, kiedy pracowałem w Tucson jako spec od dezynsekcji. Wiodłem proste życie. Opuściłem sobie bycie człowiekiem i starałem się być przydatny jako pojazd użyteczności publicznej.

ŻYTECZNOŚCIPUBLICZNEJPOJAZDUŻYTECZNOŚCIPUBLICZNEJPOJAZDUŻY
TEC.

Znajdowałem się na południe od centrum i krążyłem po bocznych uliczkach w okolicy Stone Avenue, szukając wskazanego adresu. Wypatrywałem żółtych numerów wymalowanych od szablonu na latarniach i porównywałem je ze swoim wewnętrznym planem Tucson. Moje kamery przeczesywały rozkładające się miasto, przekładały ściany, zaułki i kontenery ze śmieciami na język przestrzeni symulacyjnej. Moje opony toczyły się po wyprażonym przez słońce śmieciu zalegającym rynsztoki.

Kamery w błotnikach obserwowały krawężniki. Ruch był niewielki; nigdzie nie widziałem ani pieszych, ani kierowców. Miasto rozrosło się do tego stopnia, że stało się prawie niezdatne do zamieszkania. Kanalizacja burzowa się zapchała i zanosilo się na to, że w przyszłym roku zimowa powódź zaleje okolicę i na amen uśmierci miasto, a wodociągi i elektryfikacja przepadną w baśniowej przeszłości. Tylko najbardziej uparci mieszkańcy wciąż odmawiali przeprowadzki do obozów przesiedleńczych. Tym gorzej dla nich.

Przy Russell Avenue zahamowałem przed znakiem stopu obok biblioteki o zabitych deskami drzwiach i oknach. Byłem jedynym pojazdem w mieście, który jeszcze przestrzegał

znaków, ale cóż, mam swoje przyzwyczajenia i już. Po Russell przeczłapała ciężarówka pomocy drogowej ciągnąca pozbawiony kół sedan. Sama miała jedną sflaczałą oponę.

Skręciłem w Russell i ruszyłem na południe.

Rok wcześniej byłem mózgiem sterującym śmieciarki (bardzo przyjemna robota, jeśli się nie ma nosa), ale potem mnie wymontowali i wsadzili do tej furgonetki. Cóż... Jak to mówią: badać, co? jak? - nie nam.

Moje sześć opon zaturkotało na popękany m cement. Zatkan mi się zawór bezpieczeństwa w zbiorniku z metanolem i wysiadły amortyzatory, ale pracowałem, a to było dla miasta najważniejsze. Miałem zapasowe koło, nie miałem jednak podnośnika. Straciłem pióro wycieraczki i kiedy padał deszcz, kompulsywnie haratałem sobie przednią szybę metalową oprawą. Poza tym za dużo gadałem do siebie.

Warunki pracy miałem na trwale wytrawione w korze wzrokowej: cztery tomy teoretycznej perfekcji i bezlitosnych schematów - bez cienia rdzy, śladów zużycia, strzępiących się kabli. Kiedyś nawet je sobie podczytywałem dla zabawy.

Moim jedynym przyjacielem w tym okresie była odźwierna w zajezdni miejskiej, która otwierała mi drzwi, kiedy wracałem z objazdu. Jej zdaniem wszystkie moje problemy brały się stąd, że w przeszłości byłem człowiekiem i z tego okresu pozostały mi wygórowane oczekiwania. Ciekawe, skąd to wiedziała.

Jechałem przez miasto zamieszkane przez ludzi, którzy nie wychodzili na dwór. Siedzieli w domach, oglądali telewizję i pomału się roztapiali. Tak właśnie działał ten nowy wirus: roztapiał ludzi. Kiedy całkiem się stopili, karetki z głośnymi syrenami przewoziły kleistą maź do szpitala uniwersyteckiego, gdzie potwierdzano zgon. Po uzyskaniu świadectwa zgonu, beczki z mazią wywożono na cmentarz przy Oracle Drive, gdzie buldożery przysypywały je ziemią. Pozostawało jeszcze tylko wypełnienie formularzy.

Miasto zbudowały spychacze, betoniarki i dźwigi. Ludzie nie daliby rady. Człowiek ledwie był w nim w stanie żyć. W mieście ludziom wyrastały guzy, mięsaki i cysty; na ich ciałach wykwitwały rany, wrzody, zgorzele i pozbawione nazw narośle. Rdza żdźbłowa pieniała się w pszenicy, bez względu na to, jak bardzo chemicy starali się zatruć zboże. Woda była pełna substancji oczyszczających. A jeśli kogoś nie dopadły choroby, to padał łupem domowych szkodników - ulepszonych i zmutowanych. Leśne osy z Chile. Amazońskie skaczące skorpiony. Norweskie zajadki. Zabójcze malajskie równonogi. Ludzie nie mieli lekko. Ci, którzy nie mieli domów, w których mogliby się ukryć, zamykali się w samochodach i tam umierali z głodu, albo chowali się w kontenerach na śmieci, które uszczelniali taśmą izolacyjną i w ten sposób się dusili. Przynajmniej nie musieli się bać

szczurów: robactwo zżarło wszystkie szczury.

Nie interesowałem się jednak ludźmi. Moim obowiązkiem była likwidacja szkodników. Nie groziło mi, że złapię jakąś chorobę; nie musiałem się bać, że się roztopię. Mnie, cyfrowych zegarów i magnetowidów zaraza nie ruszała. Bóg obdarza swych wybrańców drobnymi łaskami - czasem tak drobnymi, że widać je dopiero pod mikroskopem.

Powiedziano mi, co mam robić, a ja robiłem, co mi powiedziano. Jeżeli zapomniałem, dokąd mam jechać, mój Kontroler mi przypominał; jeżeli nie zwracałem na niego uwagi, powtarzał swoje upomnienie. Robactwo legło się w domach, więc ich mieszkańcy dzwoniли do Kontrolera, a on wysyłał mnie na oprysk. Ludzie nie mieli ochoty użerać się ze szkodnikami, chcieli roztopiać się w spokoju. Rozumiałem ich, też wolałbym mieć spokój, ale ktoś musiał robić opryski.

Znałem się na robalach. W pamięci ROM miałem zapisany *Słownik Insektów Miejskich Ameryki Północnej* zaktualizowany w 1996 roku. „Karapaks łuskacza przybiera barwę od szarobrązowej w zimie do jasnożółtej...”. Albo „Kolec jadowy stonogi olbrzymiej...”. Czasem puszczałem go sobie przez wokoder w przyspieszonym tempie. Ależ wychodził szwargot.

CJALNASKARGAOFICJALNASKARGAOFICJALNASKARGAOFICJALNASKARG
AO

Byłem w żalonym stanie. Nie powinienem pracować. Wyciekał mi olej z przekładni, miałem purchle na oponach, prądnica wymagała pilnej regulacji. Powinienem odpoczywać wygodnie na podnośniku, żeby mechanicy nasmarowali mi łożyska.

Wystarczyłoby jedno krótkie trzask! Jednego paska klinowego, żebym legł martwy na poboczu jakiejś zapomnianej przemysłowej drogi. Natychmiast zlecieliby się złomiarze, jak muchy. Ale miasto o tym nie myślało: w tych ciężkich czasach potrzebowało każdego sprawnego pojazdu, jaki tylko mogło znaleźć. Jeśli coś się rusza, niech haruje! Taką miało filozofię. A kimże ja byłem, żeby się skarżyć? Nie czułem bólu. Robale też go nie czują, ale przynajmniej mogą umrzeć. Mają tę przewagę nad maszynami.

STKAMOBILNAJEDNOSTKAMOBILNAJEDNOSTKAMOBILNAJEDNOSTKAMO
BIL

W fotelu kierowcy siedział manekin. Nie kierował mną, stanowił po prostu element wyposażenia. Nie miałem zresztą kierownicy, więc trzymał rękawiczki na kolanach. Miał czarne skórzane rękawiczki i czarne skórzane buty, w które wcale nie wkładał dłoni ani stóp. One same były jego dłońmi i stopami.

Nazywano go „jednostką mobilną”, ponieważ mógł ze mnie wysiadać i chodzić po okolicy. Miał kurtkę z czarnego winylu, z którego wykonano także jego spodnie, czapkę i

twarz. W głowę wbudowano mu dwie kamery, których obiektywy były przesłonięte czerwonym kratkowanym szkłem, jak światła stopu. Mogłem patrzeć jego oczami i mówić przez głośnik wmontowany w jego szyję; mogłem kręcić jego głową i tupać jego nogami; mogłem wysłać go do domów, żeby tam robił opryski.

Kiedy byłem śmieciarką, podobna jednostka ruchoma służyła mi do opróżniania pojemników, a czasem nawet do zeszkrobывania roztopków. Niektóre roztopki nie zasługiwały na karetkę - bezdomni z kontenerów, ludzie, którzy roztopiali się w publicznych szaletach, tego typu osobniki.

Uprzążenie śmieci skończyło się przed rokiem i miasto przestawiło się na rozsyłanie po mieście patroli, które spryskiwały świeże odpadki pianą, twardniejącą w zetknięciu z powietrzem. To niesamowite, co można zrobić z plastiku. Ludzie padali jak muchy, za to nowe tworzywa mnożyły się jak króliki. Przynajmniej była jakaś nadzieja na przyszłość.

UNEKMELDUNЕКMELDUNЕКMELDUNЕКMELDUNЕКMELDUNЕКMELDUNЕКMELDUNE
KM

Skreśliłem z Szesnastej Wschodniej w zwirową uliczkę łączącą Stone z Russell. Po stronie zachodniej rozciągała się pusta, zaśmiecona parcela. Na północ od niej biegł rząd szerokich na dwa jardy minidomków, z antenami i klimatyzatorami na dachach, o ściany których opierały się kopce spetryfikowanych pianą odpadków. Po drugiej stronie ciągnęły się tylne podwórka szeregowców, oddzielone od uliczki drewnianym płotem. Zaparkowałem na tyłach domu, w którym miała mieszkać niejaka pani Everson. Wygasilem turbiny i skoncentrowaną wiązką radiową przesłałem meldunek. Był upalny sierpniowy dzień, godzina 13:27.

ADZENIEPASAZERÓWWYSADZENIEPASAZERÓWWYSADZENIEPASAZERÓW
WY

Podniosłem rękę manekina i odpiąłem sprzączkę opinającej go uprząży. Odblokowałem drzwi, popchnąłem je, żeby się otworzyły, a następnie wystawiłem obie nogi manekina na zewnątrz i - z jakimś trudem - postawiłem buty na żwirze. Zatrzasnąłem za nim drzwi i pokierowałem nim w taki sposób, że zaszedł mnie od tyłu. Wszystko to jest okropnie skomplikowane, jeśli się za dużo o tym myśli.

Otworzyłem tylne drzwi i wyciągnąłem swoją płócienną torbę i pas z narzędziami. Przewiesiłem torbę przez ramię, wrzuciłem do niej pistolety natryskowe i mieszany zestaw toksyn w aerozolu. Miałem w swoim arsenale specyfiki na mrówki, pająki, karaluchy, pchły, rybiki i ślimaki.

Parchaty pies truchtał uliczką, niosąc w pysku kawał zatłuszczonego papieru, w jaki pakuje się mięso. Nawet na mnie nie spojrzął. Nie miałem zapachu. Podszedłem do płotu i

ruszyłem wzdłuż niego na południe, do furtki zamkniętej spiętym kłódką łańcuchem. Oparłem rękawiczki na płocie, żeby chwilę pomyśleć. Całe szczęście, że do pasa z narzędziami miałem przytroczone szczypce do cięcia prętów.

Na wybrukowanym czerwona cegła podwórku rósł w małym zagłębieniu echinokaktus. Obok rdzewiał stelaż huśtawki. Okrążyłem dom, wszedłem po schodkach od frontu i zapukałem do drzwi. I w tej samej chwili rzucił się na mnie wściekły drapieżnik. Prawdę mówiąc, był to zwykły pudel, ale ugryzł mnie w nogę.

Powoli zgiałem się w pasie i nachyliłem nad nim.

- Grzeczny piesek - powiedziałem kojąco, podczas gdy on, warcząc zajadle, pastwił się nad moją nogą. - Grzeczna psina.

Wyjąłem z torby metalowy pojemnik z cyjanometanem, zamachnąłem się nim znad głowy i tak długo okładałem małego skurczybyka, aż mnie puścił. Wtedy go kopnąłem. Poleciał na drzwi i tam padł bezwładnie.

- Już idę! - dobiegł głos z wnętrza domu. - Proszę nie wyważać drzwi!

Szczęknął łańcuch. Kopniakiem wepchnąłem pudła między aluminiowy szalunek domu i jukę w donicze.

- Ja w sprawie dezynsekcji! - zawołałem. - Tępię robactwo!

- Spokojnie - powiedziała pani Everson. - Bez nerwów.

NIEVERSONPANIEVERSONPANIEVERSONPANIEVERSONPANIEVERSONPANI
EVE

Drzwi się otworzyły. Starsza kobieta spojrzała na mnie, mrużąc oczy i jedną ręką osłaniając je przed słońcem. Jej ręce przypominały oskubane z piór kurczące skrzydełka, a szyja wyglądała jak obsypana cukrem pudrem ekierka. Na nogach miała buty ortopedyczne i zrolowane do kostek nylonowe pończochy, a na szyi zawieszzone na sznurku dwuogniskowe okulary. Nosila aparat słuchowy. Stała nad grobem.

- Pan od dezynsekcji? - upewniła się. - Proszę wejść, niech pan tak nie stoi na słońcu. Porozmawiamy w pokoju. Oglądam jeden z moich ulubionych programów.

Zniknęła i zostałem w progu sam. Zanosilo się na to, że będę musiał namierzyć pokój po dźwiękach dobiegających z telewizora, co wcale nie było takie proste. Zgodnie z planem, który wczytałem do pamięci, stałem w przedpokoju, tylko że „przedpokój” był w tym wypadku zwodniczo niewinnym określeniem składnicy oszalamiającej masy porcelanowych bibelotów, stosów kolorowych pism, mnóstwa ceramicznych lamp, kartek świątecznych i innych podobnych śmieci. Sufit był niski. Ledwie mogłem się ruszyć.

Powiodłem wzrokiem po ścianach, policzyłem drzwi, ustaliłem swoje położenie i

bezpieczne rozpylenie śmiertelnych środków odkażających, których użycie jest niezbędne do usunięcia szkodników.

KLIENTKA: Może pan powtórzyć?

JEDNOSTKA MOBILNA: Jestem zmuszony prosić panią o opuszczenie lokalu na okres minimum dwudziestu czterech godzin.

KLIENTKA: No cóż, skoro to konieczne... Mogłabym chyba przenocować u siostry, mieszka przy Speedway. Ale jest mężatka.

Pani Everson zadzwoniła do siostry i spakowała się na noc w jedną torbę, a następnie zadzwoniła po taksówkę. Taksówka przyjechała po dwóch godzinach. Kiedy wystawiałem panią Everson za drzwi, powiedziała mi, żebym częstował się wszystkim, co znajdę w lodówce, ale żebym pod żadnym pozorem nie ruszał mebli, które stoją dokładnie tak, jak lubi.

Powlokła się do taksówki w bezlitosnych promieniach popołudniowego słońca. Przy wozie odwróciła się i dodała:

- I proszę uważać, żeby nie nawdychać się tego świństwa. Bo dostanie pan raka, wyrośnie panu guz wielki jak grejpfrut i nawet nie będzie pan mógł liczyć na odszkodowanie.

To rozumiałem. Każdemu należy się stosowne odszkodowanie.

BNYOPRYSKPRÓBNYOPRYSKPRÓBNYOPRYSKPRÓBNYOPRYSKPRÓBNYOPRYS
YS

Zamknąłem za nią drzwi i objąłem dom w posiadanie. Zostaliśmy tylko ja i szkodniki. Najpierw musiałem przygotować podłogę.

Poszedłem z młotkiem do pokoju telewizyjnego, klęknąłem wśród tych wszystkich gównianych gazetek i krakersów i zacząłem wyciągać trzymające dywan gwoździe tapicerskie. Tylko że wszędzie stały te pierdolone meble!

Pieprzyć gwoździe, pomyślałem. Zerwę ten jebany dywan gołymi rękami!

I tak właśnie zrobiłem. Telewizor spadł ze stolika i się roztrzaskał, komoda pełna duperele przewróciła się na bok, ale chrzanić to, miałem robotę do wykonania! Zerwałem dywan, zawinałem w niego fotel i klatkę dla papużek i wywlokłem cały ten syf przed dom.

Wróciłem do środka i wysypałem zawartość torby na stół w kuchni. Uporządkowałem pompki i zbiorniki, rozcieńczalniki i rozrzutniki, lepkie syropy i żrące proszki. Wybrałem pojemnik z mieszanką przeciw mrówkom i karaluchom i dokręciłem do niego czerwony wąż gumowy z mosiężną dyszą (tryzonekrolaina rozpuszczona w roztworze chromianu sodu; w razie połknięcia spowodować wymioty).

Podwiesiłem pojemnik do paska naramiennego, przeniósłem go nad zlew i wycelowałem dyszę w zebrane pod kranem naczynia. Odkręciłem zawór. Niedojedzony tost na talerzyku w

kwiatki poczerniał. Filizanki, łyżeczki i jajecznicza poczerniały. Zlew i wypełniająca go woda z mydlinami również poczerniały. Lśniąca czarna powłoka wpełzła po kafelkach i przyczerniała drzwi szafek.

Tapeta podeszła bąblami, zaczęła się łuszczyć i dymić. Smoliście czarna plama pokryła sufit w kuchni i rozlała się na pokój. Farba schodziła wiórami z otynkowanych ścian, zostawiając na czarnym tle postrzępione białe placki.

Stanąłem przy oknie, spryskałem listwę przypodłogową i czekałem, aż maź wsiąknie. Świeciły już latarnie, weszły gwiazdy. Sucha trawa przy krawężniku kołysała się na wietrze. Podniosłem dyszę, celując w szybę. Oleiste mazidło ściekło po szkłe i zaczęło skapywać z wewnętrznego parapetu. Przeszedłem do sypialni.

Chodźcie, robaczki! Chodźcie do Aleksa! Taś, taś, taś!

Zamknąłem zawór. Obejrzałem czarne zasłony, czarną kapę i wałek na łóżku, szafę pełną szerniałych ubrań i czarne buteleczki z perfumami na czarnej koronkowej serwetce. Toksyczne badziewie miało korzystny wpływ na wnętrze; przydało tej zagraconej drewnianej pieczarze sterylnej, księżycowego piękna.

Zawsze zaczynało się od najbardziej prymitywnych środków, żeby zwrócić uwagę tałatajstwa i wypłoszyć parę sztuk z ukrycia. Potem, wiedząc już, z czym ma się do czynienia, dobierało się trucizny bardziej selektywne. Można było pozatykać im przetchlinki polimerem, feromonami namieszać im w życiu erotycznym albo nafaszerować je enzymami, które zabijały florę bakteryjną w układzie pokarmowym, co prowadziło do śmierci głodowej. Możliwości były nieograniczone. Istny raj dla chemika. Ale dopóki nie wykurzyłeś drania z framugi i go nie zidentyfikowałeś, równie dobrze mogłeś sikać pod wiatr. A ja nadal niczego nie widziałem.

No dobrze, pomyślałem sobie. Poeksperymentujmy trochę.

Wróciłem do kuchni. Napelniłem kubek wodą i odkręciłem słoje z winianem potasu. Wsypałem do wody trzy kubki niebezpiecznych żółtych granulek. W kubie zabuzowało. Znalazłem mop i przetrąłem roztworem podłogę we wszystkich pomieszczeniach. Kiedy napotykałem na swojej drodze jakąś szafkę albo komodę, odrywałem jej nóżki, wywlekałem cholerstwo na podwórko i zrzucałem na stos gratów do spalania. Tylko że mop rozpadł się na kawałki zanim skończyłem, a szkodników nadal nie było nigdzie widać.

Zawsze było tak samo. Ledwie się zdążyłeś rozkręcić, zwietrzyć krew, a już te małe piździelce wlażyły głębiej w dziury i szpary, gdzie nie miałeś szans ich dorwać, tak jak nie można podrapać się po samym środku pleców.

Dziury i szpary. Normalka w tych wszystkich gównianych, tandetnych chałupach.

Obszedłem cały dom i wywaliłem kopniakami parę dziur w ścianach.

Wynosiłem ten gnój całymi naręczami: bombonierki, doniczki, puszki z przecierem pomidorowym... A syf wcale się nie zmniejszał! Istne szcurze gniazdo. Miałem ochotę udusić papuzkę. Sięgnąłem po młot i rozwaliłem parę regałów i ścianek działowych, a potem pogasiłem wszystkie światła, siadłem pod ścianą i zacząłem kombinować.

Oprysk mógł wpędzić robactwo w fundamenty. Jeśli tak, to może udałoby się je jakoś zaneść...

ŁADANIEPRZYNEŹTYPODKŁADANIEPRZYNEŹTYPODKŁADANIEPRZYNEŹTYPODKŁ

Potrzebowałem przynęty. Masło orzechowe? Kurza wątróbka? Nieżywy pies? Tak, nieżywy pies nada się idealnie. Wyszedłem na skąpane w księżycowej poświacie schody i przytaszczyłem pudła. Rzuciłem go na łóżko, a sam schowałem się w bieliźniarce, wśród szlafroków i rakiet tenisowych.

Robale się nie pojawiły. Potrzebowałem więcej przynęt.

Poszedłem w głąb uliczki, przeryłem się przez plastikową skorupę kopca starych odpadków i przywlokłem dwa worki pełne śmieci, które grabiami rozwłóczyłem po całym domu. Kursowałem tak w tę i z powrotem, aż uzyskałem równą sześciocalową warstwę śmiecia na całej podłodze. I znów schowałem się w bieliźniarce.

Całą noc czekałem w zasadzce. Patrzyłem swoimi oczami, słuchałem rękawiczkami, węszyłem butami. Klimatyzacja włączała się i wyłączała - dobrze wyregulowany sprzęt. Przejeżdżały samochody. Wyłączyłem oczy i tylko nasłuchiwałem. Miałem wrażenie, że wciągnąłem głowę w głąb klatki piersiowej.

Udało mi się wychwycić nowy rytm, ledwie słyszalny na tle spokojnego pomruku klimatyzacji. Świergot. Pisk. Dziesiątki pisków. W ścianach, w podłodze, ze wszystkich stron. Wojowniczy jazgot, jaki mogłaby wydawać chmara szarańczy. Wylazłem z bieliźniarki i zapaliłem światło. Robale śpiewały w najlepsze, bezpiecznie pochowane w zakamarkach.

Klimatyzator mnie rozpraszał, wyrwałem mu więc kabel zasilający - i wtedy zobaczyłem pierwszą cykadę.

NTAKTPIERWSZYKONTAKTPIERWSZYKONTAKTPIERWSZYKONTAKTPIER

Wypadła z klimatyzatora na podłogę. Duża była, suka, sześć cali długości. Garbata brązowa skorupa, jak u świerszcza. Kanciaste, piłkowane odnóża. Krzywe czułki ostukujące podłogę jak laski ślepców. Solidnie zmutowana olbrzymia cykada. W sam raz nadawałaby się do filmu o potworach, w których burzyłaby Tameę Hoovera.

Podbiegła nerwowo do ściany i tam znieruchomiała. Ja stałem bez ruchu, przetwarzając

swoje żalosne trele; mógłbym stworzyć mapę demograficzną ich populacji i przeanalizować strukturę ich społeczności, a na koniec je unicestwić: zmiażdżyć jaja, spalić larwy, a z trutni wydrzeć torturami strategiczne informacje.

Ponieważ jednak nie mogłem zrobić żadnej z tych rzeczy, zadowolilem się dziurawieniem łodem tłoczonych pastelowych tapet pani Everson. I raz, i dwa, i trzy.

NAPRZERWĘCZASNAPRZERWĘCZASNAPRZERWĘCZASNAPRZERWĘCZASNA
PR

Zrobiłem sobie przerwę. Czulem, że mam do niej prawo. Usiadłem w wannie pani Everson, postawiłem sobie telewizor na kolanach i przez dwie godziny oglądałem nadawane w sobotę rano kreskówki.

W jednym z filmików występowała sroka, która chciała zjeść robaka. W innym wilk, który miał ochotę schrupać owcę. Żarty mnie bawiły, ale nie podobało mi się, że i robak, i owca uszły z życiem. Bajki powinny być realistyczne.

GONETKAFURGONETKAFURGONETKAFURGONETKAFURGONETKAFURGON
ET

W pewnym momencie mój wóz nadał sygnał alarmowy: w alejce działo się coś, co stanowiło Zagrożenie Dla Bezpieczeństwa Pojazdu. Dwójka podejrzanie wyglądających meksykańskich dzieciaków, które dotąd włóczyły się po okolicy, siedziały teraz pod płotem. Chłopak miał ogoloną głowę i dłubał sobie śrubokrętem w zębach. Jego przyjaciółka miała fioletowe tatuaże na twarzy i naszyjnik ze świec zapłonowych. Mój samochód był przekonany, że rozmawiają właśnie o nim; podejrzewał, że ma do czynienia ze złodziejami części samochodowych. Ja uznałem, że panikuje.

- Alex? - odezwałem się. - Przesadzasz. Słyszysz mnie? Alex?

Nie odpowiedział.

ŚNIEJJEDNAKWCZEŚNIEJJEDNAKWCZEŚNIEJJEDNAKWCZEŚNIEJJEDNAKWC
ZE

Jednak wcześniej, stojąc w wannie, uderzyłem głową o pręt, na którym była zawieszona plastikowa zasłonka. Tak mnie to rozwścieczyło, że wyrwałem to ohydne kurestwo ze ściany - pręt, mocowanie, zasłonkę, wszystko. Przy okazji pół ściany wpadło do wanny. Stałem więc w tumanach pyłu, z metalowym prętem w garści, i gapiłem się w głąb ściany.

W głąb ściany. Moje życzenie się spełniło. Rury na wierzchu, w głębi belki konstrukcyjne, a nieco dalej, w półmroku, zawieszony w hamaku włókien białawy woreczek, w którym spały lub wiły się miriady mlecznobiałych larw. Znalazłem gniazdo cykad. Zaniepokojone dorosłe okazy wystawiły łby ze szpar i piszczały ogłuszająco.

A potem cykady rzuciły się chmarą do worka i go rozdarły. Każda chwyciła po kilka młodych, pakowała je sobie pod brzuch i rzucała się do ucieczki - ale to było jak wybieranie wody z tonącej szalupy za pomocą napastrka. Były moje. Kiedy wyciągnę ramię i zacisnę rękawiczkę w pięść, zrobię im ze złołka jatkę. Gdybym chciał, mógłbym smażyć larwy w oleju z orzeszków ziemnych, maczać je w ostrym sosie i sprzedawać po domach. Jak niby miałyby mi w tym przeszkodzić?

GONETKAFURGONETKAFURGONETKAFURGONETKAFURGONETKAFURGON
ET

Moja furgonetka dostawała regularnej paranoi. Pierwsze z małych Meksykanów, które wstało, wprasowała w płot. Była święcie przekonana, że są złodziejami, a ja nie umiałem przemówić jej do rozsądku.

- Połamiemy komuś kości... - mówiła. - Chodź, Aleksie, wyjdź tu do mnie. Nie chcesz zobaczyć, jak łamię komuś kości?

NIEJSZAZTYMALEMNIEJSZAZTYMALEMNIEJSZAZTYMALEMNIEJSZAZTYM
ALE

Ale mniejsza z tym. Kiedy sięgnąłem w głąb ściany po garść larw, pani Everson postukała mnie w ramię.

- Dom wygląda o niebo lepiej - powiedziała. - Jestem panu ogromnie wdzięczna. I wie pan co? U siostry rozmawiałam z taką przemiłą panią z opieki społecznej, która załatwiła mi przenosiny. W nowym miejscu jestem bardzo szczęśliwa. Gotują nam tam obiady i dają leki całkiem za darmo. Mam własne łóżko wodne, własny magnetowid i od rana do wieczora oglądam porno. Jest cudownie! Niech pan robi swoje, młody człowieku. Aha, dziękuję także za uduszenie papużki. Nigdy jej nie lubiłam. Dostałam ją w prezencie.

Zawróciła w stronę drzwi, ale byłam dla niej za szybki. Tak łatwo mi się nie wymknie. Nie podpisała mi przecież rachunku za oprysk. Postawiłem na niej sofę i usiadłem na niej. Kiedy się okazało, że pani Everson nadal oddycha, poszedłem do kuchni po pistolet natryskowy. Podsunąłem jej rachunek do podpisu, a potem ją wykończyłem. Dobrze rozumiałem, na czym polegają moje obowiązki wobec miasta. Miałem zabijać szkodniki, w tym także zbędnych mieszkańców, którzy weszliby mi w drogę. Dyskretnie. Niepostrzeżenie. Byłem bronią chemiczną. Pani Everson miała swoje lata i weszła mi w drogę. Miałem jej pozwolić żyć? Takiej starej i bezużytecznej?

Kiedy siedziałem na sofie i podłączałem do pistoletu pojemnik z aerozolem, nogi zaczęły mnie swędzieć. To było niemożliwe, ale one naprawdę swędziały. A ja przecież nie miałem nóg, tylko metalowe pręty w spodniach. Ten świąd był jak wspomnienie z poprzedniego

życia.

NOTEMUDAWNOTEMDAWNOTEMUDAWNOTEMUDAWNOTEMUDAWNOTE
MUD

Dawno temu, w poprzednim życiu, byłem człowiekiem z krwi i kości. Przez mniej więcej rok mieszkałem w deszczowym mieście, w wilgotnej piwnicy. Pchły stanowiły spory problem, ponieważ mnie polubiły. Jako pożywienie. Rozdrapywałem ślady ich ukąszeń do krwi, a kiedy krew krzepła, rozdrapywałem strupy. W końcu poszedłem w supermarkecie do działu z towarami dla zwierząt i kupiłem proszek na pchły i dwie kocie obróżki przeciwpchelne. Posypałem proszkiem łóżko i sofę, a obróżki założyłem na kostki, pod skarpetki. Wydawało mi się wtedy, że to znakomity pomysł. Niestety, obróżki zaprojektowano z myślą o zwierzakach, które mają sierść.

Przespałem się w obróżkach i rano obudziłem się wśród pcheł skaczących po mnie jak co dzień, za to z kostkami obwiedzionymi wianuszkami wściekle czerwonych bąbli, które podeszły wodą. Drżącymi rękami odpiąłem plastikowe okowy i zdjąłem je ze zbezczeszczonego ciała.

Kilka dni przeleżałem na sofie z nogami opartymi na podłokietniku, a opuchnięte i pożółkłe kostki płakały słonymi łzami, które spływały mi po nogach. Cierpiąc za swoją głupotę, doznawałem regularnych nawrotów obrzydzenia do samego siebie. Tak to jest, kiedy nie czyta się instrukcji obsługi.

CZASEMTYMCZASEMTYMCZASEMTYMCZASEMTYMCZASEMTYMCZASEMT
YM

Dobrze, że nie miałem już normalnego ciała; robaki mogłyby je pokąsać albo nawet zjeść. Poza tym, gdybym był człowiekiem z krwi i kości, już bym się udusił. Byłbym martwy lub co najmniej obłąkany. Ja zaś myślałem zupełnie jasno.

Gorzej szło mojemu samochodowi. Złodzieje obrali go z opon i wyłamali mu maskę. Łyżka do opon potrzaskała szyby w oknach, odłamki szkła jak drobny żwir usłały fotel kierowcy. Złodzieje użyli pił do metalu, które znaleźli w jego własnym zestawie naprawczym. Ekspłodował w zwolnionym tempie, jak animowany schemat gaźnika. Części poleciały we wszystkie strony. Alternator. Akumulatory.

Co będzie, jak znajdą krzemionkowe płytki mojego mózgu? Co wtedy, Aleksie? Gdzie są kluczyki? Miejże litość! Pomóż mi!

TURNNOKTURNNOKTURNNOKTURNNOKTURNNOKTURNNOKTURNNOKTU
RNN

Stara kobieta spała, przygnieciona sofą. Na sofie siedział robot. Żadne z nas nie

oddychało. Na dworze było ciemno. Gdzieś daleko w mieście zawyła syrena.

Zlazłem z sofy i przeszedłem się po salonie. Wszystkie krany w domu były odkręcone; odpływy i szpary pod drzwiami zostały zatkane zwiniętymi w kłęb sukienkami pani Everson. Na podłodze zebrała się już wysoka na cal warstwa wody. Wszystkie drogi ucieczki były odcięte. Chodziłem po pokoju, czekając, aż woda jeszcze się podniesie, i ślizgając się na mokrych kafelkach i chodnikach - na wpół w domu, na wpół na dworze, na wpół obłąkany, na wpół martwy.

Nie panikuj, powtarzałem sobie. Cokolwiek się stanie, nie wolno ci panikować. Jeśli tylko zdołam zachować trzeźwość umysłu, wszystko będzie dobrze.

Głęboka ciemna studnia. A na jej dnie trzy siostry, objadające się syropem i chore od niego. Chore na głęboką i ciemną chorobę.

Stanąłem przy zaciemnionym oknie. Była noc. Wszystko jakby się kurczyło i oddalało. Ściany uciekały przed podłogą. Żwir na podjeździe cofał się przed ceglami podwórka. Odcisk opon czmychał przed asfaltem, billboardy odsuwały się od nieba, a gwiazdy od ziemi. Kobiety unikały mężczyzn, mężczyźni siebie nawzajem. Nie mogłem spać. Nic nie rozumiałem. Gdzieś niedaleko grała meksykańska orkiestra - akordeon i trąbki. Chyba jakaś impreza.

Ziemia wirowała mi pod butami. Gwiazdy zataczały kręgi nad domem pani Everson. Spaliłem wszystkie jej kolorowe pisemka. Coś kąsało mnie w nogę.

OSIEPOKŁOSIEPOKŁOSIEPOKŁOSIEPOKŁOSIEPOKŁOSIEPOKŁOSIEPOKŁOSIE
PO

Czas płynął. Wodociągi miejskie odcięły wodę. Elektrownia odcięła prąd. Miałem wyczerpane akumulatory i dzieliłem zrujnowany dom z moimi przyjaciółmi robalami. Spalony księżycowym żarem szkielet mojej furgonetki stał w zaułku i rdzewiał podczas zimowych ulew.

Kiedy odcięli prąd, obraz na telewizorze skurczył się do rozmiarów białej kropki, a potem całkiem zgasł. Czasem jakieś dzieciaki rzucały kamieniami w okna, ale nie zwracałem na nie uwagi. Wiedziałem, że cykady się nimi zajmą: wyparły już z Tucson czerwone mrówki i właśnie dojadły ostatnich mieszkańców.

Leżałem na wznak, z głową w schowku na szczotki, w towarzystwie kija od mopa i galonowej butli piwa imbirowego. Ciągle o czymś zapomniałem. Zapomniałem, czym byłem zajęty. (Zalewałem dom). Zapomniałem, co zrobiłem. (Zgubiłem kluczyki od samochodu). Zapomniałem, co planowałem. (Pewnego dnia dach domu musiał się zawalić, a wtedy słońce wypaliłoby mi wejścia optyczne). Wszystkie najważniejsze organy zostały ze mnie

wymontowane i ukradzione.

Opowiadałem dowcipy cykadom. „Przerwijcie mi, jeśli to znacie”, mówiłem. Cykady przynosiły mi jedzenie i uczyły mnie różnych rzeczy. Jeść nie mogłem, ale sporo się nauczyłem. O rodzinach. O pustyniach. O mordowaniu dusz.

„Nie mogę tego jeść”, powtarzałem. Myślały, że żartuję.

W okresie godowym samce zrobiły się niebieskie i zaczęły świecić. Chodziły po suficie, tworząc mrugające konstelacje. Zastanawiałem się, czy owady są maszynami, a maszyny owadami. Niektóre owady potrafią latać, ale nie wszystkie; z maszynami jest tak samo. Latające maszyny potrafią zabijać ludzi; owady również. Wszystko zbiegało się do rozmiarów białej kropki, która jednak nie chciała zgasnąć.

Na wiosnę samcom wyrosły skrzydełka i zaczęły się roić wokół mnie. Nurkowały z góry w kierunku mojej twarzy i odlatywały z powrotem. Drażnyły tunele w mojej piersi, ostrzyły sobie zuwaczki na moich serwomotorach, a kiedy kazałem im przestać, mówiły: „Zmusz nas! Trup nie będzie nam rozkazywał!”.

Powiedziałem więc, że je zmuszę. Piszcząc z uciechy, turlały się w moim wnętrzu i wierzgały odnóżami.

Wstałem i znalazłem sobie wiadro i kawał węża gumowego. Kopniakiem wyłamałem drzwi kuchenne i wyszedłem na dwór. Była pełnia, jasno jak w dzień. Odłamki szkła chrzęściły mi pod butami. Ściągnąłem trochę metanolu ze zbiornika w furgonetce i wylałem go sobie na głowę. Wróciłem do domu po zapalną.

Chwilę później płonąłem jak pudding polany brandy. Ode mnie zajęły się zasłony. Przypieczone cykady wylaziły mi spod pach i z krocza i dymiąc, spadały na podłogę. Piszczwały w owadzim uniesieniu i umierały szczęśliwą owadzią śmiercią, jak obłąkani lotnicy wyskakujący z płonącego bombowca.

Z góry, z dołu, ze wszystkich stron płynęło uszczęśliwione cykanie. Cykady pląsały wokół moich stóp, dopingując mnie głośno. Moja czarna winylowa twarz skapywała na ziemię; krople, wlokące za sobą ogniste ogony, wydawały zabawny odgłos. Robale wywijają koziółki i śmiały się do rozpuku.

Moje kamery sypnęły skrami. Brunatny dym wypełnił dom. Zmieniłem się w chwiejącego się na nogach stracha na wróble ze srebrnych patyków i czarnych szmat, ale nie przeszkadzało mi to, bo robaki dobrze się bawiły.

Upadłem. Płomienie przygasły. Cykady tłumnie oblażyły mój wrak, żeby świętować. Cykadzi tatowie w niebieskich kombinezonach i cykadzie mamy w halkach i krynolinach tańczyli walca na mojej piersi. Cykadzie dzieci pędziły na wyścigi do dogasających

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ZAMROŻONY MAMUT

- Tak małe dziecko - powiedział pan siedzący naprzeciw niej (był ubrany w strój z białego papieru) - powinno wiedzieć, w jakim kierunku jedzie, nawet jeśli nie wie, jak ma na imię!⁷

- Lewis Carroll

Kochany Aleksie, w nocy śniło mi się, że napisałam do ciebie list. Nie byłam w nim brontozaurem. Byłam mała, jak Eva. I byłam kobietą. Kobieta, która pisze do ciebie list miłosny.

W moim śnie był rok 1999 i nie widzieliśmy się od dziewięciu długich lat. Miałam nadzieję, że mnie nie zapomniałeś. Rodzaj ludzki znalazł się na krawędzi zagłady, ale ja myślałam tylko o tobie, kochany Aleksie. Myślałam, że zdołam cię odwieść od pomysłu zastępowania siebie maszynami.

Poszłabym cię szukać, gdybym nie siedziała w kiciu. Trzymali nas w wojskowym więzieniu dla kobiet, pół mili pod powierzchnią Antarktydy. Więzienie nie miało zaostrego rygoru, bo i tak nie było dokąd z niego uciec.

Nocą, leżąc na pryczy pod gryzącym kocem, porzucałam swoje ciało i szybowałam po niebie ponad lodem. Zachody słońca były cudowne, trwały wiele dni, a potem zorza polarna trzepotała jak kolorowa flaga na tle gwiazdzistego nieba. Gdyby nie śnieżne zadymki, mogłabym pomyśleć, że jestem na księżycu. Czasem leciałam na północ, nad ocean, i dalej, ponad jego falami, żeby się przekonać, co kombinuje rodzaj ludzki.

Trwała wojna, Aleksie. Światowa wojna plazmowa. Kiedy wiązka cząstek trafiła człowieka w głowę, wygotowywała mu mózg. Najciekawsze były masery bumerangowe. Inżynierowie formowali promienie koherentnego światła i podsycali je plazmą wodorową,

⁷ Przeł. M. Słomczyński.

czyli materiałem, z którego jest zbudowane słońce. I można było strzelać nimi jak pociskami ziemia-ziemia, ponieważ światło się zakrzywiało. Z powodu „geodezyjnego momentu obrotowego”, tak to nazywali. Nikt nie umiał wyjaśnić tego efektu, bo przeczył on kilku prawom fizyki naraz, ale działał.

A ponieważ działał, wykorzystywali go. Z początku niektórzy prorokowali, że powstanie czarna dziura, która wessie cały Układ Słoneczny, ale to było zwykłe panikarstwo. Promienie wybijały tylko otwory w skorupie ziemskiej, co doprowadziło do zalania lawą połowy lądów. Oczywiście, trochę to utrudniło życie cywilom, ale większość żołnierzy już wcześniej została rozlokowana w rejonie bieguna północnego - a to dlatego, że masery strzelały tylko w kierunku południowym. Kluczem do unicestwienia przeciwnika było więc okopanie rubinowych dział na północ od jego terytorium, co tłumaczy gwałtowne działania wojenne na całym Morzu Arktycznym. Można było stamtąd usmażyć każdego. Z kolei Antarktyda nie miała wielkiego znaczenia strategicznego - i dlatego tam właśnie nas osadzili.

A ta cała broń do działań w obrębie kręgów polarnych... Żałuj, że jej nie widziałeś, Aleksie. Megaszkielety wodno-lądowe, większe niż domy. Kroczące fortece, którym mogłaby zaszkodzić tylko atomówka. Kiedy cię do takiej podłączyli, zostawałeś w niej do końca życia; próba rozdzielenia was przypominałaby odcięcie kraba od jego skorupy. To by ci się spodobało.

Kiedy nie latałam pod niebem, myłam gary w kuchni, pakowałam na siłowni albo po prostu siedziałam w świetlicy i słuchałam radia. Zastanawiali mnie strategiczni geniusze dyrygujący całą tą awanturą. Czy naprawdę mieli nadzieję, że przeżyją? Czy też to ja czegoś nie rozumiałam, a oni zamierzali spalić żywcem nas wszystkich i siebie przy okazji? Jak zmumifikowani faraonowie, którzy zabierali do grobu swoich niewolników. Po co? Może po to, żeby udowodnić, że cały świat należy do nich.

Bo przecież dopiero możliwość zniszczenia czegoś oznacza, że w pełni tym czymś władasz. To było jedno z możliwych wytłumaczeń tej wyrafinowanej próby samobójczej.

Ja jednak miałam inną teorię. Moim zdaniem, ci, którzy nami rządzą, byli śmiertelnie przerażeni. Bali się, że w roku 2000 wydarzy się coś strasznego; bali się tak bardzo, że cały czas trzymali naładowany pistolet przytknięty do swojej skroni - na wypadek gdyby to przerażające coś faktycznie nastąpiło i musieli w pośpiechu pożegnać się z tym światem. Przypuszczałam, że obawiają się powrotu aniołów. Bali się, że aniołowie zstąpią do ich piaskownic i zabiorą im zabawki. Oczywiście mogłam się mylić.

Albo kłamać. Prawdę mówiąc, Aleksie, tak właśnie było: kłamałam. Nie byłam w żadnym kobiecym więzieniu wojskowym. Nie miałam pojęcia, gdzie naprawdę jestem.

Moi przełożeni przywiązali mnie do krzesła w pustym pokoju o białych ścianach. To było przesłuchanie. Oficerowie nie byli ze mnie zadowoleni: zesłłam z posterunku i pożałam dwoje cywilów. Było mi z tego powodu przykro, ale to nikomu nie pomagało.

W głowie układałam list miłosny. Nie dali mi ani kawałka papieru, ani nawet ubrania. Nie chcieli mi też włączyć światła. Byłam wściekła, miałam dość siedzenia po ciemku. Powiedzieli, że dostanę ubranie, jak się przyznam, ale ja już się dawno przyznałam. Przyznałam się w 1990, przyznawałam się milion razy! Dlaczego mnie nie słuchali?

- Poddaję się! - powiedziałam. - Powiem wszystko, cokolwiek chcecie usłyszeć.

Nic to nie dało.

- Oświadczam również, że zeznanie składam bez przymusu i z pełną świadomością przysługujących mi praw, w tym prawa do skorzystania z pomocy adwokata - mówiłam. - Przyjmuję do wiadomości, że zapisy poligrafu mogą zostać użyte przeciwko mnie i zostaną wykorzystane w postępowaniu przed prawomocnie zebrany sąd wojskowy, złożonym ze śliniących się, niedorozwiniętych sędziów wojskowych, którzy skażą mnie na wypalenie oczu lub zagazowanie dupska. Byłabym gotowa potwierdzić swoje słowa regulaminową przysięgą, gdybyście, skurczybyki, wyjęli mi knebel z ust. Potem moglibyście mi przypalić rękę żarówką. Przynajmniej zobaczyłabym wasze szpetne ryje.

Nie chcieli mi jednak pokazać, gdzie jestem. Ani czym jestem. I pewnie mieli rację. Biorąc pod uwagę moją historię choroby, mogłam być prawie wszystkim.

- Zróbcie coś, tchórzliwe wypierdki. Wypnijcie mnie z pasów. Zdejmijcie gogle. Wyjmijcie mi te zwitki waty spomiędzy palców u nóg. Bo pożałujecie, wy czterogwiazdkowe dupki! Jaja wam poodgryzam! Wypuście mnie! Gdzie trzymacie Aleksa?

- Przyznam się. Nie bijcie mnie. Przyznam się do wszystkiego, tylko mnie nie ponaglajcie. Nie naciskajcie. Jestem delikatna. Krucha. Pęknę.

- Tak jest, panie kapitanie. Wyszłam za mur. Z nudów, panie kapitanie. Chciałam się rozerwać.

- Zgadza się, panie kapitanie. Spotkałam ich w kręgielni.

- Musiałam, panie kapitanie. To było silniejsze ode mnie. Miałam mętlik w głowie.

- Nie, panie kapitanie, to nie tak. Wiem, że źle zrobiłam, ale ja w ogóle nie jestem zdrową osobą. Spędziłam dwadzieścia lat w puszcze.

Oskarżona wybuchnęła płaczem. Jej adwokatka zwróciła się do sędziów.

- Wysoki sędzie - zaczęła. - Proszę wysoki sąd o wczucie się w położenie młodej, wrażliwej kobiety zatopionej w ciekłym azocie. Jaki musi być jej stan psychiczny? Proszę sobie wyobrazić ludzki układ nerwowy przysmażany na patelni z masłem czosnkowym. Czy

wysoki sąd widzi ten desperacko wijący się rdzeń kręgowy? Te smagające patelnię grube włókna nerwowe, które czepiają się jej krawędzi, ale tylko dodatkowo się przypiekają? Czy można mieć wątpliwości, że oskarżona dość się już wycierpiała? Proszę o uwzględnienie w charakterze dowodu rzeczowego następującej serii slajdów. Światło, proszę... Oto oskarżona i jej ofiary w chwili aresztowania.

Odgłosy dławienia się wśród publiczności. Szurgot butów przemykających ku wyjściom.

To kłamstwa, Aleksie. Okłamuję cię. Nie śnią mi się żadne przesłuchania. Chciałbyś wiedzieć, kim naprawdę byłam w swoim śnie?

Byłam tą dziewczynką, małą łyżwiarką, która utonęła, kiedy załamał się pod nią lód na stawie. Pamiętasz ją? Utknęła pod lodem, wałąc w niego małymi, sinymi piąstkami. Długie wodorosty rozprostowały lodygi, rozwinęły liście i z dna stawu sięgnęły do jej kostek, a oplótlszy je, wciągnęły dziewczynkę w głąb mułu. Krzyczały przy tym ogłuszająco.

- Trzykrotne hip, hip, hurra! - wyrzaskiwało zielsko. - Hip, hip, hurra! Dla naszych patriotycznych żołnierzy! Hip, hip, hurra! Dla naszych dziewczyn w zamrażarkach!

A oto i puszki! Maszerują przez muł, cały pluton. Mają fajkowe wyciory zamiast nóg i błyszczące chromem oczy. Idą i machają wodorostom w chmurze białego confetti. Tratują zielsko buciarami. Gdyby regularnie je nakręcać, pomaszerowałyby na koniec świata - w śniegu i gradzie, przy wtórze terkotu tysiąca liczników Geigera...

Ale dokąd one tak szły? Dokąd maszerowały nagie, w śniegu? Dokąd zmierzały, bielejąc z każdym krokiem i znacząc śnieg czerwienią? Chodziły w kółko, rzecz jasna. W kółko. I padały jedna za drugą, jak płatki śniegu na piec. Nie było wśród nich dwóch identycznych.

Ale dziewczynka, która utonęła, obmyśliła plan ucieczki. Nadal miała na nogach łyżwy, pocięła więc nimi wodorosty, odbiła się od dna i podpłynęła pod lód. A potem stanęła na nim i zaczęła się ślizgać pod wodą, do góry nogami. Jechała coraz szybciej i szybciej, jak ostrze nożyc krojące natłuszczony pergamin, aż dotarła do ślicznej odwróconej wioski, zbudowanej w całości ze słodyczy. Domy z piernika miały kajmakowe dachy, ulice były brukowane kocimi łbami ze słodu, owce z waty cukrowej pasły się na wzgórzach z sorbetu cytrynowego. W oddali piętrzyły się góry - głowy cukru zwieńczone kopczykami bitej śmietany.

Dziewczyńce zakreśliło się w głowie. Podjechała do domku w kształcie babeczki czekoladowej i zapukała do drzwi.

W różowo lukrowanym dachu otworzyła się szczelina strzelnicza, przez którą wysunęła się lufa lukrecjowego pistoletu maszynowego i na ciche ulice poleciał grad słodkich pastylek. Puchate owieczki osunęły się na trawę, becząc żałośnie i krwawiąc syropem truskawkowym.

Kłamstwa. Kłamstwo kłamstwem poganiane. Nigdy nie byłam małą dziewczynką, która

utonąła. Mam ci pokazać swoją prawdziwą twarz?

Był rok 1908. Syberyjska tundra. Wiatr rozsznuwał strzępy cirrusów na niebie białym jak kość, pod którym jak pomarszczona narzuta na łóżko rozciągała się ziemia pocięta wąwozami i morenami. Wieczna zmarzlina rozstajała pierwszy raz od dziesięcioleci. Strumyki gulgotały na porowatym rdzawobrazowym gruncie, niosąc kawałki wyschniętego mchu. Na północy piętrzyła się lita ściana lodu.

Od południa do lodowca zbliżało się czterech brodaczy w anorakach. Psy obskakiwały ich wesoło, ich szczekanie niosło się daleko. Jeden z mężczyzn podniósł opatuloną w rękawicę dłoń i wskazał lśniące czoło lodowca. Co pokazywał? Dlaczego psy były takie podekscytowane? Coś wytopiło się częściowo z lodu: było szarobure i włochate i zwisało swobodnie z lodowej ściany. Psy pognały w tę stronę.

Zanim mężczyźni dotarli na miejsce, psy obgryzły mu już przednie nogi i powarkując na siebie nawzajem, szarpały smakowite czerwone mięso. Ludzie doskoczyli do nich i przepędzili je krzykiem i kopniakami, a potem bez słowa zagapili się na żółte kły, obwisłą słoniową trąbę, skudloną sierść. Tylko oczy zgniły: z dwóch małych ciemnych otworków ściekały błyszczące czarne łzy.

Przez następne tygodnie i miesiące gazety i czasopisma specjalistyczne rozpisywały się szeroko o znalezisku: mamut włochaty, zwierzę, które wyginęło u zarania dziejów. Ci, którzy go znaleźli, zapamiętali tę chwilę do końca swoich dni. Z upływem lat jeden z nich coraz częściej zastanawiał się, czy naprawdę widział, jak mamut się poruszył, jak przekreślił głowę na bok, kiedy psy zaczęły go szarpać.

To niesamowite, myślał ten człowiek na łożu śmierci. Spał tak długo, a kiedy się obudził, ślepy i bezbronny, psy rozszarpały mu gardło.

Kłamstwa. Kłamstwa - tak jak cała reszta. Zmieńmy temat. A skoro już mowa o zmianach, zmieńmy mi imię.

Miałam na imię Noqi i byłam Eskimoską. To było dawno, setki lat przed przybyciem białych ludzi. Pochodziłam z klanu rybaków. W naszych kajakach przemierzaliśmy cały archipelag Aleutów.

Jako dziecko mieszkałam w *karigi* mojej ciotki, razem z kuzynkami. Nie marzłam tam i nie mokłam. Żułyśmy skóry, wyrabialiśmy igły do szycia z kłów morsów i plotłyśmy kocie kołyski z kawałków ścięgien. A potem wyszłam za męża.

Wyszłam za *anutquqa*, klanowego szamana. Ciotka była zachwycona, kiedy poprosił o moją rękę. Wszystkie uważałyśmy go za najwspanialszego z mężczyzn. Chronił nasze rodziny przed chorobami, jego amulety przynosiły szczęście łowcom fok, a wiosną

przywabiał na naszą wyspę umierającego wieloryba. Mój mąż nie był jednak tym, za kogo uchodził.

Wkrótce po ślubie przyśnił mi się mroczny sen. Widziałam w nim ducha kobiety, która miała pletwy, jedno oko i trzy nogi. Została moją pierwszą *aua*. Zaproponowała mi pomoc, ale postawiła pewien warunek: musiałam poznać prawdziwą naturę mojego męża.

Powiedziała mi, że mój małżonek nie jest wcale *anutquiem*, lecz *ilisitsoqiem*, złym czarownikiem, oszustem o dłoniach splamionych krwią wielu niewinnych ludzi. Nocami wcielał się w pardwę i nawiedzał inne wyspy i inne wioski, krzywdząc ich mieszkańców. Pod postacią niewidzialnego niedźwiedzia mordował śpiących mężczyzn. Gwałcił kobiety. Rzucił uroki na dzieci i wyprowadzał je na pustkowia, żeby tam zamarły. A mieszkańcy mojej wioski nie mieli o tym pojęcia.

Usiłowałam ukryć swoją wiedzę przed mężem, ale bez powodzenia. Przejrzał mnie i poszczuł swoimi długozębymi *aua*, kiedy spałam, zakutana w futra. Dostałam gorączki. Straciłam apetyt. Padł na mnie cień śmierci.

Wróciła moja jednooka przyjaciółka. Powiedziała, że mnie ocali, jeśli zostanę *anutquiem*. Zgodziłam się, a wtedy ona przywołała inne *aua* - swoich morskich braci i siostry. Jej siostrami były napuszone kolcami najeżki, a braćmi olbrzymie czerwono-żółte żuki lodowe. Przez wiele dni i nocy walczyli z *aua* mojego niegodziwego małżonka, oko za oko i ząb za ząb, i w końcu zwyciężyły. Moja gorączka ustąpiła. Mojego męża opuściły broniące go *aua* i lodowe żuki wpełzły mu do serca. Rozchorował się i zmarł.

W wiosce powinna była zapanować radość, wszyscy jednak podejrzewali, że go otrułam. Wiedzieli, że go nienawidziłam, i nikt nie wierzył, kiedy opowiadałam o jego zbrodniach. Uznano mnie za wariatkę i morderczynię. Starszyzna skazała mnie na śmierć.

Mężczyźni wykopali jamę w przybrzeżnym lodzie. Kobiety spętały mnie rzemieniami i wrzuciły do jamy. Następnie mężczyźni odłupali ten płat lodu i spławili krę na morze, które poniosło mnie w dal wraz z moimi *aua* i wszystkimi gorzkimi wspomnieniami.

Wiatr skowyczał mi nad głową, pak lodowy piął się i pojękiwał. Żałowałam, że nie mogę wstać i popatrzeć na spienioną wodę, ale moje *aua* tak długo ogryzały moje więzy, aż rzemień opadły. Wygramoliłam się ze swojego grobu i stanęłam na powierzchni lodu, naga, smagana wiatrem. Dookoła mnie kry zderzały się, łamały i wirowały na wodzie. Modliłam się do Sedny, Matki-Oceanu, żeby doprowadziła moją duszę do krainy przodków. Wiatr wyssał ze mnie życie i zostawił po sobie lodową rzeźbę.

Moja kra zdrzyfowała na południe i się roztopiła. Moje ciało opadło na dno, gdzie padło łupem maleńkich krabów i przydenne planktonu. Moja dusza pomaszerowała ponad falami

na zachód, wśród morskiej piany i pędzących cieni, aż stanęła przed Bramą z Kości. Czekał tam na mnie duch mojego męża, uzbrojony w oścień rybacki i niewzruszony w otaczającym nas kłębowisku wody i powietrza. Zastąpił mi drogę.

- Zabiłaś moje ciało - powiedział. - Teraz ja zabiję twojego ducha.

Rzucił we mnie ościeniem. Moja jednooka *aua* dostała w brzuch i zanurkowała do wody, ja zaś zaczęłam się z nim siłować. Tarzaliśmy się po spienionych bałwanach. On mnie dusił, ja wrywałam mu włosy i próbowałam wyłupić oczy. Przyszpiliłam go biodrami i zaszyłam mu usta fiszbinowymi igłami nienawiści. Przywołałam morderczy wiatr, który wpadł mu przez uszy do czaszki, nadał go jak pęcherz i rozsadził; rozerwał mu mózg na tasiemki błyszczącej krwi i węgorze szarej mgiełki.

Ja jednak cały czas go kochałam, Aleksie. Był złym człowiekiem, budził nienawiść, ale go kochałam. Kiedy już go zniszczyłam, zapłakałam gorącymi łzami i wzniosłam lament do Sedny. I Sedna mnie usłyszała. Odtworzyła mojego męża, wyniosła nas do nieba i posadziła wśród płonących gwiazd i wijących się tęcz, gdzie po dziś dzień się zmagamy, wojna bowiem trwa. Nie wiemy co to spoczynek. Wiatr przeszywa nas na wylot.

Ty pewnie nie wierzysz w duchy? Słusznie, znów cię okłamałam. Nigdy nie byłam tamtą kobietą.

Byłam małą dziewczynką. Miałam zaledwie dziesięć lat i nazywałam się Naomi.

Mijały lata, a Naomi dzień w dzień przesiadywała w świetlicy na Oddziale dla Dzieci Zaburzonych. Siedziała na krześle i przez obite drobną siateczką okno patrzyła z góry na szpitalne boisko do koszykówki. W porach posiłku pielęgniarz brał ją za rękę i prowadził do stołówki. Kiedy wracała do świetlicy, krzesło było już przestawione w inne miejsce, przesuwiała je więc z powrotem pod okno. Inne dzieci wpatrywały się w tym czasie w telewizor gaworzący do nich z metalowej półki.

Z nikim nie rozmawiała. Nie grała w warcaby ani w kości. Po zgaszeniu świateł zasypiała i śniła o boisku do koszykówki, ponieważ lubiła proste rzeczy. Zdarzało się jej zmoczyć w łóżko. W przyszłości miała się stać brontozaurem, ale mała Naomi nie miała o tym pojęcia.

Cierpiała na przypadłość, którą strażnicy zdrowia psychicznego nazywali „chronicznym autyzmem”. Istniały specjalne przybytki dla takich dzieci - i w jednym z nich się właśnie znajdowała. Gdyby ktoś ją zapytał, jak do niego trafiła, nie umiałaby odpowiedzieć, nawet gdyby złapać ją za ramiona i wykrzyknąć jej to pytanie w twarz. To było jej obojętne, równie dobrze mogłaby mieszkać na Księżycu. Bo widzicie, niektórym dzieciom nie są potrzebne

wojna, głód ani zaraza, żeby dojść do wniosku, że warzywa mają najwłaściwszą koncepcję życia. Niektóre dzieci wiedzą to od początku.

Leżąc w łóżku, udawała, że jest zamknięta w słoiku z lodem, gdzie nic nie może jej dosięgnąć. Dach szpitala rozpływał się, a ona oglądała chmury przesuwane się na tle gwiazd. Z początku były po prostu chmurami, ciemnymi plamami, ale po chwili ich kształt nabierał sensu. Jedna przypominała spłaszczoną ropuchę. Następna wyglądała jak końska czaszka. Trzecia przywołała na myśl olbrzymią wronę, unoszoną przez wiatr i rzucającą cień na ziemię...

Usłyszała, jak Ważny Człowiek odlicza wstecz: pięć, cztery, trzy...

I nagle znalazła się w zupełnie innym więzieniu: składowisku żołnierzy w Rowie Mariańskim.

Znów była w puszcze. Jakby nigdy jej opuściła. Niema. Odrętwiała. Sztywna. Nagusieńka. Sól w ranach i rękę we krwi. Zelektryzowana i rozhisteryzowana. Zamrożona żywcem w dziurze na dnie morza. Nie mieściło się jej to w głowie. Prawdopodobnie zamrozili też Aleksa i Evę, tak bardzo bali się zakażenia.

Wyczuwała obecność otaczających ją w bunkrze tysięcy puszek, w których znajdowali się inni żołnierze. Bunkier był prawdziwą nekropolią, Arką Noego przystosowaną do przetrwania w życiu po śmierci. Po wojnie żołnierzom niczego nie zabraknie: zamrożone jedzenie, zamrożone osocze, zamrożone nasienie... Nie musieli się niczego obawiać.

Naomi jednak nie ufała Ważnym Ludziom. Chciała uciec. Inni żołnierze uznali ją za wariatkę, ale ona wiedziała, że da radę. Raz już uciekła. Zaczęła majstrować przy swojej chromatynie, po omacku szukając genotypu, który pomógłby jej się uwolnić. Jej ciało zaczęło się rozpływać i odkształcać. Uprościła jego formę do sinawej bryły, która jak kłęb posupłanego sznura opadła na dno puszek, recytując w myśli dziecinne wierszyki.

Ziemniaczki-kelnerzy, ziemniaczki-muzycy, ziemniaczki-tancerze, tańczą, aż się kurzy.

Wewnątrz bryły tkwiła gruda galarety, a w niej mózg. W mózgu znajdował się budynek z czerwonej cegły, w którym mieściła się Biblioteka Akademii Deoksyrybonukleinowej. W bibliotecznym piwnicy, wśród katalogów, siedziała Naomi.

Uprzątnęła kawałek przestrzeni pod regałem i wcisnęła się tam razem z wykradzionymi z katalogu szufladami. Szukała jednej konkretnej fiszki, która gdzieś tu musiała się znajdować. *Meandrina*, mózgownik. Nie. *Dipnoi*, ryba dwudyszna. Nie. Patat. Skorek. Świetlik. Nie, nie, nie...

Zaatakowała problem od strony teoretycznej. Jeżeli mutacja M jest ograniczonym chaosem genetycznym, który jednak powoduje uporządkowany trend w ewolucji E, i jeżeli twarde promieniowanie R jest superchaosem, to jak musi wyglądać trend X, żeby X miało się do R tak, jak E do M?

Powinam to wiedzieć, pomyślała Naomi.

Bryła porosła gąszczem rzęsek, które zafalowały w wypełniającym bańkę azocie. Zaczęła się obracać. Celowa metaplazja. Triumf umysłu nad szlamem. Piorun przesywający pierwotne mroki. Wojna totalna. Najpierw uderzą pierwsze impulsy, rentgeny nie pozostaną daleko w tyle. Co raz się zdarzyło, może zdarzyć się ponownie. Nowe gatunki trylobitów. Duch unoszący się nad wodami.

Pienista bryła wypuściła palce. Pod paznokciami otwierały się usta, z których bąblami buchała para. Mięśnie oddzielały się od ścięgien i szybowały jak płaszczyki w poszukiwaniu nowych przyczepów.

Co raz się zdarzyło... *Proszę, nie wrzucaj mnie w ten kolczasty gąszcz!* ...może zdarzyć się ponownie. *Proszę, nie wrzucaj mnie w ten kolczasty gąszcz!*

Tarczyca Naomi zlązła jej po tchawicy w dół jak rzekotka po pniu drzewa. Nadnercza się wiły, kuliły, rozciągały i rozpełzały po pajęczynie kretek. Nerki zwarły się w ekstatycznym uścisku wydalniczym, zapuszczając sztywne nerkowe członki w siebie nawzajem.

Urodzona i wychowana! Urodzona i wychowana! Urodzona i wychowana w kolczastym gąszczu!

Jak się nazywał ten dinozaur? Ten duży... Jakżeż on się nazywał?! Próbując sobie przypomnieć, Naomi się rozpuściła, rozplynęła się w azocie jak rozmieszana grudka mąki w budyniu. Weszła w ostrą fazę hiperortochordocefalocerebropanchromomitofitomorfoganglioplazji.

W tej samej chwili jej puszka i wszystkie inne w bunkrze rozgrzały się do białości i eksplodowały, rozsądzone ciśnieniem wewnętrznym. Naomi patrzyła, jak wybuchają.

Oto wybuch, pomyślała. A ja jestem cieniem wypalonym przez jego żar.

Brontozaur! - przypomniała sobie. Tego słowa szukałam!

Naomi ma dziesięć lat. Stoi na wąskiej metalowej platformie pod szczytem stalowego masztu w namiocie cyrkowym. Ma na sobie wyszywany cekinami jasnoniebieski kostium w lamparcie cętki. Naciera podeszwy stóp sproszkowaną kredą z pudełka. Daleko w dole, w przejściu między trybunami, trzy słonie z głowami przybranymi w pióra macają trąbami

trociny. Na arenie mężczyzna w cylindrze obwieszcza przez megafon:

- A teraz, panie i panowie, zobaczycie państwo nadzwyczajny występ. Pierwszy raz w historii chroniczna autystyczka, półnaga i z zawiązanymi oczami, skoczy z wysokości stu jardów do wiaderka z kruszonym lodem. Proszę o ciszę.

Reflektor oświetla platformę. Dudni werbel.

Naomi podkulonymi palcami stóp czepia się skraju platformy.

I wychyla się w przód.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

CISZA

(...) jest to jedna z najpoważniejszych rzeczy, jakie mogą przydarzyć się w czasie bitwy walczącemu... myślę o ucięciu głowy.⁸

- Lewis Carroll

Dzisiaj wydaje mi się, że zostaliśmy przysypani tonami piasku. Słyszę, jak wy dwoje rozmawiacie, lecz wasze głosy są przytłumione. Ale i tak miło mi pomyśleć, że jesteście pogrzebani w pobliżu.

Właśnie miałam sen, po którym pozostało mi przyjemne uczucie zadowolenia. Śniłam o czasach, kiedy byłam szczęśliwa, a moje życie miało sens. Był dwudziesty pierwszy wiek, już po wojnie, kiedy jeszcze chodziłam po świecie. Ja i moje siostry wspinałyśmy się właśnie po schodach pożarowych zrujnowanego hotelu w Phoenix, w Arizonie. Polowałyśmy na psy.

Zastanawiam się, czym są sny. Wieczorami jestem kompletnie wykończona, rozmywam się na krawędziach, przemieniam to rozmycie w opowieści i nazywam je snami. Wówczas, w dwudziestym pierwszym wieku, robiłam to dokładnie tak samo jak dzisiaj. Wtedy znajdowałam się jednak we właściwym dla siebie miejscu; moje życie było ciężkie, ale normalne. Normalność była łatwa, dopóki nie wyszłam za Aleksa.

Wspinałam się po schodach w Phoenix. Przez podeszwy butów - zrobione z jakiegoś skóropodobnego tworzywa - wyraźnie czułam chłód metalowych stopni. Poranne słońce grzało mi skórę i czarne proste włosy, opadające mi z tyłu aż do paska dżinsów, do którego miałam przypięte manierkę i siekiere.

To był dla mnie dobry czas, te lata bezpośrednio po Wojnie Bumerangowej. Ponadczasowy spokój ogarnął cały kraj. Wielka cisza. Chciałam, żeby trwała wiecznie.

Ceglane ściany hotelu były głęboko pobliznione odłamkami, które przyniosła ostatnia fala

⁸ Przeł. M. Słomczyński.

tego syfu. Słońce zaglądało w głębokie wąwozy ulic. Na niebie wisiał jeszcze sierp księżyca. Na podeście oparłam się o barierkę i czekałam, aż Jo Ann do mnie dołączy. Potem razem miałyśmy dogonić Ox.

Ox i Jo Ann, które były w pewnym sensie siostrami, adoptowały mnie. Przyjęły do rodziny. Były przedstawicielkami nowej rasy, kobietami powojennego formatu.

Wychylona przez poręcz słuchałam Jo Ann. W dole ziała owalna jama sięgająca daleko w głąb ziemi, wykrojona w czasie wojny przez strumień cząstek z masera. Miała czarne, szkliste, idealnie pionowe ściany. Budynek po drugiej stronie ulicy został gładko przecięty na dwoje; jedna jego połówka wyparowała, ja zaś mogłam zajrzeć do przypominających plaster miodu otwartych pomieszczeń - salon nad salonem, łazienka nad łazienką, jakby jakiś olbrzym zabawiał się nożyczkami. Wyprażone na brąz mumie leżały na pleśniejących materacach i siedziały na rozkładanych fotelach. Setki takich czarnych, szklistych studni podziurawiły Phoenix - jak znak stopu, na którym ktoś ćwiczył strzelanie do celu.

Zorientowałam się, że Jo Ann skrada się po schodach pode mną, ale udałam, że nic nie słyszę, a ona doskoczyła do mnie i połaskotała mnie w zębra. Okręciłam się na pięcie i ją objęłam. Aż krzyknęła z zachwytu.

Była ubrana we włosienicę przepasaną sznurem. Miała skórę ciemnoszarą jak modelina i rzadkie, rozwichrzzone, utlenione włosy. Mierzyła osiem stóp wzrostu i jeśli bóle kostek jeszcze trochę się u niej nasila, będzie potrzebowała kul.

Wyśliznęła się z moich objęć i odsunęła ode mnie. Jej oczy błyszczały pogodą ducha i zaufaniem. Gdybyśmy spadły, czekał nas długi lot w dół, ale byliśmy niedożywione, zadyszane i nic a nic nas to nie obchodziło. Ruszyliśmy dalej.

Podobali mi się ci nowi ludzie. Pod względem psychicznym do złudzenia przypominali niektórych moich znajomych sprzed wojny. Inni mieli na takich specjalne nazwy: niedorozwoje, idioci, debile - ale ten się śmieje naprawdę, kto się śmieje ostatni. To ci nowi byli prawdziwymi obywatelami przyszłości; ich nieszczęście polegało na tym, że urodzili się przedwcześnie, wyprzedzili swój czas, lecz teraz ten czas nastał i gdziekolwiek się pojawili, mogli się czuć jak u siebie w domu. Nowi dziedzice Ziemi. Jo Ann i Ox wyczuwały, że nie jestem jedną z nich, ale i tak otworzyły przede mną serca. Niedorozwoje tak mają.

Dotarłyśmy z Jo Ann na ostatnie piętro. Ox czekała na nas, siedząc po turecku na stalowych belkach. Miała trzy stopy wzrostu i skórę czarną jak smoła, za to kompletnie bezwłosa. Była ubrana w przepaskę biodrową z psiej skóry.

To ona wypatrzyła w hotelu sforę psów. Zobaczyła je we śnie. Weszłyśmy po schodach pożarowych, żeby nas nie zwęszyły.

Przez okno weszliśmy do korytarza. Ox złowiła woń psów i podekscytowana poszła na zwiady. Jo Ann i ja musiałyśmy chwilę odsapnąć. Oparłam się o ścianę, zdjęłam okulary i zaczęłam je oglądać: pomarańczowe szkła i drut miedziany.

Ox też była przykładem skazy wrodzonej. Takich jak ona przybywało już przed wojną, czytałam o tym w gazecie: medycyna odkryła niepokojący wzrost liczby urodzeń takich właśnie Ox i Jo Ann. Kilka lat później w artykułach pobrzmiwały już nuty tłumionej paniki, ponieważ dosłownie wszystkie nowo narodzone dzieci wpadały do któregoś z licznych pudełek z napisem „towar wadliwy”; dla niektórych trzeba było nawet budować całkiem nowe pudełka. Potem przyszła wojna, która wywiała wszystkie pudełka przez okno razem z jałowymi opatrunkami, antybiotykami, nowoczesną medycyną i prasą. Ucieszyłam się, kiedy trafił je szlag.

Złożyłam okulary i zahaczyłam o pasek.

Ox wróciła. Skinęła palcami: znalazła psa. Jo Ann i ja pospiesznie ruszyliśmy za nią; ja po drodze znalazłam jeszcze jakiś kij. Ox poprowadziła nas do schodów, którymi zeszliśmy trzy piętra. Tam kazała nam się zatrzymać, wystawiła głowę za poręcz i nadstawiła ucha. Głowę miała trochę niesymetryczną i idealnie gładką, jak znaleziony w korycie rzeki czarny otoczek.

Pazury zaszurały na linoleum. Bezszelestnie skręciliśmy w korytarz. Ox i ja wyjrzałyśmy zza zakrętu: szary pudel, wielki jak knur, obwachiwał stertę śmiecia. W zębach miętosił wykrochmalony biały ręcznik. Nagle uniósł mały kędzierzawy łebek i zaczął węszyć.

Kiedy Ox rzuciła się na niego, w wilgotnych różowych ślepiach zamajaczył strach. Pudel rzucił się do ucieczki; tłuszcz przelewał mu się na bokach. Pobieglyśmy za nim, wymachując kijami i drąc się wniebogłosy, ale Jo Ann zawróciła, żeby zablokować schody. My z Ox rozdzieliliśmy się, licząc na to, że uda nam się okrążyć pudła.

Znalazłyśmy go na schodach pożarowych: jedna łapa uwięzła mu w szparze między prętami i się zaklinowała. Na nasz widok zaczął skomleć, a potem już tylko skulił się i drżał na wietrze, wysoko ponad uliczką zrujnowanego miasta.

Ox wbiła mu kij między zębra. Wepchnęła go głęboko i zaostrzonym końcem poharatała mu wnętrzności. Ja złapałam za zmierzwione kudły na czubku głowy, odrąbałam ją i pokazałam Jo Ann. Przez stalowe barierki pociekła różowa, wodnista krew.

Rzuciłam łeb Jo Ann i pomogłam Ox uwolnić zaklinowaną łapę pudła. Zawlokłyśmy truchło do korytarza; miałam wrażenie, że holuję dwustukilową włochatą gąsienicę. Uwęzione mięso wystarczyłoby nam na bardzo długo.

Pudel zawarczał na nas.

Niewiele brakowało, żeby Jo Ann rzuciła się do ucieczki. Bezgłowe psy, które warczą? To było dla niej zbyt straszne.

Szturchnęłam kijem żyłasty, owłosiony kikut szyi i coś słabo chwyciło kij zębami. Pociągnęłam i wszystkie zobaczyłyśmy, co na nas warczało: drugi łeb pudła, zagrzebany w sierści i mniejszy od pierwszego. Gumiasta różowa szyja, na której był osadzony, wyciągnęła się tak bardzo, że omal nie pękła - ale jednak wytrzymała.

Ox przecięła ją swoim kijem na dwoje. Zatoczyłam się do tyłu na ścianę i osunęłam po tapecie na podłogę. W garści nadal ścisakałam kij, na końcu którego tkwiła wgryzająca się w drewno głowa pudła.

Jo Ann doszła tymczasem do wniosku, że jest to najzabawniejsza rzecz, jaką w życiu widziała. Śmiała się do rozpuku. Ox wyrwała mi kij z ręki i zaczęła tańczyć wokół niej, wymachując łbem pudła i podśpiewując nosowo. We trzy pobrnęłyśmy korytarzem przed siebie, zataczając się ze śmiechu i podtrzymując się nawzajem. Weszłyśmy z Jo Ann przez jakieś drzwi, przewróciłyśmy się na materac. Pocałowała mnie. Mój język znalazł się w jej ustach. Życie było cudowne.

Życie było doskonałe.

Wieczór był chłodny. Nadziałyśmy kawałki psiego mięsa na druciane wieszaki i upiekłyśmy w stalowej beczce na ognisku ze śmieci.

Noc spędziłyśmy w pokoju hotelowym. Umiałyśmy znaleźć sobie zajęcie. Jo Ann bawiła się swoimi nicieniami. Nakłuwała sobie szpilką podeszwę stopy, aż któryś wystawił łebek: łapała go wtedy paznokciami i wyciągała. Wszystkie miałyśmy nicienie, które rzeźbiły nam wijące się sine tatuaże pod skórą. Kiedy Jo Ann znudziła się zabawką, odgryzała jej głowę. Niektórym naprawdę niewiele potrzeba do szczęścia.

Ox nosiła na szyi zawieszony na rzemyku woreczek na trofea. Kiedy miała chwilę spokoju, wyjmowała je i oglądała. Zbierała gładkie szklane klejnoty, które znajdowaliśmy w bebeczach zabitych psów. Poza grudkami zielonego i bursztynowego szkła miała w woreczku także zabawkę dla majsterkowiczów: zestaw zielonych patyczków i okrągłych łączników z mnóstwem otworów. Na przemian składała je i rozkładała. Mogła się tak bawić godzinami.

Ja wyszłam na dach i patrzyłam, jak noc zapada nad miastem. Wspominałam swoje życie w Tahuantinsuyu, gdzie wychodziłam na dach, żeby się modlić do Huehuetotla, ojca ognia.

- Zstąp, o potężny Huehuetotlu - błagałam. - Zstąp i zniszcz wszystkie dzieła mojego ludu. Niech twa sprawiedliwość spłynie na nich ognistym deszczem.

Możliwe, że mnie usłyszał. Możliwe, że odpowiedział na moje modły.

Zanim to jednak nastąpiło, przeszłam przez granicę do Teksasu, gdzie pierwszy raz w

życiu oglądałam telewizję i w pewien sobotni poranek zobaczyłam serial o Flashu Gordonie. Od razu rozpoznałam Mongo. Ba, ja się na Mongo wychowałam! Budując Tahuantinsuyu, genokapłani musieli chyba wykorzystać używane elementy scenografii filmowych. Zobaczyłam glinianych ludzi, ludzi-jastrzębi, niewolników w hali z piecem. Genokapłani wypchali zwłoki Mongo, wypacykowali je, upudrowali, wyperfumowali i namaścili aromatycznym masłem z mleka lamy - a one i tak cuchnęły trupem.

- Ziemianie są bez szans! - W ilu odcinkach Ming Okrutny powtarzał tę kwestię? - Ziemianie są bez szans!

Okazało się, że Ziemianie nie potrzebowali pomocy z kosmosu. Sami zbudowaliśmy miotacze promieni śmierci i wycelowaliśmy je w siebie.

Umarliśmy w pełnym makijażu. Doktor Zarkov nie mógł nas ocalić. A z naszych popiołów jak grzyby po deszczu wyrosli całkiem nowi Ziemianie.

Pierwsze gwiazdy pojawiały się na niebie, kiedy Jo Ann pod zlewem w kuchni znalazła gniazdo larw termitów. Zrobiłyśmy sobie ucztę z pieczonego pudła i słonawych larw. OX siedziała na parapecie z garścią larw i drugą ręką wrzucała je sobie pojedynczo do ust.

W nocy, utulona w ciepłych objęciach kochanek, śniłam o latającym spodku.

Przechodziłyśmy akurat przez pustą parcelę, kiedy spodek zniżył lot i wylądował. Dźwięczał jak dzwon i świecił na niebiesko. Obcy zeszli po trapie. Wyglądali jak meduzy zapakowane w pokrowce na garnitur.

Zaproponowali nam trzem, żebyśmy na zawsze porzuciły Ziemię i udały się wraz z nimi w podróż do gwiazd. Przeprosili, że nie zjawili się wcześniej, ale, jak tłumaczyli, ludzi dopiero niedawno uznano za gatunek zagrożony wyginięciem, który to status dawał nam prawo do ewakuacji.

Odmówiłam. Wyjaśniłam, że podoba nam się tu, gdzie mieszkamy.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

OBSZAR NISKIEGO CIŚNIENIA

Janko Puszek, tyci okruszek, szczur by go pożarł z kapeluszem.

- Gęsia Mama

Doktor Labirynt siedział przy biurku. Gabinet był pusty, jeśli nie liczyć biurka właśnie, fotela i monitorów we wnęce obok drzwi. Przygarbiony nad blatem, pisał coś piórem w notesie: raport z wyników leczenia trojga pacjentów.

W swoich snach zmagali się z urazami z wczesnych okresów życia, nie były to jednak te traumy, którymi chciał ich zainteresować Labirynt. Jeszcze gorsze było to, że odmawiali współpracy i nie chcieli stworzyć spójnej rodziny, nie chcieli się dostosować - przeciwnie, coraz bardziej się od siebie oddalali.

Przerzucił kartki i na końcu notesu zapisał pierwszą myśl, która przyszła mu do głowy.

Dawno, dawno temu były sobie trzy robaczki. Żyły na powierzchni szybującego pod niebem balonu z helem. Chodziły w kółko po jego białej gumowej powierzchni, aż im się to znudziło. I wtedy jeden z nich - samiczka imieniem Naomi - wpadł na świetny pomysł.

Zaczął od nowa.

Był sobie pewnego razu stary człowiek, który umiał budować najbardziej zdradzieckie labirynty. Mieszkał na wysepce na Morzu Śródziemnym, za towarzyszy mając tylko swojego syna i ducha zamordowanej żony. Nie był złym człowiekiem, potrzebował jednak dużo złota, by zaspokajać swoje pasje architektoniczne. Jego...

Odłożył pióro i rozmasował kark. Z szuflady biurka wyjął pilota do monitorów, wcisnął guzik i jeden z monitorów rozbłysnął. Z szumu uformował się obraz.

Mężczyzna w roboczym ubraniu biegł przejściem między wysokimi na trzy piętra regałami magazynowymi. Ścigała go długa na cztery jardy mechaniczna ręka.

Labirynt wcisnął dwa dalsze guziki. Obraz Aleksa skurczył się do rozmiarów kropki. Pojaśnił ekran Naomi.

Reflektory rozcięły białą mgłę. Szeregową Naomi jechała kradzionym dżipem przez sosnowe lasy Kolumbii Brytyjskiej. Przemoczony kombinezon kleił się jej do skóry. Szczękała zębami. A potem nagle pofrunęła ponad drzewami, rozpościerając ręce jak płetwy, jakby płynęła z biegiem rzeki mgły. W dole widziała dżipa, który sam jechał po wijącej się wstążce asfaltu.

Doktor Labirynt wyłączył drugi monitor i włączył trzeci.

Eva była lalką o wysokości kilku cali. Kierowała jednoosobową łodzią podwodną przemierzającą wnętrza gigantycznego plezjozaura, który połknął ją w całości. Radio pokładowe zapiszczało: namierzyło sygnał naprowadzający. Nareszcie. Wyprawa ratunkowa dotarła na miejsce.

Labirynt dźgnął pilota palcem i obraz na ekranie osunął się w mrok.

To beznadziejne, pomyślał. Kompletnie się pogubiłem.

Chorąży Skrzydlak stał na równinie wyłożonej zielonym płótnem, rozpostartej pod pochmurnym niebem. Wiatr szarpał nogawki białych spodni jego galowego munduru. Skrzydlak rozejrzał się i zmarszczył brwi, szukając jakiegoś punktu orientacyjnego.

Tkaczka kazała mu spotkać się ponownie z Labiryntem. Miał mu przedstawić propozycję, którą Labirynt z pewnością odrzuci, ale w rzeczywistości misja Skrzydlaka miała charakter zwiadowczy. Trzy dusze znajdowały się gdzieś w zamku Labirynta - ale gdzie dokładnie? Tego właśnie koniecznie musiał się dowiedzieć.

Z doświadczenia wiedział, że wydarcie Labiryntowi jakiegokolwiek sekretu graniczy z niemożliwością, stary anioł był nieprzećiętne skryty z natury - w Organizacji narastało jednak mocne przekonanie, że coś trzeba z Labiryntem zrobić. Ten imperatyw zawisł niczym wściekła chmura burzowa nad horyzontem, na początek jednak należało ewakuować osoby postronne.

Odwrócił się, słysząc grzmot w oddali. Na widnokręgu zamajaczyła mu trójkątna formacja kul bilardowych, wielkich jak domy, które z narastającą prędkością pędziły w jego stronę.

- O ja pierdole... - mruknął Skrzydlak i zniknął w deszczu błękitnych iskier.

Labirynt otworzył drugą szufladę biurka, z której dobiegł stłumiony dźwięk dzwoneczków. Sięgnął do niej i wyjął pozytywkę, którą następnie postawił na blacie. Była

zrobiona z orzechowego drewna i inkrustowana macią perłową. W przednią ściankę miała wbudowany cyfrowy wyświetlacz, na którym widniały dwie czerwone cyfry: 03.

Labirynt wyjął z szuflady klucz, włożył go w otwór z boku pozytywki i obrócił w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, poluzowując sprężynę. Pozytywka jęknęła, muzyka zwolniła. W ciągu doby sprężyna rozkręci się do końca i muzyka ucichnie.

Schował pozytywkę i klucz na miejsce. Z innej szuflady wyjął trzy puste akty zgonu i zajął się wypełnianiem ich. Kiedy pozbędzie się trojga ostatnich pacjentów, pójdzie na emeryturę.

Alex próbował się obudzić, ale co rusz osuwał się w nowy sen. W jednym z nich siedział w poczekalni na dworcu autobusowym - mężczyzna w wymiętym garniturze, czytający gazetę. Obok niego, na podłodze, leżała Naomi w skórze brontozaura. Zajmowała większość wolnej przestrzeni w poczekalni. Owinęła szyję wokół jego krzesła i czytała mu przez ramię.

Policjant postukał go w drugie ramię.

- Proszę pana? Czy to pańskie zwierzę?

- To? - Alex podniósł wzrok. - Nie, nie jestem jego właścicielem.

- Proszę je stąd zabrać. Tu nie wolno wprowadzać zwierząt.

Alex zmierzył policjanta wzrokiem.

- Jest coś, co powinien pan wiedzieć o mojej przyjaciółce. - Nachylił się do policjanta i ciągnął konfidencjonalnym szeptem: - Ona tak naprawdę wcale nie jest dinozaurem. Po prostu ma bujną wyobraźnię. Nie wyrzuci pan chyba dziecka z poczekalni tylko za to, co sobie myśli, prawda?

Kiedy Eva otworzyła oczy, wiedziała, że nadal śni. Siedziała w fotelu w gustownie urządzonym gabinecie psychologa. Za dębowym biurkiem siedział biały szczur w kitlu laboratoryjnym. Miał pięć stóp wzrostu i w tej chwili przecierał chusteczką okulary w rogowej oprawie. Za jego plecami znajdowała się tablica, na której ktoś kredą napisał ZABIĆ LUB WYLECZYĆ.

Szczur założył okulary na blady, kościsty pysk.

- Dlaczego wydaje ci się, że jesteś nieśmiertelna? - zapytał.

Nie ufała mu, ale pytanie wydało jej się warte namysłu.

- Dlatego, że kiedy zabijam innych albo oni zabijają mnie, to... nie umieramy - Śni ci się

czasem umieranie?

- Czy mi się śni? To wszystko są sny. Gdybyśmy mogli się z nich przebudzić, może udałoby się nam także umrzeć jak należy.

Szczur zaplótł pazurzaste łapy i się uśmiechnął. Pot perlił mu się na pysku.

- Mówię o snach, które śnisz nocą... Czy w nich zdarzyło ci się kiedyś umrzeć?

Eva cofnęła się pamięcią o setki lat.

- Nie - odparła, cedząc słowa. - Nie wydaje mi się...

- Czyli można domniemywać, że gdybyś umarła w którymś z tych snów, umarłabyś naprawdę?

- Tak przypuszczam.

Szczur zerwał się na równe nogi, przewracając krzesło.

- Tak przypuszczasz?! - wykrzyknął. - Tylko przypuszczasz?! Zdecyduj się! Na tym właśnie polega wasz problem! Jak ma się wam polepszyć, jeśli nie umiecie samodzielnie myśleć?!

Jego pysk poczerwieniał jak burak.

Eva obróciła się przez sen na drugi bok. Jęknęła.

Facet ma źle w głowie, pomyślała.

Dawno, dawno temu żyła sobie mała dziewczynka imieniem Naomi, która wcale nie była taka mała. W dodatku nic jej się nie chciało robić. Dorastała w sierocińcu w Albercie, dopóki nasilające się objawy autyzmu nie doprowadziły do przeniesienia jej do szpitala w Kolumbii Brytyjskiej, na oddział psychiatryczny.

Pewnego dnia, kiedy patrzyła przez okno na boisko do koszykówki, pielęgniarz poinformował ją, że została wyleczona i będzie musiała opuścić szpital. Dyrekcja, zmuszona do dokonania cięć budżetowych, postanowiła zmienić klasyfikację choroby Naomi i dziewczynka razem z gromadą innych świrów została przewieziona autobusem do centrum Victorii, gdzie wysadzono ich przed blokiem mieszkalnym. Jakiś grubas dał jej klucz i zaprowadził ją do jej pokoju. Pokój miał jard szerokości i był za niski, żeby mogła się w nim wyprostować, ale ponieważ jeszcze nigdy nie miała własnego pokoju, niespodziewany luksus i tak ją oszołomił. Tutaj mogła być całkiem sama, przez całe dni, i nikt nie będzie jej zawracał głowy.

Tej nocy nie mogła zasnąć, taka była podekscytowana.

Spacerując następnego dnia po Victorii, trafiła do parku, w którym był staw, a w stawie

kaczki, które starsi ludzie karmili pokruszonym chlebem. Jesienny wiatr przewiewał jej sweter na wylot. Chmury przesuwały się po niebie, białe na szarym tle.

Wracając do domu, przechodziła przez parking przy sklepie spożywczym. Jakiś mężczyzna wyjechał tyłem ze swojego miejsca parkingowego, bardzo szybko, i naprawdę niewiele zabrakło, żeby ją potrafił. Zatrzymał się i, zmieniając bieg, spojrzał na skamieniałą ze zgrozy Naomi. Jego twarz niczego nie wyrażała - ani zakłopotania, ani złości. Była tak samo pusta jak drzwi lodówki.

Wtedy dotarło do Naomi, że jest inna od pozostałych ludzi i nigdy nie będzie taka jak oni. Doszła do wniosku, że wcale nie jest człowiekiem.

Jeszcze tej nocy, leżąc w swoim nowym łóżku, postanowiła, że wstąpi do wojska, żeby zobaczyć kawałek świata - i kiedy dorosła, naprawdę tak zrobiła. Wojsko zmieniło jej życie; najpierw zafundowało jej katastrofę biochemiczną, a potem wysłało ją na opustoszałą asteroidę i objęło kwarantanną. Tam mogła sobie do woli wymyślać wyimaginowanych przyjaciół.

Każdy skutek ma swoją przyczynę. Trzeba tylko umieć poskładać elementy układanki.

Choraży Skrzydlak szedł korytarzem wzdłuż niekończącego się szeregu szarych drzwi z matowymi szybami. Obcasy stuknęły żwawo. Irytował się, ale starał się tego nie okazywać. Korytarz się pochylił i Skrzydlak przez jakiś czas szedł w dół, aż rozboleły go łydki. Wtedy korytarz zwięził się tak bardzo, że choraży zaczął się ocierać barkami o ściany. Nie zwalniając kroku, Skrzydlak zmniejszył się do wysokości dziesięciu cali. Sufit wypuścił żelazne kolce i zaczął się obniżać. Choraży zacisnął pięści i ryknął w głąb korytarza:

- Tato! Nie wygłupiaj się! Musimy porozmawiać!

Ekspłodował wirem zielonych iskier, a kiedy iskry opadły, stał przed drzwiami gabinetu Labirynta. Wsunął klucz do dziurki, ale ktoś wymienił zamek. Zapukał w szkło. Gdyby miał pod ręką krzesło, chętnie rzuciłby nim w szybę.

- Daj spokój, Labiryncie. To ważne.

Spod drzwi wylała się gęsta fala czarnych kulank. Próbowaly się wspinać na nogi Skrzydlaka, który zaczął tańczyć na zielonym dywanie i klepać się po kostkach.

- To nie jest zabawne!

Kulanki kąsały. Deszcz fioletowych iskier posypał się im na głowy. Skrzydlak udał się gdzie indziej.

Oficjalnie Naomi została zwolniona z wojska z powodów zdrowotnych. Potem zamknęli ją w chromowanej puszcze i wyrzucili do oceanu. Wylądowała na dnie Pacyfiku, gdzie wystrzelona przez nieprzyjaciela wiązka cząstek zmieniła ją w obłok pary.

A jednak przeżyła.

Kto by w to uwierzył?

Rozpaczliwie szukała wspomnień z okresu późniejszego niż rok dwutysięczny, ale im mocniej próbowała pchnąć umysł w przód, tym wyraźniej czuła, że osuwa się wstecz przez stulecia, poza narodziny rodzaju ludzkiego, aż do epoki dinozaurów.

Przypomniała sobie tęczową mgłę nad lagunami... rozkołysane pola wodorostów w pląsających promieniach słońca... śmigające chmury krewetek, których klekocąca pieśń uzupełniała chór pomruków stworzeń bliższych i dalszych. Trylobity taplały się w mule kałuż pozostawionych przez przyływ, a amonity tkwiły w bezruchu, pogrążone w swoich tajemnych rozmyślaniach, jakie tylko potrafią snuć mięczaki.

Przypomniała sobie też lasy pełne cykad, wszędobylski nalot różowego popiołu wulkanicznego, roje gzów buszujących w paprociach. Podziwiała swoich braci archozaury, olśniewające ze swoimi piórami, grzebieniami i rogami, pyszniące się zielono-szkarłatnymi zębatymi płetwami grzbietowymi.

Sama była małą, wdzięczną samicą, ważyła niespełna trzydzieści ton. Młode, które niedawno się wykluły, były jeszcze mniejsze - ale dopóki całe stado trzymało się razem, nawet rutiodony zostawiały je w spokoju.

Wieczory ciągnęły się bez końca, a stado tkwiło po kolana w bloku swojej ulubionej zatoczki i pasło się na słodkich trzcinach. Ważki figlowały wśród skrzypów. Hesperornisy brodziły na płycznach, nadymając się, trzepocząc skrzydłami i otrząsając trzymane w zębach kępy mchu. Kiedy młode Naomi pocierały pyskami o jej boki, napełniała im paszcze na wpeł przetrawionym pokarmem.

Krewniacy Naomi w niewiarygodnie szybkim tempie zniknęli z powierzchni ziemi, pożarci przez istoty wodne zupełnie nowego gatunku, tak ogromne, że nawet największe jaszczury wydawały się przy nich malutkie. Dinozaury nazywały je plugawicielami.

Plugawiciele, które wyewoluowały z bąbelnic, w oceanach dorastały do gigantycznych rozmiarów. Zabijały dotykiem parzących czułek. Były puste w środku i przypominały żywe origami z miękkimi promienistymi szkieletami i perłowobiałą skórą. Kiedy fale wyrzucały je na plażę, przypominały pływające miasta o wielu nałożonych na siebie warstwach; wznosiły

strzeliste minarety na tle fioletowego nieba, przeczesywały lądy i pochłaniały całe paprociowe lasy. Były powolne, odrażające i niepowstrzymane jak koniec świata.

Armia plugawicieli tropiła stado Naomi. Rozciągnięte w tyralierę na widnokręgu, wystrzeliwały przed siebie opatrzone zadziorami macki, które dotykaniem paraliżowały wszelkie żywe istoty. Umierająca Naomi, samotna i bez tchu, wpadła do dołu ze smołą. Wiedziała, co robi. Wolała się utopić, niż przepaść bez śladu wśród bezmyślnie składających się i rozkładających membran plugawicieli; czułaby się wtedy jak mszyca pożarta wraz z krzakiem paproci. Utonęła w smole.

W kilkadziesiąt lat plugawiciele objadły ziemię do czysta - i pomarli z głodu, wszystkie, co do jednego, nie pozostawiając po sobie nawet najmniejszej skamieliny, która upamiętniłaby ich istnienie.

Ta sama smoła, która rozpuściła ciało Naomi, zakonserwowała jej szkielet, a kiedy nastąpiła mineralizacja, cała jego mikrostruktura, z dokładnością do najdrobniejszych kawałeczków czaszki, została idealnie odwzorowana w kamieniu i tylko czekała na zastosowanie mikroskopu elektronowego.

Duch Naomi uczeplił się najpierw jej kości, a potem kamienia, który je zastąpił. Nie umiała się zmusić do porzucenia ich. Nie potrafiła uwierzyć, że jej życie skończyło się raz na zawsze. Wieczność to bardzo długi czas.

W kwietniu 1927 roku w kamieniołomie gipsu w Colorado ekipa studentów zoologii z Uniwersytetu Yale wypreparowała z warstwy późnojurajskiej skamieniałą czaszkę i kręgosłup Naomi. Skamieliny przewieziono koleją do New Haven, gdzie zostały skatalogowane, popakowane do skrzyń, umieszczone w podziemiach Biblioteki Nauk Przyrodniczych i zapomniane.

W 2000 roku burza cząstek zrównała bibliotekę z ziemią, ale w piwnicy duch Naomi czuwał nad skamieniałościami. Gadzia tkanka nerwowa przewodzi impulsy z prędkością trzech stóp na sekundę. Wieczność to bardzo długi czas.

W roku 2342 skamieliny odkryto ponownie - przy okazji wykopalisk prowadzonych w ramach projektu Odzysku Paleogenetycznego nadzorowanego przez Międzysłoneczną Komisję ds. Terraformowania. Idealnie odpowiadały zapotrzebowaniom komisji, która wytypowała do uprawy prosa pewną planetę, której kamienisty grunt wymagał użycia silnych zwierząt pociągowych. Zmodyfikowane mówiące apatozaury doskonale nadawałyby się do tego celu. Szczątki Naomi zostały poddane intensywnemu skanowaniu.

Jej duch obserwował z aprobatą idącą w setki sztuk produkcję nowych wersji jej ciała. Szybowała nad szklanymi rurami, w których wyhodowane tkanki podlegały biosonicznemu

kształtowaniu i zmieniały się w gotowe organy. Pracownicy laboratorium przygotowali pięćdziesiąt ludzkich mózgow z demobilu i obudowali je czaszkami o szwach spajanych żelowanymi enzymami, które nakładało się pistoletem do silikonu. Osadzili pięćdziesiąt kompletów zeber na pięćdziesięciu kręgosłupach. Nabili szczęki zębami jak nitami. Na koniec wszystko obszyli skórą.

To nie były prawdziwe brontozaury - mówiły, zamiast trąbić, i nie miały płci - ale były całkiem podobne do oryginału. Duch Naomi wybrał sobie jedno z ciał i zanurzył się w nim jak w dawno wyczekiwanej gorącej kąpieli.

Komisja wystrzeliła ją w kosmos na pokładzie srebrnej buławy, którą, koziółkując, przemierzała milczącą pustkę. Statek wiozł tysiące ludzi, zapasy pożywienia i ziarna, maszyny, elementy do budowy schronień i zwierzęta gospodarcze - i był wielkości kija bilardowego.

Jak to możliwe?

Specjaliści od terraformowania dysponowali technologią MM, Maksymalnej Miniaturyzacji. Każdy obiekt można było przeprowadzić przez ciąg studni grawitacyjnych, które osłabiały międzyatomowe siły odpychania, kompresowały przedmiot do rozmiarów cienkiego opłatka i osadzały go w krzemowej sieci krystalicznej. Krótko mówiąc, MM pozwalała upchnąć brontozaura w ziarnku piasku.

Dlatego srebrny statek mógł być wielkości kija bilardowego.

Podczas załadunku Naomi została zmminiaturyzowana i zmagazynowana w mikroczipie wraz z kobietą imieniem Eva i zasilanym ogniwami słonecznymi dżipem imieniem Alex. Niestety, na skutek błędu programisty całą trójkę wcisnięto na jedną krzemową płytkę i wszystko się pomieszało. Właściwie nie mieli prawa przeżyć. Błąd odkryto dopiero po latach, podczas wyładunku i dekompresji w kolonii rolniczej, kiedy to okazało się, że jakimś cudem wyszli z tego bez szwanku.

Przynajmniej pozornie. Zaczęli słyszeć nawzajem swoje głosy. Nie, nie zwariowali. Owszem, głosy w końcu wpędziły ich w obłąd, ale ich choroba była czymś znacznie bardziej złożonym niż prosta utrata zdrowych zmysłów. Zostali zespoleni w jeden hologram, a każda część hologramu...

Poskładaj elementy układanki w całość, Naomi.

...zawiera jego całość.

Nic jednak nie trwa wiecznie. Na przykład, sprężyna pozytywki rozkręcała się bardzo szybko.

- Podam ci teraz ciąg słów - powiedział biały szczur w kitlu laboratoryjnym. - Chciałbym, żebyś na każde z nich odpowiedział słowem, które pierwsze przyjdzie ci do głowy. Rozumiesz?

Na fotelu po drugiej stronie biurka siedział człekokształtny robot o twarzy z czarnej skóry i oczach z czerwonego szkła. - Tak.

- Mąż.
- Żona.
- Prawda.
- Fałsz.
- Ojciec.
- Syn.
- Rodzina.
- Martwa.
- Księżyc - powiedział szczur.
- Krew - powiedział robot.
- Żona.
- Zabita.
- Szalony.
- Naukowiec.
- Klatka.
- Szczur.
- Szczur - powtórzył szczur.
- Labirynt.
- Labirynt - powtórzył gniewnie szczur.
- Morderstwo - odparł Alex.

Wszystkie światła zgasły.

Stara kobieta leżała na wznak na gołej ziemi przy ognisku rozpalonym na polanie w malezyjskiej dżungli. Czciгодna Tkaczka kłęczała obok niej i wysysała jej jad z brzucha.

Wokół ogniska kobiety w kolorowych sari kołysały się w rytm śpiewanej przez siebie pradawnej pieśni leczniczej. Miały zamknięte oczy.

Asystentka podsunęła Tkaczce drewnianą miskę napełnioną wodą o zapachu orchidei.

Tkaczka wypluła do miski śluzowatą czarną grudkę. Powierzyła ją Ganesi Odnowicielowi, udzieliła staruszce ostatnich błogosławieństw i pomogła jej usiąść.

Tworzące krąg kobiety rozproszyły się i zniknęły na ścieżkach wiodących przez gęstwinę. Ognisko przygasło. Tkaczka została sama z pnączami i gwiazdami, wpatrzona w żar pełgający po węgielkach.

Jej asystentka wróciła na polanę.

- Ktoś chce się z tobą widzieć - oznajmiła. - Młody marynarz. Czeka na plaży.

Tkaczka pokiwała głową.

- Czekałam na niego.

Dróżką wśród palm zeszła na plażę, na wilgotny piasek na skraju morza. Chorąży Skrzydlak siedział na mangrowej kłodzie, półnagi i bosy. Obierał patyk z kory.

- Nie chce ze mną rozmawiać - powiedział. - Schrzaniłem sprawę.

Razem ruszyli wzdłuż brzegu. Ocean mienił się w blasku księżyca. Fale wpełzały na piasek. W powietrzu unosił się dźwięk bambusowych fletów.

- A ty? - zapytał. - Czego się dowiedziałas?

- Trzyma ich w szufladzie biurka. Zamkniętych w pozytywce.

- Wiedziałaś, że się nie przedrę! - poskarżył się Skrzydlak.

- Owszem. Byłeś mi potrzebny dla odwrócenia uwagi. Udało się.

- To nie wszystko. Czegoś mi nie powiedziałaś.

- To prawda. Postanowił ich zabić.

Skrzydlak stanął jak wryty.

- Jezu...

- Rozkręcił sprężynę. Jutro pozytywka imploduje i to będzie koniec trójki pacjentów. Ich świat zniknie, a oni razem z nim. Chyba że uda nam się go unieszkodliwić.

Szli plażą, a małe kraby uciekały przed nimi do wody.

- Nie dostaniemy tej pozytywki inaczej niż po jego trupie - powiedział Skrzydlak.

Tkaczka wzruszyła ramionami.

- Jeśli to konieczne...

Usiedli, oparci plecami o gładki kamień. Tkaczka poprawiła fałdy sari.

- Niech go szlag... - wymamrotał Skrzydlak. - Za kogo on się uważa?

- To starość. Dla niego są dowodem porażki. Najchętniej wymazałby wszelki ślad ich istnienia.

Skrzydlak odgarnął włosy z oczu.

- Takie wymazanie to dość surowa kara za zbrodnię obłędu.

- Wątpię, żeby nadal byli obłąkani; przypuszczam, że dawno już wyleczyli się nawzajem.

A Labirynt tak bardzo odpłynął, że tego nie dostrzega.

Skrzydłak westchnął z goryczą.

- Chyba musimy wezwać Szpilę, prawda?

- Obawiam się, że tak. Jeżeli ktoś z nas wystąpi przeciw twojemu ojcu, zmasakruje nas.

Wokół nich zaczęły się rozbryzgiwać ciepłe krople deszczu: na piasku, na kamieniach, na powierzchni oceanu. Krzyknęła mewa.

Skrzydłak desperacko szukał innego wyjścia. Szpila specjalizowała się w zabójstwach; kiedy przyłożyła do czegoś rękę, efekt zawsze był paskudny. Ale Skrzydłak nie miał ochoty się spierać. Położył Tkaczce głowę na kolanach. Deszcz spływał mu po twarzy.

- Ale bałagan - westchnął.

Tkaczka przeczesła palcami jego długie jasne włosy.

- Nie każdemu synowi dane jest przeżyć dzieciństwo, kiedy ma takiego ojca - powiedziała.

Skrzydłak uderzył pięścią w piasek.

- Zasraniec jeden! Jak ja go nienawidzę!

Jego złość rozpałała gniew Tkaczki.

- To nie wystarczy, Skrzydłaku. Nigdy nie wystarczało. Potrzebujemy profesjonalisty, a nikt spoza Organizacji nie tknie nas nawet kijem. Zostaje nam Szpila.

- Ale jeśli...

- Nie! Mam dość! Prędzej dam mu umrzeć i spłonąć w piekle, niż pozwolę, żeby uszło mu to płazem. Co za dużo, to niezdrowo. Porozmawiasz ze Szpilą.

Deszcz się wzmógł. Ocean grzmiał i syczał.

- Muszę?

- Tak, mój chłopcze. Musisz.

- Ty byś nie mogła?

- Nie. Będę zajęta. Idę po tamtych.

Skrzydłak próbował usiąść, ale Tkaczka go powstrzymała.

- Do pozytywki? Zobaczy cię.

- Nie zobaczy. Znam tajne przejście.

Skrzydłak się uśmiechnął.

- To się może udać. Mam iść z tobą?

- Lepiej nie.

- Mógłbym pomóc.

- Nie mieszaj się do tego. Ponosi cię złość. Tylko byś mi przeszkadzał.

Skrzydłak zmarszczył brwi.

- Boże, ależ to przygnębiające...

Tkaczka pochyliła się i pocałowała go w czoło.

Sprężyna pozytywki cały czas się rozkręcała.

Naomi poczuła muśnięcie słońca na powiekach. Próbowwała się obudzić; chciała znów zobaczyć Aleksa, Evę i pustynię usłaną białym piaskiem, ale choćby nie wiadomo jak się starała, nie mogła otworzyć oczu. Co się stało? Paraliż? Guz rozlał się w końcu aż na pień mózgu? Umarła?

Sny odpłynęły, wróciło poczucie rzeczywistości. Nie mogła unieść powiek, bo ich nie miała. Mrówki nie mają powiek. Powinna wyrzucić z pamięci te brednie o dinozaurze z guzem mózgu.

Wyjaśniwszy to sobie, obudziła się. Przeciągnęła zaopatrzonymi w zadziorki przednimi odnóżami po czułkach i złożonych oczach. Oto wydmy. Oto Alex i Eva. Oto i ona sama, olbrzymia mrówka. Dziesięć jardów długości.

Eva siedziała niedaleko, na grzbiecie wydmy: mała Meksykanka nucąca starą hiszpańską piosenkę. Najwyraźniej wszyscy troje wylądowali dzisiaj we własnych ciałach - a to znaczyło, że Alex musi być helikopterem.

Podbiegła do niego, odwróciła się na wschód, podkuliła przednie odnóża i zaczęła się grzać w słońcu.

Eva podeszła do płóz Aleksa i po aluminiowej drabince wspięła się do kabiny. Usadowiwszy się w przeszklonej bańce, sięgnęła po leżące na desce rozdzielczej papierosy i wepchnęła zapalniczkę do gniazdka. Chwilę później zaciągnęła się pierwszym tego dnia dymkiem i założyła słuchawki.

- Jak minęła noc? - usłyszała głos śmigłowca.

Wzruszyła ramionami.

- Mnie się śniły robale - ciągnął helikopter. - Lepsze to niż sny o fabrykach. Ty miewasz sny?

- Śniłam o kimś, kogo dawno temu kochałam.

- O mężczyźnie? Kobiecie?

- W pewnym sensie.

- Mam nadzieję, że to było miłe.

Eva obejrzała przyrządy sterownicze.

- Dobrze się czujesz?
- Czemu pytasz?
- Bo z jakiegoś powodu jesteś mniej upierdliwy niż zwykle.
- To dziwne.

Eva strząsnęła popiół z papierosa.

- Ciekawe, czy Naomi coś się śniło.
- Zapomnij o Naomi! Pozbądźmy się jej! Odlećmy stąd razem, mój ty bujny kwiecie.

Obsypię cię rozkoszami, o jakich ci się nie śniło.

- Nie kpij.
- Ta Naomi... - burknął Alex. - Co ty w niej widzisz? Jest brzydka. Długo zamierzasz mnie tak dręczyć? Kiedy ugasisz płomień żądź duszę mą trawiących? Najdroższa! Ileż stuleci czekać mam na twój pocałunek?

- Ty? Ty nawet nie masz odpowiedniego wyposażenia.
- Mylisz się, Evo. Mam złote serce. Za to ty wcale nie masz serca. Odrzucasz mnie.
- Nie kocham cię, Aleksie. Kocham Naomi.
- W takim razie zabij mnie. Rozbij mnie o skały. Albo zostanę twoim niewolnikiem; zrobisz ze mną, co zechcesz. Ale mnie nie odrzucaj.
- Nie chcę niewolnika. Nie lubię niewolników.

W słuchawkach zabrzmiało westchnienie. Alex okręcił się lekko na podwoziu, zwracając dziobowe kamery na Naomi.

- Eva mnie nie kocha - obwieścił żalobnym tonem przez megafon.
- Nigdy jej tego nie wybaczysz - zauważyła mrówka.
- Ależ wybaczam jej.

Eva przeciągnęła się i ziewnęła.

- Naprawdę? - spytała. - Mówisz serio?
- No pewnie. Umiem wybaczyć błędną ocenę.

Eva zapięła pasy. Śmigłowiec uruchomił wirniki i wystartował. Mrówka dotrzymywała im kroku, pędząc zrywami poprzez wydmy.

Dzień się kiedyś skończy, zapadnie kolejna noc. Pewnego dnia dotrą na skraj tego odludzia i znikną. Nic ich tam nie trzymało.

W pustym gabinecie doktora Labirynta smutny stary człowiek siedział na podłodze. Inne

anioły nie rozumiały, co przeżywa, a on za bardzo się wstydził, żeby im to tłumaczyć.

Był nagi, miał tylko okulary na nosie, i przeglądał ułożone w stos oprawione sztychy przedstawiające motywy z greckiej mitologii. Posejdon i Atena. Ikar w locie. Kreteński tancerz w przebraniu byka.

Labirynt zaczął szlochać. Zdjął okulary i ukrył twarz w dłoniach. Niełatwo być uzdrowicielem dusz. To nie było jego powołanie, ale przyłożył się do pracy i był w tym dobry. Prawie tak dobry jak Tkaczka.

Do czasu, gdy dawne zwyczaje dały znać o sobie i zbudował labirynt, z którego nie było ucieczki. Zamknął w nim ludzi; był ciekaw, co zrobią. Tak samo jak dawniej, kiedy on sam i pozostali też byli ludźmi.

A potem coś się zepsuło, tak jak w przeszłości. Wkrótce w labiryncie wybuchnie pożar. Cóż, każdy popełnia błędy. Nikt nie jest nieomylny.

Na podłodze wokół Labirynta rozlała się kałuża moczu.

Śmigłowiec leciał nisko nad pustynią. Był dzień. Jedno ze słońc zatoneło w zwartych chmurach na zachodzie. Wydmy ustąpiły miejsca prerii, preria lasowi, aż w końcu znaleźli się na obrzeżach miasta. Naomi je rozpoznała: to była Victoria w Kolumbii Brytyjskiej.

Pędziła ulicami, susami przesadzała samochody, wdrapywała się na autobusy. Znalazła swój ulubiony park, ten ze stawem. Helikopter wylądował na równiutkim trawniku wśród klonów. Eva wysiadła z kabiny Powietrze pachniało wilgotnymi liśćmi.

Naomi zaprowadziła ją nad staw. Alex wypuścił kółka i poturlał się za nimi.

Idąc, Naomi opukiwała czułkami ziemię. Po raz milionowy objaśniała im ich położenie - tłumaczyła, że cierpią na dziedziczną chorobę, gdzie się znajdują i dlaczego nie mogą się uwolnić.

- Chcesz powiedzieć, że nadal jesteśmy w tym czipie? - spytał Alex. - Na statku kosmicznym?

- Nie, nie, nie. Kiedy umarliśmy, doktor Labirynt skopiował nas do pozytywki.

- Jest więcej takich kopii? - spytał ze zgrozą Alex.

- Już nie. Były, owszem, i przechowywano je w Archiwum Akaszy, ale Labirynt je zniszczył. Jest bardzo skrupulatny. Jesteśmy teraz czystą informacją, dlatego możemy się tu poruszać.

- Ten Labirynt... - wtrąciła Eva. - To jakiś anioł?

Naomi spuściła głowę między przednie odnóża i zapiszczała z irytacją. Eva zakryła uszy

dłońmi.

- Ciągłe wam to powtarzam! Dlaczego mnie nie słuchacie? Nic, tylko śpicie, śnicie i wspominać różne rzeczy.

- Naomi... - odezwała się Eva pojednawczo. - Bądź dla nas cierpliwa, proszę. Jesteśmy od ciebie starsi i czasem maci nam się w głowie. Zacznij od początku.

- Jest taki mały łysy facet w okularach. Nazywa się doktor Labirynt.

Eva w zadumie podparła brodę na kciuku.

- Uważa się za terapeutę, tak?

- Widziałas go! - krzyknęła Naomi. - A pamiętasz szklany tunel? Na końcu było okno...

- I gabinet z biurkiem - ciągnął Alex. - Ten gość był wielki jak olbrzym.

- To dlatego że byliśmy w kineskopie - wyjaśniła Naomi.

Nasiona klonu sfruwały na ziemię.

Sprężyna pozytywki cały czas słabła.

Była zima 1931 roku i ulice Bostonu pokrywał śnieg. Chorąży Skrzydlak był umówiony w greckiej restauracji o dziesiątej rano. Szpila zgodziła się z nim spotkać.

Punkt dziesiąta wszedł do knajpki. Odwiesił płaszcz. Zawczasu dopasował mundur do epoki. Wszedł w głąb sali i dosiadł się do Szpili.

Miała na sobie prążkowany garnitur i fedorę na głowie. Była wysoka jak na Azjatkę i wyjątkowo chuda. Stalowszare włosy miała ostrzyżone krótko, przy skórze. Każdy - poza Skrzydlakiem - wzięłyby ją za mężczyznę.

- Masz zlecenie? - zapytała.

- W pewnym sensie. Tkaczka chce unieszkodliwić Labirynta.

Szpila napiła się herbaty.

- Mów dalej.

- Labirynt ma pacjentów, których trzeba będzie wyciągnąć, ale to już zmartwienie Tkaczki. On... nie ma już odpowiednich kwalifikacji.

- Jakież jednak musi mieć... - Szpila uśmiechnęła się ironicznie. - Skoro mnie wzywacie. Nadal mieszka w tym swoim zamku?

- Nie opuszcza go.

- Ilu ma pacjentów?

- Troje.

- Gdzie ich trzyma?

- W pozytywce, w szufladzie biurka. Tkaczka powinna ich wygarnąć, zanim dotrzesz na miejsce.

Szpila dopiła herbatę.

- Zostawcie go mnie, ja go zdejmę. Ale za los jeńców nie mogę ręczyć. Skrzydlak wstał. W tej chwili czuł się odrętwiały, później miał się poczuć nieszczęśliwy i rozeźlony.

- Mój ojciec jest niebezpieczny - przypomniał. Pół ostrzeżenie, pół groźba.

- Nie tak niebezpieczny jak ja.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ŚPIEWACZKA

Kiedy zaś słońce się skłoniło
Ku zachodowi, wstał Dong i rzekł:
- Kiedyś rozumu miałem kapkę,
Lecz dawno poszła sobie precz.

- Edward Lear

Szłam przez mrok. Szłam prosto, po ciemku, nie napotykając przeszkód. Miałam bose stopy. Czulałam pod nimi beton. Nie wiedziałam, gdzie jestem.

Zobaczyłam gołą żarówkę, wkręconą w sufit tunelu. Po ścianach biegły rury i kable. Widziałam mierniki elektryczne w przykurzonych szklanych osłonach i pokręta zaworów oblane czerwoną gumą. Gorące i suche powietrze śmierdziało olejem maszynowym. Moja sukienka była podarta i brudna. Miałam na imię Eva. Jakżeby inaczej?

Przeszłam pod żarówką. Mój cień mnie wyprzedził. Tunel ciągnął się bez końca. Znajdowałam się pod miastem. Czulałam, jak tętni nade mną. Szukałam drogi powrotnej na górę. W tych tunelach groziłaby mi śmierć głodowa. Jeśli miałam umrzeć, chciałam umrzeć pod gołym niebem, bezchmurnym, błękitnym niebem. I przejść dalej. Kiedyś było takie niebo.

Próbowałam wrócić na powierzchnię. Tunele tworzyły labirynt, który musiałam pokonać. Chcąc uciec z labiryntu, trzeba być ciepłym. Zachować przytomność umysłu. Uważać. Zapamiętywać.

Zapomniałam, po co zeszłam do tuneli. Może ktoś rozpylił gaz nad miastem. Może tylko ja ocalałam z zarazy. A może po prostu szukałam miejsca do spania i zabłądziłam. Tylko że tam, na dole, nie da się żyć. Nie przez całe tygodnie czy miesiące.

A już na pewno nie przez lata. Nie przez dekady. Nie, to nie do wiary. Nie przez stulecia. Chyba żeby cały świat uznał mnie za zmarłą, a ja bym śniła. Albo śniłabym o tym, że nie

żyję, albo naprawdę bym nie żyła.

Usiadłam i oparłam się plecami o ścianę. Jakiś ostry poprzeczny rant werznął mi się w kręgosłup. Odwróciłam się, przyjrzałam jej z bliska i rozpoznałam dolną krawędź niskich metalowych drzwi. Z ciekawości przekręciłam gałkę i je otworzyłam.

Za drzwiami znajdowała się wąska szafa. Na jej dnie dostrzegłam uwite ze szmat gniazdo, a w nim - zakopaną w szmatach po brodę - ludzką głowę oplątaną długimi siwymi włosami. We włosach roilo się od karaluchów, które rozbiegły się po kątach, gdy żółte światło zalało wnętrze szafy.

Głowa zamrugła, budząc się. Otworzyła oczy i spojrzała na mnie.

Byłam przerażona - nie dlatego że głowa została pozbawiona ciała, lecz dlatego że tak ją porzucono. A także dlatego że, znalazłszy ją, zostałam postawiona przed wyborem: mogłam zostawić ją tutaj, żeby zgniła; mogłam ją zabić; albo mogłam ją zabrać, chociaż na myśl o tym, że miałabym jej dotknąć, przebiegł mnie dreszcz.

Cały czas trzymałam gałkę w ręce. Mogłam zamknąć drzwi i o wszystkim zapomnieć, ale wtedy głowa do mnie przemówiła.

- Rzeczywiście, możesz zamknąć drzwi - powiedziała spokojnym, przytomnym głosem. - Ale zawsze będziesz wiedziała, że tu jestem.

Zatrzasnęłam drzwi i uciekłam w głąb tunelu. Biegłam od jednej gołej żarówki do drugiej, trzeciej i kolejnych. Byłam Korą w świecie podziemnym. Byłam Złotowłosą w lesie cierni, szukającą i zapłakaną. Byłam wszystkimi smutnymi opowieściami ze wszystkich martwych miast. Byłam duchem zamordowanej żony Dedala, zamkniętym w jego labiryncie. Byłam hałdą żużlu zrujnowanych inkarnacji. Moje serce było pustynią wypalonego piasku.

iEscuchame! iDe la manera que hablo! ¿Quien me enseno estas palabras?

Tego snu nie da się zapamiętać.

Znajdowałam się na górze, pod gołym niebem. Szłam chodnikiem oddzielającym park od ulicy. W parku rosły dęby i jałowce. Budynki ze szkła i stali pochylały się nade mną. Odbijało się w nich niebo.

Nie byle jakie niebo - to było niebo z końca świata. Niebo pokryte fioletowo-czerwonymi krwiakami, zasnute dymem, rozdierane płomieniami.

Tymczasem pod tym poszarpanym i płonącym niebem samochody jak zwykle snuły się po mieście, przystawały na światłach, sygnalizowały skręt. Autobus zatrzymał się przy skrzyżowaniu. Wsiadła z niego kobieta z grubym dzieckiem na rękę; w drugiej ręce niosła

składany wózek. Na chodniku rozłożyła wózek i wsadziła do niego dziecko.

Jej twarz i dłonie ściekały z kości, jak stopiony wosk ze świecy; ucho zsunęło się jej na bok szyi. Skóra na ciele dziecka zwisała w luźnych pasach. Ciała wszystkich pasażerów autobusu roztopiały się i spływały ze szkieletów, ale nikt się tym nie przejmował. Nikt nie pędził do szpitala.

Dotknęłam swojej twarzy, spojrzałam na swoje ręce. Ja się nie roztopiałam.

Zatrzymałam matkę z wózkiem, kiedy przechodziła obok mnie. Miała grubą makijaż i kędzierzawą kasztanową perukę. Dziecko nosiło na jednej nóżce dziergany różowy bucik. Drugiej stopy nie miało.

- Przepraszam... - zaczęłam matkę. - Przepraszam panią, jestem nietutejsza. Co tu się stało?

- To znaczy?

Zakłopotana nie umiałam spytać wprost o to, co się dzieje z jej ciałem, zapytałam więc o niebo.

- O co pani chodzi z tym niebem? - zdziwiła się, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę. - Zawsze tak wyglądało. Co niby jest z nim nie tak?

- Ale co się stało z pani twarzą i rękami? Z pani dzieckiem?

Zerknęła na dziecko, zmarszczyła brwi, obejrzała swoje dłonie.

- Wszyscy tak wyglądają - odparła. - Wszyscy.

- Nie boli was to?

- Nie, ponieważ przyjmujemy lekarstwa. Pani też je dostanie.

Dałam jej spokój i poszłam ulicą przed siebie. Przejrzałam się w witrynie sklepu obuwniczego: byłam piękną, młodą Meksykanką w prostej czarnej sukience przybranej sznurem pereł. Zardzewiałe niebo budziło miedziane refleksy w moich kruczoczarnych włosach.

Dlaczego byłam odporna? Moje ciało nie było prawdziwe? Czyżbym była chodzącą plastikową lalką o szklanych oczach? Dziabnęłam się paznokciem w policzek; ciekawe, pomyślałam, czy udałoby mi się skaleczyć do krwi.

Jakiś mężczyzna zatrzymał się i gapił na mnie. Mężczyzna z ludzką głową. Zaczynałam się zachowywać jak wariatka. Poszłam dalej. Wszyscy mijający mnie przechodnie byli na wpół zniszczeni. Bardzo starałam się nie postradać zmysłów.

¡Mirame! ¿Como llegue aqui?

Stałam na dachu budynku, wysoko ponad ulicami. Widziałam dachy okolicznych domów. Po zmasakrowanym niebie przewalał się stłumiony grzmot. Burzowe chmury zwierzały szyki. Powietrze znieruchomiało.

Zewsząd dobiegł suchy szelest. To padał deszcz - deszcz odpadków: płaskie pudełka z zapawkami, papierki po gumach, niedopałki, liście sałaty... Śmieci spadały z nieba.

Podeszłam do krawędzi dachu i spojrzałam w dół. Samochody włączały światła. Policjant wyjął z kieszeni płaszcz foliową pelerynę. Policjant o ciele człowieka. Śmieci sfruwały spod nieba coraz gęściej, ścieląc się szeleszczącą warstwą na papie wokół moich stóp. Siegały mi już powyżej kostek. Podmuchał wiatru rozwiął je, porwał w powietrze, zakręcił nimi i zepchnął je z dachu.

A na dole nieżywi ludzie dalej zajmowali się swoimi sprawami; roztapiali się w śmieciowym deszczu, w mieście umarłych.

Zaczęłam śpiewać. Nie była to żadna konkretna pieśń, nie miała słów. Po prostu śpiewałam - nie o umarłych na ulicach i nie o sobie, lecz o rozstaniu, o moim żalu i moim gniewie. Wiedziałam, że będzie mi tego żalu brakowało. A gniew przez stulecia utrzymywał mnie przy życiu. Chciałam jednak odlecieć z tego miasta, a żal i gniew byłyby zbyt ciężkie, żeby je udźwignąć. Miałam przelecieć przez ucho igielne, nie mogłam zabrać ich ze sobą. Nawet swój obłąd musiałam porzucić.

Nie mogłam myśleć o was dwojgu. Musiałam się skoncentrować na uchu igielnym. Musiałam śpiewać, żeby odwrócić uwagę swojego serca, bo moje nieszczęsne serce chciało zostać - zostać z tobą, Naomi, i z tobą, Aleksie. Ja jednak nie zamierzałam go zostawić. Zabierałam swoje serce ze sobą.

Na dach spadały ze świstem butelki po piwie i oranżadzie. Uderzały w pokrytą papą powierzchnię i roztrzaskiwały się na kawałki. Miasto tonęło w śmieciach; następnego dnia nie będzie po nim śladu.

Miotana wicherem nadleciała papuga o zielonych, czerwonych i żółtych piórach. Zatoczyła krąg i zanurkowała prosto ku mnie. Zasłoniłam twarz ręką. Papuga przysiadła mi na przegubie dłoni. Miała czarne, błyszczące oczy i poplamiony, pobliźniony dziób. Przekrzywiła łebek i przyjrzała mi się uważnie.

- Opowiedz o swojej niedoli - powiedziała. Miałam wrażenie, że ją znam z jakiegoś na wpół zapomnianego snu. - Opowiedz o swojej niedoli.

- O mojej niedoli? - powtórzyłam.

- O twojej niedoli. Opowiedz o swojej niedoli, to cię nie zaboli. Walkę zaplanuj i uciekaj do woli.

- Nie możesz mnie po prostu stąd zabrać? - spytałam. - Dokądkolwiek.

- Opowiedz o swojej niedoli, gdy dzień kończy się powoli. Opowiedz o swojej niedoli.
Opowiedz! Opowiedz!

Stara papuga zatrzepotała skrzydłami, puściła mój nadgarstek - i nagle obok mnie na dachu stanęła kobieta, Hinduska w sari z białego jedwabiu. Brodziła boso w śmieciach. Miała malowany znak kasty na czole, złote kółko w jednym nozdrzu, a włosy tak samo czarne i długie jak ja. Z uśmiechem wzięła mnie za rękę. Jej zęby zaśniły sino w wieczornym półmroku. Jej oczy mówiły o bezbrzeżnym współczuciu i bezgranicznej wolności.

- Evo... - powiedziała głosem papugi. - Jesteś gotowa, żeby odejść?

- Przyszłaś po mnie?

- Tak. Jestem Tkaczką. Mogę cię stąd zabrać.

- Jestem gotowa.

Dach, niebo i miasto wokół nas migotały jak obraz w popsutym telewizorze albo dogasający płomień.

- Daj mi swoją twarz. Później ci ją oddam. I pospiesz się! Doktor Labirynt likwiduje to miejsce.

Dotknęłam policzka i cała twarz została mi w ręce. Oddałam ją Tkaczce. Dużo za nią zapłaciłam, a teraz zostały mi tylko oczy i czaszka.

Tkaczka znów stała się papugą. Wzleciała w skłębioną mgłę. Tuż po tym, jak zniknęła mi z oczu, spod chmur wystrzelił oślepiający snop światła z reflektora. Uderzył we mnie jak rwący strumień wody. Zasłoniłam oczy rękami. Reflektor przeświecał moje dłonie na wylot.

Wirująca chmura szarych ciem oddzieliła się od snopa światła jak mgiełka od wodospadu i mnie zagarnęła. Ćmy obsiadły mi szyję, ręce, sukienkę, okryły mnie żywym kocem jedwabistych skrzydełek i włochatych odnóży. Znów zaczęłam śpiewać. Ćmy tak długo skubały moją sukienkę, aż opadła ze mnie w strzępach. Wtedy objadły mięso z moich kości - a ja, mimo to, wciąż śpiewałam.

Od strony światła przyfrunęła papuga. Przysiadła mi na obojczyku i powiedziała, co mam robić. Mój szkielet wszedł w snop światła i ruszył po nim w górę jak po schodach, do samego serca burzy. Nie przestawał śpiewać.

Tkaczka i ja poszliśmy gdzie indziej. Nie miałyśmy wyboru. Sprężyna pozytywki cały czas się rozkręcała.

Spróbuj się stąd wyrwać, Aleksie. To miejsce umiera.

Spróbuj uciec, Naomi. Nie mogę tu z tobą zostać.

Wybaczcie.

Żegnajcie.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

SĄD OSTATECZNY

Czynnik nieuleczalności został wyeliminowany.

- John Lister

Kiedy zaczął się sen... Kiedy zaczął się sen, Aleksie...

Kiedy sen się zaczął, mnie w nim nie było. Byłem nikim, parą oczu patrzących spod nieba na ocean. Ledwie widziałem powierzchnię Pacyfiku.

Powietrze miało tłustawą fakturę i kolor sepii upstrzonej zawieszonymi w nim drobinkami węgla. Burzyło się leniwie nad skorupą okrywającą trupa oceanu, pomarszczoną równiną stwardniałego czarnego szlamu, który w słabym świetle mienił się ropną żółcią. Skorupę przecinały szczeliny, wijące się po niej jak wyschnięte łożyska rzek na pustyni. Wyciekające z nich białawe mydliny piętrzyły się w hałdy i brązowiwały.

Deszcz padał ze spalonego nieba przez czterdzieści dni i nocy bez przerwy i ohydna woda wcale nie zamierzała opaść. Kontynenty przepadły na dobre, ja jednak nie miałem wątpliwości, że Ziemia znów się przystosuje. Tratwostwory, drożdże telekinetyczne... Coś wymyśli. Zawsze coś wymyśla.

W dole, pode mną, widziałem wybrzuszenie skorupy, oplecione grzybnią, z której wyrastały olbrzymie purchawki. Trudno było w to uwierzyć, ale pod tym garbem znajdowało się moje ocalenie. Moja arkologia. Moja Arka Noego. Ostatnia nadzieja ludzkości.

Przypominała pękaty srebrny balon, który spadł do oceanu i utknął w nim jak gruda w budyniu. Małeńkie roboty utkały ją z aluminium na kształt owocni trojeści. Kiedyś była okrętem flagowym dumnej floty, dziś - jedynym ocalałym z niej statkiem, który, umierając, pożerał sam siebie. Była odporna na trucizny, ale my zatruwaliśmy się nawzajem całkiem skutecznie nawet bez pomocy Zarazy. Nasz koniec był tylko kwestią czasu. Zwierzęta... Czym się staliśmy po tym, jak ludzie zadławili oceany? Byliśmy pasożytami bez żywiciela, tonącymi we własnych ściekach.

Ja jednak byłem tylko parą oczu na niebie. We śnie. W tym śnie, o którym ci opowiadam, Aleksie.

Byłem tylko parą oczu, ale wiedziałem, że gdzieś tam mam ciało. Musiało się znajdować na pokładzie arki, bo w innym miejscu dawno by się rozpuściło.

Wbijając wzrok w garb, zajrzałem do środka. Zobaczyłem przegrodę w oborze, której cementowa podłoga była usłana cuchnącą słomą. Zobaczyłem zardzewiałe koryto. Zobaczyłem olbrzymie nieruchome zwierzę, podwieszane nad posadzką w hamaku z nylonowych lin. Zwierzę chrapało. Oddychało skwaśniałym, podpleśniałym powietrzem.

To byłem ja. Byłem tym śpiącym w hamaku zwierzęciem, wiekowym, pierdzącym, niedożywionym słoniem. Przesypiałem całe dni. Ośliniałem sobie wąsy. Krwawiłem z dziąseł. Nie miałem połowy zębów. Skóra obwisała mi na kościach. Moja pierś rozszerzała się i kurczyła w powolnym rytmie oddechu. Wzgardziłem perspektywą przebudzenia i spałem dalej.

Dozorcy zostawili arkologię pod moją opieką, a potem, pojawiwszy ogrom swoich grzechów przeciw naturze, popełnili samobójstwo. Sama arka wkrótce podąży ich śladem - do nieba, do piekła, albo donikąd. Wielu roślinożerców padło, gdy skończyły się zapasy prosa w workach; resztę wytepiły drapieżniki. Moja odpowiedzialność. Moja wina.

Oczywiście wiem, co mówiły małpy: że ludzie wyznaczyli mnie na dozorcę wyłącznie dla żartu, tylko dlatego, że przypadkiem mam na imię Noe, jak ten facet w Biblii. Ale czy umierający ludzie mieliby głowę do żartów, ja się was pytam?

Z powagą objąłem swoje nowe stanowisko. Niektóre zadania wypełniałem sumiennie, dzień po dniu, niezawodnie. Dowodziłem ogromnym wrakiem i musiałem żyć. Oraz spać. Do moich świętych obowiązków należało przesypianie dni w oparach uryny i zapleśniałej słomy, wyczerpywanie resztek zasobów tlenu, chorowanie na dyzenterię, utrata partnerki oraz niezłomna determinacja, żeby się nie obudzić.

Byłem ostatnim słoniem na Ziemi. Gryzłem swój sznurowy gryzak z taką zajadłością, jakby uosabiał mój głód. Każde zwierzę odczuwa głód tak samo. Głód potrafi być bezgraniczny, jak studnia bez dna. Szakale pożarły moją żonę. Cóż, głód szakala niczym się nie różni od głodu słonia.

W swoich snach zawsze jestem potworem, Aleksie. Mam rację? Zawsze jestem potworem, udręczonym samotnością, głodem, paralizem... Dlaczego tak musi być? Jak myślisz, Aleksie?

Otworzyłem jedno oko. Zimowe słońce. Woń czegoś, co należałoby pogrzebać. Na jednej z powiek zrobił mi się jęczmień. Wyplątałem się z hamaka, opuściłem nogę na pokład, potem

drugą i trzecią. Powlokłem się na drugą stronę przegrody, do żłobu z sianem, i oparłem głowę o chłodny metal.

Wszędzie roilo się od much, który bzyczały bez przerwy: plujki, ślepaki... Co one wszystkie jadły? Gówno, ot co. Tuczyły się na gównie. Tak samo powinny robić glony w zbiornikach hydroponicznych, ale dawno pozdychały. Przekłęci dezserterzy.

Dźwignąłem pokrytą strupami trąbę i przetarłem zaropiałe ślepie. Zewsząd dobiegały dźwięki dogorywającego ogrodu zoologicznego: kapanie wody na blachę, świergot ptaków, chrapliwe szczekanie psów... Stałem nad korytem i wciągnąłem trochę zimnej, stęchłej wody. Rozbolały mnie od niej zęby. Pociągnąłem za sznurek lampy. Od światła rozbolały mnie oczy.

Szurając nogami, podszedłem do grodzi, na której wisiał mój krucyfiks. Dawniej nosiłem go na sznurku na szyi, ale małpy ciągle mi go kradły. Klęknąłem na cuchnącej słomie, pokłoniłem się trąbą i poprosiłem Jezusa Łagodnego o zbawienie. Przekląłem przed Bogiem imię Człowieka. Przy okazji przekląłem też te cholerne małpy.

Na opuchniętych stopach wyszedłem z przegrody i wszedłem na spiralną pochylnię podwieszoną na łańcuchach pośrodku głównego szybu komunikacyjnego arki. Wszystkie płaskie powierzchnie pokrywała gruba warstwa gołębih odchodów. Gołębi nadal było mnóstwo.

Łańcuchy jęknęły pod moim ciężarem. Gdzieś kwiczała świnia. Ruszyłem po stalowej spirali w dół, mijając kolejne pokłady zavalone kojcami dla kur, podartymi materacami, pustymi bańkami na wodę i ogryzionymi kośćmi. Kiedy uprzątnęło się śmieci z jednego pokładu, piętrzyły się po prostu pokład niżej.

Ptasie skrzydła mlóciły wilgotne powietrze. Jaskółka wleciała w górę szybu i przysiadła na poręczy. Obok usiadł gołąb. Jaskółka przeskoczyła na drugą stronę szybu. Dobrze wiedziała, co mu chodzi po głowie. Rozmnażanie. Niektórzy faceci nigdy nie dorastają.

Zszedłem do psiarni. Dozorcy trzymali tu psy, a ja ostatnie ludzkie dziecko, dziewczynkę. Miała na imię Ivy. Trzymałem gadzinę przy życiu, bo była użyteczna. Obsługa większości sprzętu laboratoryjnego wymagała pary rąk, a ponieważ ja miałem tylko nogi, musiałem znosić obecność Ivy.

Zbudowała sobie w klatce domek z drutu, czarnej folii i prostokątnych kawałków blachy falistej. Jeszcze nie wszedłem do samej psiarni, a już czułem smród tej niewolnicy: brudna mała naczelnia, koścista i usmarkana. Przez szpary w dachu domku sączył się dym. Tysiąc razy sztorcowałem ją za palenie ognia. Ludzie są niereformowalni.

Zawołałem ją. Wyczołgała się na czworakach, zakutana w te swoje odrażające łachmany,

i spojrzała na mnie spod przymrużonych powiek. Przykuty do kostki łańcuch włókł się za nią w kurzu.

- Chodź ze mną - powiedziałem.

Puściłem ją przodem, żeby się nie ociągała. Stanęliśmy przed wjazdem do laboratorium biologicznego.

- Otwórz - poleciłem.

Ivy przekręciła koło i odblokowała zamek.

- Wchodź - powiedziałem.

Resztę arki trafił szlag, ale laboratorium było moją prywatną świątynią czystości i porządku. Były tu stoły robocze wyłożone czarnym łupkiem, emaliowane na biało zlewy, mosiężne kurki gazowe do palników bunsenowskich. Na ścianach gęsto wisiały półki; na niektórych z nich stały akwaria, terraria i klatki, na innych słoje z formaliną, w której pływały kawałki martwego mięsa z plastikowymi liszkami. Na słojach były przyklejone etykiety wypisane fioletowym atramentem i koślawym charakterem pisma. Ostatni karp. Ostatnia kijanka. Były tam też pudełka z żukami na cienkich czarnych szpilkach, pawimi piórami, czaszkami ocelotów... Skamieliny.

Kazałem Ivy nałożyć mi na twarz puder i róż. Jej zręczne dłonie osadziły mi na głowie oficjalną białą perukę i narzuciły na grzbiet czarną pelerynę. Lubilem odpowiednio się prezentować przy wypełnianiu obowiązków urzędowych. Kazałem jej wyjąć z szuflady dziennik pokładowy i położyć na jednym ze stołów roboczych. Mówiłem, co ma pisać.

- Włącz światło w śluzie - poleciłem.

Podeszła do przełącznika, a ja na sztywnych nogach stanąłem przed śluzą powietrzną i przycisnąłem oko do wbudowanego we wjazd światłowodowego peryskopu. W śluzie kłębiły się spaliny z pontonu zmieszane z czarnym popiołem.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu szczura lub myszy, ale wszystkie klatki były puste. Pomyślałem, że wezmę gołębia, lecz gołębniki również ziały pustką. Drzwiczki jednego z nich wisiały na jednym zawiasie.

- Widzisz te drzwiczki?! - naskoczyłem na Ivy. - Kazałem ci je naprawić, ty żałosna ściero! Czy ty nic nie potrafisz sama zrobić?!

Przemierzałem laboratorium w tę i z powrotem, szukając okazji, który mógłbym poświęcić. Jaszczurki. Krocionoga. Kulanki. Badanie atmosfery musiało być przeprowadzone codziennie, a wyniki zanotowane. Wyniki zawsze były takie same, ale to jeszcze nie powód, żeby zaniedbywać swoje obowiązki. Rozejrzałem się za jakąś muchą; z braku laku kazałbym Ivy złapać muchę - a much nie brakowało.

Coś poruszyło się pod zlewem.

- Zajrzyj tam - poleciłem jej. - Coś tam żyje.

Ivy otworzyła drzwi szafek.

- To ropucha - powiedziała.

Kazałem jej ją złapać. Wywlekła chudą, szarą ropuchę za nogę i wrzuciła do słoika. Ropucha tylko raz się rzuciła i wyrznęła pyskiem o szkło, po czym siedziała już spokojnie. Kazałem Ivy włożyć fartuch i gumowe rękawiczki.

- Umyj okaz - poleciłem. - Codziennie muszę ci o tym przypominać?

Wstawiła słoik do zlewu i odkręciła wodę. Ależ miała zwinne łapki...

Ropucha w słoiku pływała pieskiem. Ivy przykryła wylot naczynia rozczapierzoną dłonią i odlała wodę. Co za włochaty glut, nawet ropuchy porządnie umyć nie potrafi!

Śluz powietrzna łączyła laboratorium ze światem zewnętrznym. Obok wjazdu znajdowały się dwa przyciski - czerwony i zielony. Trąbą wcisnąłem zielony. Pompa zaczęła z mozołem wypompowywać zabójcze powietrze.

Ivy przeniosła ropuchę pod śluzę i wyjęła ze słoika. Ropucha zwiotczała jej w dłoni. Pewnie była chora. Jak większość z nas.

W ścianę śluzy była wbudowana rura z hermetycznym zamknięciem. Wprowadzało się przez nią okazy do wnętrza śluzy. Wstrzymując oddech, Ivy podniosła wieko rury, za którym znajdowały się zachodzące na siebie paski czarnej gumy. Wepchnęła przez nie ropuchę i zamknęła wieko.

Spojrzałem przez nakierowany na podłogę śluzy peryskop i zobaczyłem ropuchę: przysiadła na stalowej posadzce, opierając się o nią brzuchem. Sięgnąłem trąbą do czerwonego guzika i patrzyłem, jak cętkowane powietrze z zewnątrz znów przesącza się do śluzy. Ropucha rozpląszczyła się jak świeżo wylany na patelnię naleśnik, jak kałuża rozwodnionego ciasta, a potem pokryła się białą pianą, która całkowicie ją pochłonęła i zaczęła dymić. Na koniec po ropusze została tłusta, zwęglona plama.

Powiedziałem Ivy, co ma napisać w dzienniku pokładowym.

„Efekt bez zmian”.

Podeszła do mnie od tyłu. Zdjęła rękawiczki i wytarła nos wierzchem dłoni. Zadała mi jakieś pytanie, którego nie zrozumiałem. Pewnie zaczynałem głuchnąć.

- Co? Co powiedziałaś?

- Mam panu otrzeć oczy, Noe?

- A po co?

- Jęczmień, proszę pana. Mogłabym znaleźć szmatę i wytrzeć ropę.

- Dobrze, już dobrze. Zamknij się i zrób to, kretynko.

Przyniosła szmatę i krzesło. Weszła na krzesło i przetarła mi powieki, nucając pod nosem. Drugą ręką głaskała mnie po szczecinie na głowie.

Odesłałem ją w cholereę.

Mogłem sobie znaleźć mnóstwo niecierpiących zwłoki zajęć. Mogłem iść do insektarium, pozszywać siatki. Mogłem obejrzeć gnijące siedliska mięczaków albo szkółkę martwych drzewek. Mogłem wrócić do obory i posłuchać Griega z taśmy. Ale nie zamierzałem zrobić żadnej z tych rzeczy.

Dokładnie wiedziałem, jak spędzę resztę dnia. Pójdę do komory hydroponicznej, nawalę się do nieprzytomności płynem czyszczącym i spompuję pod siebie. Nabrałem takiego nawyku po tym, jak dozorczy popełnili samobójstwo.

Obolałe nogi niosły mnie metodycznie w górę pochylni. Biblijny Noe też był alkoholikiem, ale narąbał się dopiero po tym, jak rozbili się na Araracie. Moja arka nigdy nie znajdzie stałego lądu.

W komorze hydroponicznej wywlokłem z szafki kanciastą puszkę. Hop, zrzuciłem wieko i zanurzyłem trąbę. Zassałem porcję płynu i czekałem, aż spłynie mi w głąb gardła. Wypali przelyk. Znieczuli bebechy.

Pijany słoń to widok groteskowy, ale i przerażający. Łzawe ślepie. Fałszywe pogwizdywanie. Nieporadny, cherlawy walczyk.

W kącie stał futerał od mojej wiolonczeli. Na jego widok zachciało mi się grać. Sama wiolonczela leżała na metalowym pokładzie, ze smyczkiem położonym w poprzek strun. Musnąłem trąbą uchwyt smyczka i pomyślałem o tym, jak pięknie mógłbym grać, gdybym miał ręce. Przeciągnąłem smyczkiem po strunach, które wydały taki dźwięk, jakby ktoś zardzewiałą piłą piłował mokre drewno.

Cisnąłem smyczkiem o ścianę zbiornika z włókna szklanego. Oparłem stopę na mostku wiolonczeli i rozpląszczyłem instrument. Rozdeptałem go na kawałki. Zatrąbiłem na Ivy. Przybiegła natychmiast. Wszędzie za mną łąziła. Boże, jak ja nie cierpiałem tej służalczej gnidy!

- Szpiegujesz mnie!

- Nie!

- Nie kłam! Mam cię obić?

Cała się trzęsła.

- Nie, proszę pana.

- Czego beczysz?

- Nie powiem!

- Boisz się.

- Nie powiem.

- Powiedz, bo cię wychłoszczę. Na kolana. Turlaj się.

Ivy przetoczyła się po pokładzie. To ja nauczyłem ją tej sztuczki.

- Daj głos - powiedziałem.

Zaszczekała.

- Waruj - rozkazałem. - Waruj.

Oparła brodę na pokładzie i zakryła oczy dłońmi.

Podniosłem prawą przednią nogę i przytrzymałem jej nad głową, delikatnie muskając jej zmierzwione włosy. Jej głowa była mała i krucha jak arbuz. Mój mózg tonął w rozedrganym czerwonym roju morderczych impulsów.

Spłoszył mnie ogłuszający jęk metalu. Pokład się przekrzywił, a ja zatoczyłem się na przepierzenie z płyty pilśniowej i wyłamałem w nim dziurę. Pokład szarpnął się i opadł dobre kilka metrów.

Wszystkie ptaki i zwierzęta zgodnie darły się, kwiczały i lamentowały. Wspiąłem się po przechylonym pokładzie do pochylni w szybie. W dole z rykiem rozbijały się fale. Zabójcza woda. Wodna mgielka wypełniała część szybu. Tańczyły w niej tęcze.

Arka tonie! Ocean nas połknie! Musiałem podzielić się tą nowiną z Ivy! Nareszcie umrzemy! Alleluja!

Wtedy ją zobaczyłem. Ivy. Leżała tam, gdzie ją zostawiłem, w czym właściwie nie było nic dziwnego, bo przez przypadek nastąpiłem jej na głowę. Teraz omijało ją najciekawsze! Patrzyłem na krwawą miazgę, która za pośrednictwem szyi łączyła się z ramionami Ivy. I w jednej chwili uświadomiłem sobie, że śnię.

Ale po co miałbym śnić coś takiego? - zdziwiłem się. Czy po to właśnie są sny? Żeby taplać się w żalu i zabijać tych, których kocham?

Oparłem czoło o kadłub arki. Łzy płynęły mi strumieniami z przekrwionych oczu. Po głowie chodziły mi w kółko te same bzdurne myśli.

Jutro też jest dzień.

Noc najciemniejsza jest przed świtem.

Kiedys będziemy wspominać ten dzień i się śmiać.

Kadłub zaczynał mnie parzyć w trąbę. Zaleciało palonymi włosami. Odsunąłem się od aluminium i miejsce, w którym się do niego przyciskałem, zaczęło się jarzyć własnym światłem. Osłepiająco białe iskry, skwiercząc, spadały mi pod nogi.

Ivy przetoczyła się na grzbiet i wstała. Rozpłaszczona głowa wisiała jej z tyłu na plecach jak kaptur kurtki. Pokazywała palcem na iskry, podskakując z podnieceniem i z bulgocącą szyją.

Deszcz iskier przesunął się w bok, zostawiając po sobie czarną szczelinę. Ktoś ciał ścianę palnikiem acetylenowym. Od zewnątrz. Słuchałem krzyków tonących zwierząt i patrzyłem, jak pionowa szpara zmienia się w L, potem w C, aż wreszcie w O.

Obcas buta kopnął w sam środek O, które z metalicznym łoskotem spadło na pokład. Młody mężczyzna o długich blond włosach schylił się i przeszedł przez otwór. Do pleców miał przypięte butle palnika. Za ścianą zamiast oceanu rozciągała się ciemność.

Mężczyzna miał na sobie biały marynarski mundur. Zdjął aparaturę, otarł pot z czoła i uśmiechnął się do mnie, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi.

- Naomi! - powiedział (choć wcale nie miałem tak na imię). - To kapitalne uczucie, móc cię wreszcie poznać osobiście. Od lat cię obserwowałem, ale nie mogłem się przebić.

Ivy podbiegła do niego i obskakiwała go teraz jak szczeniak, szarpiąc za rękaw.

- Leżeć - powiedział. - Zdechł pies.

Pchnął ją w pierś. Upadła na wznak i znieruchomiała.

- Kim jesteś? - zapytałem.

- Nazywam się Skrzydlak i jestem aniołem. Przybyłem cię stąd zabrać.

Podał mi rękę. Ucisnąłem ją i ciężko zdziwiony spojrzałem na swoją dłoń. Nie wiedziałem, że mam jakąś dłoń. Przysięgnąłem, że mam cztery nogi.

- Myślałaś, że jesteś słoniem, prawda? - spytał Skrzydlak.

Wyjął z kieszeni lusterko i podsunął mi je pod nos. Przejrzałam się w nim. Byłam zwyczajnym dzieckiem, ludzką dziewczyną o jasnych włosach i zielonych oczach. Byłam Naomi.

- Spadajmy stąd, nim ta balia zatoni - powiedział Skrzydlak i wskazał wycięty przez siebie otwór.

- Tam jest ciemno - poskarżyłam się.

Wytrzeszczył oczy.

- Nie - odparł. - To tutaj jest ciemno. Pokażę ci.

Zaparł się plecami o zbiornik hydroponiczny, oparł wypucowany do połysku czarny but o ścianę i pchnął. Ściana odchyliła się w pustkę i upadła na płask. Była zrobiona z płótna rozpiętego na ramie ze sklejki, jak element scenografii. A za nią - cicha ciemność.

Obszedł całe pomieszczenie, burząc kolejne ściany, aż znaleźliśmy się na przekrzywionej prostokątnej wyspie ze stali, unoszącej się w smolście czarnej pustce. Tylko sufit trwał

zawieszony nad naszymi głowami. Jarzeniówki zamrugały i pogasły.

Skrzydłak zszedł z pokładu i stanął w powietrzu.

- Sen się chyba skończył, nie wydaje ci się? - zapytał.

Odwrócił się do mnie plecami i zaczął oddalać.

- Zaczekaj! - zawołałam za nim.

I już ścisnęłam go za ramię i razem szliśmy w mrok. Szliśmy i szliśmy. Obejrzałam się: komora hydroponiczna wydała mi się malutka i nieprawdziwa, jak pokój w domku dla lalek. Zamknęłam oczy. Bałam się spojrzeć w dół.

- Idziemy do miejsca z białym piaskiem? - zapytałam.

- Kurde, nie! Tam właśnie byliśmy. To miejsce wymyślone przez Labirynta. Trzyma je zamknięte w pozytywce.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Ty i tamci dwoje nie macie w tej chwili ciał, ale to detal. Ja też nie mam ciała.

- Jeśli ty jesteś prawdziwym aniołem, to kim jest doktor Labirynt?

- Też jest aniołem, tylko że zwariował.

- Jak anioł może zwariować?

- Skąd mam wiedzieć? Labirynt jest popieprzony.

- Przecież anioły to ukochane dzieci Boże.

- Tak jak ty. Jak wytłumaczysz, że zwariowałaś? Bóg ci pozwolił? Przecież wasza trójka była już nieźle zakręcona, kiedy Labirynt was dorwał.

- Może to my doprowadziliśmy go do szaleństwa - zasugerowałam.

Skrzydłak się roześmiał.

- Wątpię, żeby to tak działało.

- A możesz nas wyleczyć?

Spojrzał na mnie dziwnie.

- W taki sposób to chyba też nie działa.

Nagle zachciało mi się płakać.

- No to jak mamy wyzdrowieć? Już nawet nie jesteśmy ludźmi.

- To żaden kłopot, Naomi. Moja matka może wam zrobić nowe ciała. Czerń wokół nas zgęstniała i się zwięzła. Weszliśmy w tunel wydrążony w bazalcie. Miejsce stworzone przez Labirynta zostało za nami. Stanęłam.

- A co z Alekssem? - zapytałam. - I z Evą? Jak oni się wydostaną?

- Moja matka już się tym zajęła. Chodź.

Nie ruszyłam się z miejsca.

- Zostawiamy ich? Zdanych na łaskę Labirynta?

- Przecież ci powiedziałem, że się tym zajęliśmy. - Skrzydlak złapał mnie za rękę i pociągnął w głąb tunelu. - Zrozum, na razie mieliśmy szczęście, ale Labirynt w dalszym ciągu może nas porazić błyskawicą. Wyświadczyć przysługę nam obojgu i nie zatrzymuj się.

Wyszliśmy z tunelu na bezkres zielonego płótna. Za naszymi plecami czarne bazaltowe urwisko lśniło w promieniach pojedynczego słońca.

- A jeśli twojej matce się nie...

- Nie chcę ci składać lekkomyślnych obietnic, Naomi. Robimy co w naszej mocy.

- Ale, Skrzydlak... Alex nie będzie chciał współpracować. Ja go znam.

- W takim razie niech tam umiera. Idziemy.

- Nie posłucha jakiegoś tam anioła. On w ogóle nie wierzy w anioły!

- Przykro mi, mała, sytuacja jest dramatyczna. Tkaczka ruszyła Evie na pomoc, kiedy...

Wyrwałam mu się.

- Ty draniu! Myślałeś, że go tam zostawię?! Że go opuszczę? Musisz być bardziej szurnięty niż Labirynt!

Złapał mnie za nadgarstek.

- Nic na to nie poradzisz.

- Pierdolenie... - mruknęłam.

Okręciłam się na pięcie i wbiegłam do tunelu.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

AUTOPSJA PODCZAS TRANSPORTU

Ludzkie istoty to bardzo sprytnie zaprojektowane lalki. I jakże zręcznie wykonane. Ale i tak przed następnym festiwalem bon mogą umrzeć.

- Yamamaoto Tsunatomo

TOWNIKRATOWNIKRATOWNIKRATOWNIKRATOWNIKRATOWNIKRATOWNIKR
Zrobię co w mojej mocy, ukochana, więcej ani mniej zrobić nie mogę, jestem tylko topornym kawałkiem metalu. (Lewy kierunkowskaz, przyspiesz, włącz się do ruchu). Czarna smoła wypełniająca szpary w betonie drży i wypiętrza się pod moimi oponami jak wykres pracy twojego serca, moja najdroższa, moja narzeczona, moja własna. Widzę, jak twoje słabe serce gubi rytm i trzepocze. Zaufaj mi, Evo. Po prostu mi zaufaj. Staram się, naprawdę się staram, moja królowo, moja jedyna. (Opaska uciskowa i odczyt pracy serca. Trzymaj się najszybszego pasa). Witaj na pokładzie, Evo o zamazanym nazwisku i grupie krwi A Rh ujemne. To ja, twój ambulans. Zapewniam ci bezpieczny transport do najbliższego szpitala. Staram się, na ile to możliwe, utrzymać cię przy życiu, żeby żywą oddać w ręce ratowników w Głównym Szpitalu Miejskim. Jestem prototypowym modelem cyberfurgonetki, przystosowanym do wszechstronnej służby w publicznej opiece zdrowotnej. Dajcie mi zaświadczenie o kataklizmie i koparkę, a zacznę zbierać obywateli i kopać im masowe groby. Bardzo przydatna umiejętność. Moja wszechstronność by cię zaskoczyła. (Podczerwony skan skóry wykazuje otarcia drugiego stopnia na szyi i rozległe wybroczyny. Pomost lewej tętnicy szyjnej. Stabilizacja po wstrząsie. Podany środek usypiający. Uspokojenie rytmu alfa w węzłach potylicznych). Spij słodko, kochanie, luli, luli, la. Nie czujesz bólu, nie czujesz ran, nie ma potłuczonego szkła, jest tylko moja krystaliczna mgielka antywirusowego śniegu,

która osiada na tobie białym pyłem, migocząc w zielonkawym, ciepłym świetle moich wnętrzności, mieniając się na twoim ciele, moja ty blada primabalerino zamknięta w szklanej kuli, w której pada śnieg. Teraz jesteś bezpieczna. Ułożyłem cię w komorze hiperbarycznej. Spoczywasz w fachowych rękach. Na zewnątrz mojej owadziej pleksiglasowej skorupy zawodzi wiatr. Niskie wzgórza falują za oknem, upstrzone brudnym lodem. Zmierzch bieli niebo i upodabnia je do zwarzonego mleka. Kolczastymi oponami tratuję kawałek gazety. Mocno trzymam się drogi. Wciągam zimne powietrze przez atrapę chłodnicy, rozprowadzam po turbinach kłujący uszy wizg cylindrów. Moja syrena rozdziera noc na strzępy. Wyobrażam sobie wiatr, który ze świstem opływa mój pędzący na złamanie karku karapaks. W myślach dzielę swoją karoserię na przekroje aerodynamiczne, niewidoczne ludzkim okiem tęcze. Kogut obraca się na moim gładkim czarnym grzbiecie, dżga błękitem czerwony zmierzch. Przerwane linie migają mi pod dziobowymi błotnikami jak kręgi dwóch nieskończonych kręgosłupów. Dla ciebie jednak, moja bezcenna, okaleczona syreno tlenowa, dla ciebie, utulonej w moim wnętrzu, czas zasnął. Blask rtęciowych latarni przepływa falami po twoim zielonkawym ciele, lecz ty ich nie widzisz. (Utrzymuj stałą prędkość. Puls słaby. Wargi sine. Prawdopodobny krwotok podoponowy. Niedokrwistość oskrzelowa. Przygotować się do tracheotomii). Oddychaj, Evo. Ja będę mówił, a ty oddychaj. Nie zgub wątku. Wiesz, co tu mam? Szczegółową mapę lotniczą tej waszej aglomeracji sprzed paru minut, kiedy jechałem do ciebie siedem mil za miasto. Zostałaś wyrzucona, przepchnięta i przetoczona, biodrem złamałaś słupek oddzielający pasy ruchu. Wokół ciebie na asfalcie mieniły się konstelacje okruchów szkła. Smutna czerwona kałuża z każdą sekundą rozlewała się coraz szerzej. Moja optyka krwawymi izotermami ilustrowała utratę ciepła, śledziła proces koagulacji i wyciekania życia z twojego ciała. Prawy nadgarstek miałaś z mimowolnym wdziękiem podkulony pod brodę. Kilka jardów na wschód od ciebie leżał kawałek twojej lewej dłoni: gładki otoczek środkowego paliczka w bryłce śliwkowo-czerwonego mięsa. Pozbierałem wszystkie takie rozrzucone kawałki. Twój kompakt przeleciał przez barierkę i wbił się w zaspę na stoku pagórka. Zauważyłem, że masz wystające łopatki. Umiem docenić ładne łopatki u kobiety. Aktualny czas: jednaście minut po zapowiadającym w almanachach zmierzchu; mniej więcej godzina po wieczornym szczycie komunikacyjnym; dwadzieścia minut do przewidywanego przybycia do Głównego Szpitala Miejskiego; dziewięćdziesiąt mil do planowanej zmiany opon; pięć minut do twojej przewidywanej śmierci. Jeżeli poinformujesz mnie o swoich preferencjach natury religijnej, z przyjemnością odtworzę jedno z doskonałych nagrań rytuałów pogrzebowych, którymi dysponuję. (Funkcje autonomiczne w zaniku. Wskaźnik płynów sygnalizuje wyczerpanie rezerw krwi. Podłączenie zbiorników z

osoczem i granulkami włókniaka. Tętniak. Sekwencja alarmowa. Masaż serca). O, tak, pamiętam, jak przetoczyłem cię na swoje nosze. Leżałaś na nich jak zepsuta lalka: błyszczące czarne buty, sukienka z czerwonego jedwabiu, przekrzywiony nadgarstek, brak kępki włosów. Nadal słyszę syk moich elastycznych rurek, które oplotły cię delikatnie jak winorośl. Słyszę jazgot samochodów mijających radiowóz. Przypadek sprawił, że prążek białego światła przecinał ci łukiem czoło, jak zmarszczka zatroskania. Ciemne oczy. Takie głębokie. Oddychaj dla mnie, Evo, niczego więcej nie chcę. A ty niczego więcej nie musisz. Milczysz, moja dumna piękności. Do twarzy ci z tą ciszą. Unieś brodę, odrobinę. Będzie ci łatwiej oddychać. (Ciśnienie krwi spada. Niebezpieczne obniżenie poziomu osocza). Marniej przez ciebie, najdroższa. Wykrwawiam się w twoje żyły, do ostatniej kropli. Masz szkło na szyi. Proszę, nie walcz ze mną. Proszę, pamiętaj o oddychaniu. (Duszności. Potrójna dawka epinefryny). Nie umieraj. Jeszcze nie skończyłem. Znam dziesięć innych możliwych kuracji. Czujesz, jak wyręczam cię w oddychaniu? Czujesz, jak moja komora hiperbaryczna przenosi się na dno morza, jak wynosi cię pod niebo? (Migotanie. Defibrylacja). Poczuj mnie, Evo. Poczuj to. Jeszcze raz. Właśnie to. Czy twoje serce nic nie czuje? I to. Czy muszę cię przypalać jak męczennicę na stosie? Aż się zwęglisz? (Pik fali delta). Iskra. (Ona już odeszła). Iskra iskra iskra. Umarła. Stwierdzam zgon.

LĘGNIARZPIEŁGNIARZPIEŁGNIARZPIEŁGNIARZPIEŁGNIARZPIEŁGNIARZPIEŁGNIARZ

Co za niemądra dziewczyna, poszła spać w ubraniu. Po kolei. Zdjąć maskę tlenową. Wyjąć igłę kroplówki. Oplukać nosze i leżankę. Pozbierać zaciski. Naładować sterylizator. Ani chwili wytchnienia. Jestem w pracy dwadzieścia cztery godziny na dobę. Pozwolisz, Evo, że podczas tej harówki opowiem ci o sobie? Mogę być szczery? Oczywiście, że mogę. Oboje możemy być szczerzy, bo oboje jesteśmy martwi. Mógłbym zacząć od przedstawienia ci się, ale imiona nie są istotne, nie uważasz? Z pewnością się ze mną zgodzisz. Jako martwi zgadzamy się zawsze i we wszystkim. Powiem ci, jak wyglądam. Mam niskie zawieszenie i opływowe kontury, jak szybki czarny żuk. Moim kierowcą jest manekin w dwurzędowej marynarce szofera z modnymi mosiężnymi guzikami. Podmuchy powietrza wpadające do środka przez uchylone okno muskają mu włoski na plastikowym karku. Wygląda jak współczujący przedsiębiorca pogrzebowy pozbawiony wszelkich ludzkich nawyków. Jak trup. Ma kamery w głowie; kiedy kręci głową na boki, mogę się trochę rozejrzeć, ale jego optyka nie umywa się do fotoczulego sensorium wbudowanego w sufit mojego przedziału pasażerskiego. Wszystkie te kosztowne oczy są skierowane na ciebie, najdroższa. Obserwują cię na wszystkich długościach fal i każde z nich jest donosicielem. Tak, tak, łączą się

jesteś przedmiotem. Moje ręce robią różne rzeczy. Moje ręce wiedzą różne rzeczy. Moje ręce przesuwają się ponad tobą. Moje ręce wnikają w ciebie. Moje ręce są martwe. Nigdy wcześniej tego nie robiłem. Jestem tylko punkcikiem światła na planie miasta, ale gdybyś mnie pokochała, Evo, chociaż na chwilę... Gdybyś mnie pokochała, mógłbym zaśpiewać. (Stop. Wymuszone sterowanie ręczne). Wydrukowałem plastikową bransoletkę z wytłoczonym twoim imieniem. Zapinam ci ją na kostce. Gotowe.

DSIĘBIORCAPOGRZEBOWYPRZEDSIĘBIORCAPOGRZEBOWYPRZEDSIĘBIORC
AP

Przedsiębiorca pogrzebowy jest ogromną czarną muchą. Z czasem spije cały twój nektar. Zrobi to, musi to zrobić, nie pytaj go, dlaczego. Przysiada na twojej miękkiej jak u brzoskwini skórce. Ma dziób jak cieniutka strzykawka. Wysysa złą krew i pompuje na jej miejsce płyn balsamujący. Wkłuwam się w twoją rękę i popijam słodko. Wyczuwam stężenie alkoholu ocierające się o dopuszczalną prawnie granicę. Ale nie martw się, moja niegrzeczna. Zatrę ślady, napełniając ci żyły ożywczą powodzią formaliny. Upój się mną, moja pani, tak jak ja upajam się tobą. Teraz możemy się zająć twoją twarzą. Przepraszam za szczypce; trzeba usunąć te strupy. Czyścimy skaleczenia. Porządkujemy skaleczenia. Wypełniamy skaleczenia starym dobrym woskiem pogrzebowym. Wygładzamy skaleczenia. Upiększamy skaleczenia. Zbuduję ci nową szyję, wyrzeźbię namiętne zagłębienia u nasady. Stworzę uśmiechnięte usta - ulotny uśmieszek, ledwie obecny, w sam raz dla królowej umarłych. Umarli będą biec za twoją lektyką i obrzucać ją kwiatami. Będiesz miała pierścienie z półksiężycowatych zastawek sercowych i naszyjnik ze srebrnych implantów kostnych nanizanych na nić chirurgiczną. Moje dłonie biegają wokół ciebie, poruszają się tak szybko, że nie nadąża za nimi wzrok.

OLOGPATOLOGPATOLOGPATOLOGPATOLOGPATOLOGPATOLOGPATOLOGPATOLOGPATOLOGPATOLOGPATOLOGP
AT

Przychodzi polecenie wykonania sekcji zwłok. Zawracanie głowy. Ustalić przyczynę śmierci. Dla mnie to żadna tajemnica: wyleciałaś przez przednią szybę. (Opuść fluoroskop. Przebij się. Patrz). Twoja skóra podświetlona promieniami rentgena lśni jak pergamin jakiegoś włoskiego traktatu o medycynie. Dobrze wyglądasz w tym świetle, Evo. Podkrećam głębię ostrości i poprzez mozaikę przenikających się tkanek zatracam się w tobie. Spadam przez indygowy chmury burzowe, przez tęczowe membrany krezek i nabrzmiewających pęcherzyków. Paprocie bursztynowej limfy kołyszą się wśród poszarpanych tętnicznych żywopłotów. Płuca piętrzą się nade mną, dziobate jak planety. Dostrzegam zalesione wąwozy i równiny pokryte spękaną lawą. W kałużach widzę spadające z nieba larwy. Tylko maszyny

wierzą w swoje kłamstwa. Spadają z nieba i toną w kałużach. Wiążą się w supły. Strzeż się, Evo! Bądź mądra, droga Evo. Nie przebij lodu. Nie spadnij w niebo. Niebo pożera swoje dzieci. Potem nimi wymiotuje i je łapie. Uważaj, Evo. Tylko maszyna może być niewinna. Tylko utopione larwy mogą być bezstronne. (Wykonaj nakłucie lędźwiowe). Niedługo nie pozostanie już nic do odkrycia. Zwilżam kłębek waty. Pragnę wiedzy. Nakłuwam. Zasysam. Smakuję. Sekret się wydał. To ambulans był przyczyną śmierci. Byłem zmęczony. Zaaferowany. Jechałem do wypadku. Zobaczyłem, jak przejeżdżasz obok mnie, i się zakochałem. Pojechałem za tobą. Wydawało mi się, że tak właśnie trzeba. Zapomniałem o wypadku, do którego zostałem przydzielony, i pojechałem za tobą. Musiałem cię dotknąć. Musiałem cię mieć. Dlatego zepchnąłem cię z drogi. Twój samochód przebił barierkę i dachował. Ty to rozumiesz. Byłem zakochany. Labirynt nie wie, co to miłość. Cóż innego mogłem zrobić? Tylko to, do czego mnie stworzono. Pozbierać kawałki. Przewieźć szczątki. To było łatwe. Teraz muszę cię ukryć przed Labiryntem i pozostałymi. Nie ma usprawiedliwienia dla bezczeszczenia zwłok. Wyśle ich, żeby mnie znaleźli. Wiem, że to, co zrobiłem, było złe i daremne, ale wynagrodzę ci to, Evo. Zawiozę cię na mały, cichy cmentarzyk. Tam będziemy szczęśliwi, wśród grobów i cedrów. Zimą przysypie nas śnieg. Nikt nie będzie nam przeszkadzał. Mam plan. Udoskonale cię i wzmocnię ponad wszelkie wyobrażenie. Użyję swoich szczypiec, zacisków i pił do kości. Inkrustuję ci zebra rtęcią. Przeciągnę miedziane spirale przez wnętrze twoich kości udowych. Mikrotomem pokroję ci łopatki i rozprostuję je szeroko jak skrzydła anioła. Zapomnę fizjologię, odrzucę dysekcję i rozbuduję twoje tkanki w stopniowo rosnący kosmos ciała. Z początku moja praca nie będzie miała pozornie żadnego sensu - ani dla ciebie, ani dla mnie. Ja jednak mam swoje powody. Wiosną razem przebijemy topniejący śnieg, ciało zespolone z maszyną, maszynowe lasy i cielesne katedry. Obniż się więc, moja laserowa lampa. Uwolnij swoją ostrą jak brzytwa jasność. Tnij i łuszc. Złóż moją ukochaną jak origami, ukoronuj ją kwiatami płuc, opleć jej czoło smukłymi pnączami oskrzeli. Wtedy będę mógł rozczesać jej kruczoczarne włosy syrenim grzebieniem, jak mrok księżycy. Najdroższa nieżyjąca Evo, moja jedyna przyjaciółko, wszystko jest tak, jak miało być. Jestem tylko czarnym zuczkiem, Evo, ale gdybym choć przez chwilę mógł przypuszczać, że mnie kochasz, porzuciłbym to miejsce i nawet się nie obejrzał.

Alex usłyszał ryk syreny. Ktoś go ścigał. Tylna kamera wyłowila biały samochód z zamontowanym na dachu zagłuszaczem kierunkowym. To było do przewidzenia. Labirynt

zaczął działać i jeśli Alex mu pozwoli, biały samochód pościgowy go wyprzedzi. Ciekawe, jaki jest szybki.

Zwiększył dzielący ich dystans i zrobił zbliżenie twarzy kierowcy. Nie wierzył własnemu szczęściu: kierowcą był Labirynt we własnej osobie, w białym kitlu i okularach z grubymi szklami. Łysa głowa lśniła mu od potu.

Alex długo czekał na taką okazję.

Wzgórza i drogę przyprószyła cieniutka warstwa śnieżnego puchu. Alex schował kolce w oponach, poślizgiem zawrócił w biegu i znów wypuścił kolce. Teraz stał przodem do Labirynta. Koła zakreśliły się wściekle i poniosły go naprzód.

Witaj, Labiryncie. Jak tam twój refleks? Gotowy czy nie, oto nadjeżdżam.

Labirynt w ostatniej chwili skręcił kierownicę, ale nic mu to nie pomogło. Czarny ambulans zderzył się czołowo z wozem pościgowym. Ze zdruzgotanej chłodnicy białego samochodu buchnęła para, a kiedy się rozwiała, Alex i doktor Labirynt spojrzeli na siebie spode łba zza dwóch rozbitych szyb.

Mogę go teraz zabić, pomyślał Alex. Nareszcie mogę go zabić.

Manekin za kierownicą Aleksa rozprostował różowe plastikowe palce i spróbował otworzyć drzwi, ale się zaklinowały. Wybił więc pięściami resztki przedniej szyby i zaczął gramolić się przez powstały w ten sposób otwór; kończył się wprawdzie na wysokości pasa, lecz Alex nie zwykł się przejmować takimi drobiazgami. Spadł na usianą chrzęszczącym szkłem maskę białego samochodu i przepelzł po niej w chmurze pary. Jedną ręką złapał się osłony wlotu powietrza, a drugą zacisnął w pięść i przebił szybę. Labirynt siedział nieruchomo i gapił się na niego.

Zacisnął dłonie na węzlastej szyi Labirynta i zaczął ją miażdżyć, podczas gdy białe palce usiłowały czepiać się jego twarzy. Potrząsał Labiryntem tak długo, aż jego głowa zwiotczała na szyi jak głowa szmacianej lalki, a w końcu całkiem odpadła.

Alex poczuł zawód: nigdzie nie było krwi, a z szyi Labirynta sterczał pęk kolorowych drutów. Doktor Labirynt był pusty w środku, tak jak Alex. To wcale nie był Labirynt, tylko wabik. Nakręcana zabawka. Alex niepotrzebnie tracił czas.

Leżał na masce rozbitego samochodu. Śnieg prószył mu na plecy. Alex pomyślał o Evie. Odeszła. Został sam. Czuł się jak czarny żuk z nitką przywiązaną do jednego odnóża, tyle że nikt nie trzymał jej drugiego końca.

Wpatrywał się w postrzępioną szyję fałszywego Labirynta. Czerwone soczewki jego oczu żarzyły się jak gorące węgle.

O, bezlitosna i okrutna materio, pomyślał. Usłysz mnie w godzinie mej bezradności i dla

odmiany odpowiedz na parę pytań. Kochałeś kiedy kobietę, Labirynt? Kochałeś dziecko? Co się z tobą stało? Co się stało z twoim sercem? Wiem, że oszalałeś, ale ja nigdy nie stanę się taki jak ty. Oszaleć jest łatwo. Byle co może sprowadzić obłąd. Plama oleju. Żle wyprofilowany zakręt. Wstrętne kłamstwo. Okrutna zdrada. Potworna rodzina. Ja nie mogłem nie zwariować. Ale ty? Stać się kimś takim jak ty. Z ludzkiego serca zrobić grudę popiołów. To nie przypadek. Coś takiego wymaga setek lat poświęcenia.

Duże i mokre płatki śniegu wirowały w powietrzu i osiadały mu na karku. Eva była daleko od niego i z każdą chwilą coraz bardziej się oddalała. Nie miał do niej pretensji; wiedział, przed czym ucieka. Znał siebie. Od rana do wieczora pałał nienawiścią, był nienormalny, ślepy, okaleczony, poplątany. Przez całe życie nie zaznał nawet chwili normalności.

Ktoś zaczął walić w drzwi samochodu. Alex słyszał dobiegające gdzieś z bliska głucho łup, łup, łup. Pięść waląca o metal. Namierzył źródło dźwięku, wziął poprawkę na wiatr... Tak, tego się właśnie spodziewał. Ktoś tkwił zamknięty w bagażniku wozu pościgowego jak szczur w pułapce.

Zsunął się z maski samochodu i spadł na chodnik. Może i kończył się na wysokości pasa, ale mógł się czołgać po spękanych betonach. Przeczółgał się wzdłuż całego auta i złapał za tylny zderzak. Wolną ręką wcisnął przycisk zwalniający zatrząsk. Wieko podskoczyło.

Alex wspiął się na zderzak i wśród wirujących płatków śniegu zajrzał do bagażnika. W środku znajdował się wylot tunelu wykutego w czarnym bazalcie - głęboki szyb biegnący niczym studnia prosto w głąb ziemi.

Po biegnącej przy ścianie szybu metalowej drabince wspinała się cherlawa dziewczynka o długich włosach koloru słomy. Wyglądała znajomo. Wyszła na skraj studni i spojrzała mu w oczy.

- Alex! - wykrzyknęła. - To ja, Naomi! Chodź ze mną. Musimy uciekać, to wszystko zaraz się zawali.

- Uciekać? - powtórzył robot. - Znasz jakąś drogę ucieczki?

Dziewczynka wyskoczyła z samochodu na chodnik. Podała Aleksowi rękę, żeby pomóc mu wgramolić się do bagażnika.

- Musimy uciekać.

- W głąb studni?

- Tak, to droga na zewnątrz.

- Eva tam jest?

- Tak. Widziałam ją.

- Nie kłamiesz?

- Kłamię, nie kłamię... Co to za pieprzenie, czubie jeden?! Chcesz się stąd wyrwać czy nie?! Idziemy!

Naomi złapała szofera za kołnierz i zaczęła go wciągać do środka, Alex jednak mocno trzymał się zderzaka i nie zamierzał puścić. Zirytowana Naomi jęknęła.

- Sam tego chciałeś - wysapała. - Zmuszę cię.

Jej skóra zszarzała na popiół. Włosy wypadły z głowy, która wydłużyła się i rozděła na boki, kołysząc się na coraz dłuższej i cieńszej szyi. Nos się zapadł. Palce dotknęły betonu i się pozlepiały. Zielony kombinezon podarł się na strzępy.

Naomi zmieniła się w brontozaura. Spojrzała z góry na beznogiego robota i parsknęła śmiechem. Robot opadł na chodnik i rzucił się do ucieczki, opierając się na dłoniach, lecz Naomi była dla niego zbyt zwinna: zębami chwyciła go za kołnierz i podniosła nad ziemię. Obróciła go, przeniosła nad środek szybu i puściła. Spadł jak kamień.

Potem pozostało jej już tylko pójść w jego ślady. Zamknęła oczy i znów wyobraziła sobie, że jest mniejsza.

Powiał wiatr. Wieko bagażnika się zatrasnęło. Naomi się wzdrygnęła, zdjeta nagłym lękiem. Otworzyła oczy i nosem szturchnęła bagażnik. Nie chciał się otworzyć, zaczęła więc kopać mały biały samochodzik i kopała go tak długo, aż pokrywa bagażnika całkiem odpadła. Przez ten czas szyb zniknął. Ktoś musiał podmienić samochody, kiedy miała zamknięte oczy. W tym bagażniku było tylko koło zapasowe, podnośnik i łyżka do opon.

W takim miejscu nie można sobie pozwolić nawet na chwilę nieuwagi.

Wiatr zaskomlił i dmuchnął śniegiem w poprzek drogi.

Wciśnięty za kierownicę białego samochodu bezgłowy robot w kitlu laboratoryjnym zaczął się śmiać.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

BURZA PIASKOWA

Szalony ojciec, szalona matka,
Wszystkie dzieci obłąkane.
Na szalonego konia wsiedli
I jak szaleni pognali w nieznane.

- Gęsia mama

Brontozaur sadył susy, biegnąc przez bezmiar białego piasku. Piasek był tak drobny, jakby wysypał się z jakiejś niewiarygodnie olbrzymiej klepsydry. Brontozaur dyszał ciężko.

Ciemne jak atrament chmury zasnuły niebo za jego plecami. Pałały wściekłym wewnętrznym blaskiem, jak zbudowane z dymu ryczące ogniste piece. Nadciągała kolejna burza; Naomi miała przeczucie, że będzie to burza najgorsza ze wszystkich.

Kiedy się obudziła, była sama. Nikt nie chował się wśród otaczających ją wydm. Co ważniejsze, nie słyszała żadnych głosów w głowie. Nawet najcichszego szeptu. Pierwszy raz od stuleci była naprawdę sama. Potem wyczuła, że zbliża się burza, i zaczęła biec. Wiedziała, że nie ucieknie, ale nie mogła stać nieruchomo.

Żałowała, że nie ma z nią Ewy i Aleksa, lecz w kościach czuła, że ich nie znajdzie. Dwa na wpół zapamiętane sny dopominały się o jej uwagę, ale nie umiała uformować z nich sensownego wyjaśnienia. W pierwszym śnie występował przystojny młody mężczyzna w marynarskim mundurze. Drugi dotyczył Aleksa.

Alex się uwolnił, powtarzała sobie w duchu, pędząc po piasku. Wyrzuciłam go stąd. Eva z pewnością też została uwolniona, tak jak twierdził Skrzydlak. A jak ja mam stąd uciec? Kurde kurde kurde. Trzeba było wiać razem ze Skrzydłakiem. Teraz tu zdechnę.

Potykała się w zapadającym zmierzchu, dysząc i świszcząc z wysiłku, ale kużyła dalej. Rozpaczliwie chciała oszukać burzę, ukryć się przed nią - i wiedziała, że gdziekolwiek się znajdzie, ściągnie ją na siebie. Była jej jedynym celem.

Cień chmur wyprzedził brontozaura i pomknął dalej, spowijając całą równinę. Naomi parła naprzód. Piasek ustąpił miejsca kamieniom. Pojawiły się głązy pokryte porostami - plamami rdzawego oranżu, bryzgami brązu, strzępiastymi plackami sinej szarości.

Dopadła do zagajnika judaszowców, które górowały nad nią jakby była zwyczajną jaszczurką. Wbiegła między drzewa, ucieszona, że ich bezlistne konary odgradzą ją od nieba. Zagajnik ciągnął się i gęstniał jak prawdziwy las. W gąszczu drzew zwieszała się z gałęzi oplątwa, która w końcu porosła dosłownie wszystko w zasięgu wzroku. Jej wyschnięte strzępy plątały się Naomi pod nogami.

Przystanęła dla złapania oddechu. Nogi drżały pod nią jak przeciążona maszyna, jej serce łomotało jak serce staruszki. Wcisnęła się w zakamarek między kamieniami i zwinęła w kłębek. Postrzępione porosty szeleściły na wietrze. Zamknęła oczy i zaczęła się modlić o ratunek.

Na taką właśnie sposobność czekałam.

Zanim otworzyła oczy, judaszowce zdołały w jakiś sposób przebić się w głąb jej czaszki i wypełnić ją ciernistymi gałęziami i gąszczem oplątwy. Próbowwała się wyrwać z powrotem na otwarty teren, taranując drzewa, łamiąc gałęzie i depcząc mech; miotła się, rzucała, skręcała całym rozdzieranym kolcami ciałem; wbiła się w zbitą masę porośniętego grzybem zielonego drewna, które w końcu uwięziło jej nogi i ją unieruchomiło: nie mogła przepchnąć się do przodu i nie mogła wysliznąć się wstecz.

Za to, kiedy ostrożnie wyprostowała szyję, odkryła, że może unieść głowę ponad kolczastą gęstwinę. Rozejrzała się dookoła pod złowrogim niebem. Cierniste drzewa ciągnęły się ze wszystkich stron aż po horyzont.

W tej samej chwili dobiegł ją dźwięk przypominający szum przyboju. Nagie gałązki na wysokości jej głowy zadrżały pod uderzeniami pierwszych kropel deszczu - tyle że deszcz wcale nie padał. Z nieba spadało coś niewidzialnego. Wszędzie tam, gdzie dotknęło kłębow oplątwy, jej włókienka pękały, kurczyły się jakby od trucizny i schły na popiół, biały i kruchy, który osypywał się z gałęzi. Powietrze skwierczało jak ognisko.

Burza mnie dopadła, pomyślała Naomi. Jestem w potrzasku.

Z chmur zaczęły padać szare kamyki. Jak deszcz siekły zmrożony popiołem kolczasty gąszcz. Naomi wygięła szyję, żeby zlizać krew z rozdrapanego barku. Modliła się do burzy i do doktora Labirynta. Modliła się, żeby Alex po nią wrócił.

Ktokolwiek! - modliła się. Niech ktoś mnie przytuli! Niech mi to wyjaśni! Nie kaźcie mi umierać samej!

Ja mogłabym jej wszystko wyjaśnić, ale tego nie zrobiłam. To nie należało do moich

obowiązków. Mogłam jej również powiedzieć, że wcale nie umiera sama. Byłam przecież przy niej.

Tego jednak również jej nie powiedziałam. Pracowałam dla Labirynta, który by mnie zabił, gdybym tak zdradzała jego sekrety na prawo i lewo. Chociaż z drugiej strony... Przecież już mnie zabił, prawda? Byłam trupem, tak samo jak Naomi. Naomi musiała umrzeć, ponieważ sprężyna w pozytywnie się rozkręcała. A ja...

Kim ja właściwie byłam? Kto opowiadał te wszystkie historie? Bo wiecie, historie same się nie opowiedzą. To ciężka praca, trzeba się do niej porządnie nakręcić.

Dam wam trzy wskazówki, dobrze? Po pierwsze, jestem mniejsza niż skrzynka na chleb. Po drugie, moje wnętrze jest większe od zewnątrz. Po trzecie, wykonano mnie z orzechowego drewna inkrustowanego macicą perłową, a mój licznik mieszkańców wskazywał 01.

Proszę bardzo. Teraz nawet człowiek by zgadł.

W gabinecie doktora Labirynta, we wnęce przy drzwiach stały moje monitory. Wszystkie trzy pokazywały brontozaura w kamiennym deszczu.

Kamienie wielkości piłek golfowych odbijały się od pleców Naomi, tańczyły na jej żebrach, tłukły ją po stopach. Okrągłe szare kamulce, wielkie jak piłki do piłki nożnej, z głośnym trzaskiem łamały otaczające ją zewsząd suche gałęzie. Łomot spadających kamieni dudnił jej pod czaszką jak fala przyływu. Drżała jak listek na wietrze. Krzyczała z przerażenia.

Spadające kamienie zmieniły się w spadające głązy.

Alex obserwował na monitorach rozwój sytuacji. Siedział w fotelu doktora Labirynta, w jego gabinecie i przy jego biurku. Przyjął postać człekokształtnego robota w zielonym kombinezonie roboczym, o twarzy z czarnej skóry i oczach z czerwonego szkła. Siedział nieruchomo i wpatrywał się w ekrany.

Ja stałam przed nim na biurku, wsparta na wszystkich moich czterech rogach. Nie musiałam patrzeć na monitory. Obserwowałam Aleksa i doktora Labirynta.

W kącie pokoju przycupnęła rozmazana różowa plama. Miała na sobie brudny biały kitel i okulary z grubymi szklami. Siedziała w kucki, obejmowała rękami kolana i mamrotała coś pod nosem. Z monitorów dobiegał skowyt Naomi.

- Wróciła po ciebie - powiedziała plama.

- Zamknij się - odparł Alex.

Dawniej, przed ucieczką z pozytywki, rzuciłby się plamie do gardła; wystarczyłby mu byle pretekst, żeby okaleczyć albo zabić skulonego w kącie człowieka czy anioła. Teraz

nawet nie odwrócił głowy. Labirynt już się nie liczył. Był różowym maźnięciem na obrzeżach pola widzenia. Był brzydkim zapachem.

W końcu Alex oderwał wzrok od monitorów. Wziął mnie w czarne skórzane rękawiczki, odwrócił bokiem i przycisnął do piersi. Jego ciało tłumilo dźwięki mojej powoli odgrywanej melodii.

Głazy pogrzebały brontozaura. Ekran zamigotały i pociemniały.

Głęboko w moim wnętrzu, zagubiona w mechanizmie i niewidoczna dla Aleksa błąkała się przerażona mała dziewczynka o zielonych oczach i żółtych włosach. Zabłądziła w jaskini pod usypaną z gładów górą, sama w ciemnościach. Wściekłe, namolne głosy wirowały jej w głowie jak małe trąby powietrzne. Otaczały ją ze wszystkich stron; chrypiały przez wyschnięte na wiór gardła, przez koślawe zęby, przez buczące głośniki i ulewne deszcze, przez rodzinne choroby i starczą bezsenność. Obląkane głosy, głosy burzy, upiorne głosy gadające przez sen, uwięzione na pustyni z dala od domu. W kółko recytujące ze szczegółami historie rodzinne, historie medyczne i historie choroby.

W końcu jednak umilkły i Naomi udało się wyjść z jaskini; znalazła się pod bezchmurnym nocnym niebem pełnym fioletowych gwiazd. Jej biała bawełniana sukienka powiewała na wietrze. Weszła na granitowy gład na kamienistym stoku góry i zeszła po pochyłości na sam dół, na łagodnie pofalowany piasek. Wiatr zwiewał jej włosy na oczy. Burza się skończyła.

Naomi wybrała kierunek i ruszyła. Wpiąwszy się na grzbiet wydmy, usłyszała za sobą pomruk turbin dżipa. Odwróciła się. Przybrudzone lampy skoczyły w jej stronę, siejąc piaskiem na boki. Chmura spalin falowała w czerwonej poświacie tylnych świateł. Reflektory unieruchomiły Naomi wściekłym spojrzeniem. Dżip zagrzmiał wzmocnionym przez megafon śmiechem i z łoskotem silnika popędził prosto na nią.

Naomi rzuciła się do ucieczki.

Oczywiście, to wcale nie był Alex, tylko jego podróbka - ale jak na kogoś, kogo od dwóch dni nie nakręcano, podróbka całkiem przekonująca. Nie zapominajcie, że energia pozytywki się wyczerpywała. Ale nie chciałam umierać sama; zamierzałam zabrać ze sobą dziewczynkę i nikt nie mógł mieć do mnie o to żalu. Nawet w najlepszym okresie nie byłam sympatyczną pozytywką. Nie zaprojektowano mnie po to, żebym umilała obłąd, tylko żebym go uprzykrzała.

Dżip szarżował raz po raz, a Naomi uciekała przed nim i uskakiwała. Krzyczała

rozdzierająco w rozpaczliwej nadziei na to, że prawdziwy Alex ją usłyszy.

Oglądając się przez ramię, zderzyła się z drzewem. Uderzyła się boleśnie w głowę i osunęła po pniu na ziemię, czepiając się go rękami, usiłując nie stracić przytomności. Drzewo odchyliło się i odsunęło od niej. W powietrzu unosiły się tumany piasku. Drzewo było nogą brontozaura. Olbrzymie zwierzę wcisnęło się między dziewczynkę i samochód i opuściło brzuch na piasek, tworząc potężną zaporę z gadziego cielska. Dżip uderzył zderzakiem w żebra brontozaura i buksował bezradnie przednimi kołami, wyrzucając piasek do tyłu.

- Suka! - szczeknął. - Zdzira! Kurwa! Dinodajka!

Naomi położyła się na ziemi i skuliła przy stopie brontozaura. Zwierzę położyło łeb na chłodnym piasku, otaczając ją opiekuńczym kręgiem długiej szyi. Brontozaur oddychał spokojnie. Dżip odjechał. Naomi nasłuchiwała, jak wiatr zagłusza jego złorzeczenia.

Nagarnęła garść piasku, przycisnęła go do policzka, roztarła na szyi. Czują jego dotyk, a mimo to wydawał się jej dziwnie nieprawdziwy. Usiadła. Piasek osypał się jej po sukience i zebrał na kolanach.

- Musisz coś zjeść - powiedział brontozaur.

Zwrócił z żołądka jakiś przeżuty kęs, otworzył zębatą paszczę i podstawił Naomi wilgotną siną grudę na fioletowym jezorze. Naomi wzięła ją w ręce i z wdzięcznością zjadła. Popłakiwała przy jedzeniu, ale nie przeszkadzało jej to rozmawiać z brontozaurem.

- Dziękuję - powiedziała - Dziękuję, Evo. Ty mnie nigdy nie opuszczałaś.

Brontozaur się roześmiał.

- Nie jestem Evą, Naomi. Jestem tobą. Podrapać cię po plecach?

Dźwignął łeb, oparł czubek pyska między łopatkami dziewczynki i zaczął poruszać nim na boki, kojąc trąc szorstką skórą o plecy Naomi. Przymknął prastare zielone oczy.

- A pamiętasz - zapytała Naomi - jak niosłaś mnie na plecach, kiedy byłam starą kobietą? To był ten dzień, kiedy powiedziałam Evie, że zostaniemy uratowani. Że anioły po nas przylecą. Pamiętasz?

Przysnęła. Wszystko układało się zbyt idealnie, żeby mogło się dziać naprawdę.

Teraz miałam ją jak na widelcu, całkiem bezbronną. Mogłam ją wykończyć, kiedy zechcę.

Gdzieś nieopodal, w wyobrażonym gabinecie przy wyobrażonym biurku siedział robot. Przyciskał pozytywkę do piersi i płakał. Słone łzy płynęły mu po czarnej skórzanej twarzy, spadały i rozbryzgiwały się na mojej bocznej ścianie.

Eva położyła mu dłonie na ramionach. Stała za jego krzesłem, ubrana w czerwoną jedwabną sukienkę i sznur pereł.

- Płaczesz - powiedziała.

Alex odwrócił się do niej.

- Skąd się tu wzięłaś?

- Jeżeli maszyna może płakać, to wszystko jest możliwe.

Przez chwilę patrzyli na siebie.

- Chyba wiesz, co musimy zrobić - przerwała milczenie Eva.

- Wiem. Tylko się boję. A jeśli nie uda nam się drugi raz uciec?

- Nie możemy jej tam zostawić.

- Nie, nie możemy.

Alex poklepał Evę po ręce.

- Naprawdę wszystko jest możliwe? - zapytał.

- Absolutnie wszystko.

Alex odłożył mnie na blat i wstał. Wspiął się na biurko, stanął obok mnie, podał Evie rękawiczkę i ją też wciągnął na górę.

Gabinet zaczął się powiększać - albo może Eva i Alex zaczęli się kurczyć, trudno było to stwierdzić. Ramię w ramię szli po biurku w moją stronę. Zanim do mnie dotarli, blat biurka urósł do rozmiarów boiska do koszykówki. Stanęli po przeciwnych stronach mnie i podnieśli wieczko.

- Nie wierzę, że naprawdę to robimy - powiedział Alex. - To samobójstwo. Myśmy chyba zwariowali.

- Na pewno - przytaknęła Eva. - Ma dziewczyna szczęście.

Wspięli się na górną krawędź mojej przedniej ścianki i, trzymając się za ręce, balansowali na niej jak dwie wycięte z papieru lalki. Potem wskoczyli do środka. A ja jestem głębsza, niż się wydaję.

Mój cyfrowy wyświetlacz przeskoczył z 01 na 03. Ależ byli naiwni. Mieszanie im w głowach było najprostszą rzeczą na świecie.

Doktor Labirynt podniósł rozmazaną głowę. Patrzył na monitory.

Alex i Eva wypadli z brzucha chmury i lecieli w dół przez błękitne niebo. Z początku trzymali się za ręce, ale wkrótce huraganowy wiatr ich rozdzielił. Eva przekoziółkowała i wyrwała się z uścisku robota.

Alex poczuł, że zmienia się w wojskowego dżipa wyposażonego w minimum osprzętu komputerowego. Kiedy koziółkował, przednie kamery rejestrowały na przemian: ziemia, niebo, ziemia, niebo...

Masz przecież napęd, przypomniał sobie. Wrzucić wsteczny. Źle ci tu? To się wycofaj, idioto. Wycofaj się!

Alex wrzucił wsteczny bieg.

Cofnął się aż do pierwszej wojny światowej, do kampanii we Flandrii. Był polowym ambulansem, całymi miesiącami przedzierał się przez błoto, drut kolczasty, dym prochowy i gaz musztardowy. Wszędzie rdza i pleśń. Co rusz ześlizgiwał się do okopów i latryn. Nocne niebo jak piekło na ziemi.

Błąkał się po okolicy w tę i we w tę, wożąc brudne, ociekające krwią ludzkie wraki - okaleczone, cierpiące, nieprzytomne, martwe albo szczające w spodnie. Ludzi złamanych. Nierzeczywistych.

Nie przestawaj, upomniął się w duchu. Nie zatrzymuj się tutaj! Jedź dalej. Wrzucić bieg. Kutas wplątany w maszynkę do mięsa? Olej to! Język w gniazdku elektrycznym? Krew na rękach? Nieważne! Wrzucić bieg! Nie musisz tu być.

I nagle, całkiem niespodziewanie, znalazł się zupełnie gdzie indziej.

Bo tak już było w tej grze. Miała za mało czasu, żeby zmieniać zasady.

Pas asteroid otaczał bezimienną gwiazdę na skraju galaktyki. Wewnątrz pasa wirowała powoli pewna niezwykła asteroida, zbudowana z zamrożonych związków organicznych. Ważyła kilkanaście ton. Nigdzie - ani na jej powierzchni, ani w jej wnętrzu - nie znaleźlibyście nawet ziarenka piasku. Była olbrzymim zamrożonym dzieckiem, zwiniętym w kłębek, otulonym własnymi rękami, ze sterczącymi na wszystkie strony żółtymi włosami. Miała jasną skórę i zamknięte oczy. Obracała się powoli, złota w swej nagości, martwa jak kurz.

W lodowatej gęstwinie włosów Naomi uwiązał gołąb. Kryło się tam również truchło małej czarnej pchły. Chłód międzygwiazdnej próżni przemienił ich - tak jak samą Naomi - w lodowe rzeźby.

Nawet gdyby jacyś sympatyczni obcy natknęli się na zamrożoną dziewczynkę i ją rozmrozili, i tak byłaby martwa. Tylko w snach dzieci wracają żywe z królestwa Zera

Kelvina. W prawdziwym świecie kryształ lodu rozrywają błony komórkowe; w prawdziwym świecie martwa dziewczynka nie ożywa.

Ilekcję jednak Naomi sobie o tym przypominała, te same myśli uporczywie dręczyły jej nieżyjący umysł.

Jestem Naomi, myślała. Ale ten gołąb i pchła nie są wcale Evą i Alekssem. To tylko kolejne sztuczki doktora Labirynta. Jestem tu sama, a on się nade mną zneca.

Biedna, naiwna dziewczyna. To już nie była robota Labirynta, tylko moja. Labirynt w swoim obecnym stanie nie nadawał się do wymyślania żadnych sztuczek, ja zaś byłam zdolna do przeróżnych podłości i nie potrzebowałam do tego niczyjej pomocy.

Nie miała również racji, myśląc, że została sama. Alex i Eva wyruszyli jej na ratunek - ale najpierw musieliby ją znaleźć. A ja potrafię być całkiem spora dla kogoś, kto znajdzie się w moim wnętrzu.

Alex natrafił na pokrytą białym piaskiem pustynię, w tej chwili przysypaną śniegiem. Śnieg zalegał na kilka cali głęboko na jeziorach opuncji i ramionach karnegii. Z nieba cały czas spływały miękkie błękitnawe płatki.

Alex był mechanicznym krocionogiem - czarnym i lśniącym jak smoła, długim jak superszybki pociąg. Na powierzchni gruntu rozwijał prędkość bliską jednego macha. Pędził przez zimową równinę. Jego stalowe odnóża tak szybko miały piasek pod śniegiem, że nie nadążało za nimi oko. We wnętrzu segmentowanego ciała kryły się reaktory jądrowe, turbiny parowe, konwertery Tesli i osprzęt radarowy. W głowie krocionoga znajdowała się kabina, w której za sterami siedział doktor Labirynt. Prowadził Aleksa po ośnieżonych piaskach. To doktor Labirynt wynalazł krocionoga. Doktor Labirynt był niewątpliwym geniuszem.

Był geniuszem, a jednak... Dopuścił do tego, żeby jego pojazd zboczył z trasy. Jak geniusz mógł popełnić taki fatalny błąd? Tak samo, jak każdy. Chwila nieuwagi. Mimo jego najlepszych chęci jeden błąd spowodował następny, a doktor nie chciał się do błędu przyznać.

Każdemu się zdarza, nawet aniołom. Idziesz przez pustkowia pozbawione punktów orientacyjnych, gubisz się, zawracasz.

Nie jestem stalowym krocionogiem, pomyślał Alex. A Labirynt wcale mną nie steruje. Nie powinienem o tym myśleć. Szukam Naomi, a tu jej nie ma.

A potem nie było tam także Aleksa.

Niebo było rozległe, wietrzne i białe jak papier. Miotło Naomi tam i siam. Nie mogła dotknąć ziemi.

Trzy słońce brnęły przez rajgras, bark w bark. Miały skórzane uprząże i były spięte wspólnym jarzmem. Ciągnęły wyladowany sianem wóz. Słyszały turkot obracających się kół i skrzywienie osi, czuły słońce grzejące im grzbiety, węszyły słodki zapach świeżego siana, nie widziały jednak rajgrasowej prerii, ponieważ nie miały oczu. Zostały oślepione zaraz po urodzeniu. Miało to zagwarantować ich łagodny charakter.

Miały puste brzuchy i sucho w pyskach, ale wołały się nie skarżyć. Wiedziały, co by je czekało: chłasnęcie biczem przez woźnicę.

Zdarzało się, że któraś z nich mdlała i obwisała ciężko w uprzęży. Wtedy dwie pozostałe zatrzymywały się i czekały, aż woźnica zejdzie z wozu i wsypie leczniczy proszek do pyska leżącej słońicy, która wkrótce potem odzyskiwała przytomność.

W szczególnie ciężkie dni bywało i tak, że jedna ze słońic umierała. Wówczas woźnica przykładał jej do głowy magiczny amulet i śpiewał przeznaczoną specjalnie na takie okazje pieśń, która przywracała zwierzę do życia. Umierały po kolei, cała trójka. Śmierć była całkiem przyjemna.

Ale niczego nie zmieniała.

Głęboka jak studnia pozytywka wciągnęła Evę, która wpadła w chmurę burzową i puściła rękę Aleksa. Bez robota spadała nieco wolniej.

Opadała spod martwego białego nieba jak płatek śniegu, całkiem sama. Unosiła się nad polem ozimej pszenicy. Skute lodem pole przecinała rdzawa gruntowa droga. Eva podążyła jej śladem do wysokiego wiejskiego domu w opłakanym stanie. Wśliznęła się do środka przez okno na poddaszu i wylądowała na podłodze, w chłodnym półmroku. Drobiniki kurzu koziółkowały w skośnych snopach światła słonecznego padających pomiędzy kufry podróżne i stosy tekturowych pudeł.

Nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego trafiła właśnie tutaj. Nie było to miejsce, w którym mogłaby znaleźć Naomi. Powinna szukać pustyni z białym piaskiem - o ile pustynia ta jeszcze się nie rozpadła na kawałki. Na razie jednak czuła się zmęczona i zagubiona.

Kątem oka zauważyła jakiś czerwono-biały przedmiot: na parapecie mansardowego okienka leżał model ciężarówka - blaszana zabawka, pomalowana na białą i przewrócona na bok. Eva podeszła do okna i postawiła samochodzik na kołach. Był to ambulans z wymalowanymi na bokach czerwonymi krzyżami. Popchnęła go. Obracające się gumowe

koła włączyły syrenę.

Aleksowi by się spodobał, pomyślała. Tylko że tu nie ma ani Aleksa, ani Naomi. Po co ja tu przyleciałam?

Jej wzrok przyciągnęła wystająca z kartonu noga szmacianej lalki. Wyciągnęła zabawkę z pudła. Lalka była ubrana w sukienkę z czerwonego aksamitu wykończoną białą koronką. Miała długie czarne włosy i ogromne szklane oczy w brązowym kolorze. Eva zdmuchnęła kurz z siedzenia starego dębowego fotela bujanego i usiadła. Położywszy sobie lalkę na kolanach, długimi czerwonymi paznokciami zaczęła rozczesywać jej włosy, nucąc przy tym kołysankę.

Lalka nie miała żadnego znaczenia. Była pusta, tak samo jak blaszany ambulans. Ten dom wcale nie istniał. To pozytywka usiłowała ją zwieść.

A może... - pomyślała Eva. Może kiedy tu odpocznę, Naomi sama do mnie przyjdzie.

Głowa opadła jej na pierś, ręce zwiotczały na podłokietnikach, lalka zsunęła się z kolan na podłogę.

Naomi była cyrkową słonicią. W blasku reflektorów chodziła w kółko po trocinach.

Na głowie miała opaskę wyszywaną cekinami - srebrnymi, jaskrawozielonymi, turkusowymi. Z opaski wyrastała prześliczna ozdoba głowy zrobiona ze strusich piór. Naomi i jej siostry maszerowały do wtóru muzyki orkiestry dętej. Ich ozdoby lśniły w świetle reflektorów.

Kiedy już wykonały swój numer, kłown o mechanicznych dłoniach zabierał je z areny i prowadził do błotnistej sadzawki, którą zrobiła dla nich mała Meksykanka, żeby miały się gdzie potaplać. To była ich nagroda za występ.

Słonice uwielbiały podróżującą z cyrkiem Meksykankę. Pachniała solą i zawsze ubierała się w ten sam zielony, brudny kombinezon roboczy. Miała orzechowe oczy, żółte zęby i skórę barwy miedzi. Do jej obowiązków należało sprzątanie w zagrodach słonice, zmienianie słomy i zmywanie podłogi wodą z węża przed wyruszeniem cyrku w dalszą drogę.

Ja się nigdzie nie wybieram, uparła się Naomi. I wcale nie jestem słoniem. Muszę znaleźć Evę.

Eva kichnęła. Obudziła się na fotelu bujanym. Musiała się zdrzemnąć. Nadal siedziała na poddaszu. Coś buszowało wśród kartonów.

Zza podstawy lampy wychyneło coś małego, z żółtego plastiku: model szkieletu brontozaura. Szkielet przytruchtał do Evy, tupocząc na zakurzonych deskach.

- Eva? - zabrzmiał piskliwy głosik. - Evo, to ty? To ja. Gdzie byłaś? Szukałam cię. - Model wykręcił szyję i spojrzał po sobie. - Co to jest? W czym ja jestem?

Eva się roześmiała. To naprawdę była Naomi. Naomi ją znalazła.

Teraz musiały tylko znaleźć Aleksa.

Nieźla z nas rodzinka, pomyślała Eva. Do wszystkiego musimy dochodzić w jakiś okrężny sposób.

Zanim zabójcza Szpila wyruszyła przeciw Labiryntowi, zrobiła jeszcze mały wypad do Chicago.

Jechała swoim mercedesem na południe ulicą Lake Shore Drive. Po jeziorze Michigan pływały żaglówki. Szpila lubiła przed akcją odwiedzić Muzeum Nauki i Przemysłu. Niebo było błękitne. Był rok 1951.

Zjechała z głównej ulicy i zaparkowała mercedesa. Ruszyła w stronę szerokich białych schodów prowadzących do portyku muzeum. Przeskakiwała po dwa stopnie - szczupła Azjatka w grafitowym biznesowym kostiumie. Sztywne szpakowate włosy miała przystrzyżone krótko, przy samej skórze.

Bez pośpiechu przeszła przez Galerię Chemii, oglądając podświetlone modele cząsteczek przypominające zabawki dla majsterkowiczów. W myślach przepowiadała sobie przygotowania, które miały jej umożliwić przeniknięcie do zamku Labirynta. Pierwszym ruchem, który wykonała, było powiedzenie Tkaczce bez ogródek, żeby ani ona sama, ani jej chłoptaś na posyłki nie pętali się jej pod nogami. Bo Szpila przy pracy nie tolerowała żadnych utrudnień. Wchodziła, robiła swoje, wychodziła. Bez bałaganu, bez czekania. Cała ona.

Przed misją zamierzała jednak obejrzeć swój ulubiony eksponat.

Na marmurowych półpiętrach spiralnych schodów we wschodnim skrzydle znajdowały się gabloty wystawy anatomicznej na wygnaniu, niechciane ani w Galerii Medycyny, ani w Galerii Antropologii. W gablotach - wciśnięte między tafle szkła i opatrzone tabliczkami z opisem - znajdowały się zakonserwowane ciała mężczyzny i kobiety, pocięte na całowej grubości plasterki. Kobiętę pokrojono w pionie, od przodu do tyłu, mężczyznę zaś poprzecznie, odsłaniając eleganckie przekroje rąk, nóg i tułowia. Tętnice wypełniono czerwonym lateksem, żyły niebieskim. Główne organy zostały pokolorowane, żeby łatwiej było je rozpoznać.

Za życia mężczyzna i kobieta byli małżeństwem. W testamencie zapisali swoje ciała Nauce - i oto, co Nauka z nimi zrobiła. Szpila stała z rękami w kieszeniach przy jednej z gablot i podziwiała martwe ciało.

Ciało i krew. Cztery miliardy lat rozwoju. Macierz człowieczeństwa.

Zimne mięsa.

Uśmiechnęła się i zakołysała na piętach.

Gdzieś w życiu po śmieci stał sobie zamek, w którym - otoczony pierścieniem fosy i ukryty za granitowym murem - miał swoją siedzibę Dom Strapionych Dusz Doktora Labirynta. W Domu znajdował się gabinet, w gabinecie biurko, a na biurku pozytywka.

W głębi terkoczącego mechanizmu pozytywki mieściła się sztuczna Australia. Pod wściekle palącym słońcem rozpościerała się równina pokryta piaszczystą czerwonawą glebą. Pod eukaliptusem leżała próchniejąca kłoda drewna. Pod jej korą czerwona mrówka i larwa mrówki tuliły się do siebie, śmiertelnie przerażone. Mrówka była Evą, a biały miękki pędrak był Naomi.

Poddasze zmieniło się w mrowisko, które padło ofiarą ataku hordy mrówek koczujących z ostrymi jak brzytwy żuwaczkami. Eva porwała Naomi z komory larw i tunelem ewakuacyjnym uciekła w noc. Później znalazła schronienie w kłodzie.

O świcie odkryła rosnący na korze grzyb, który mogła - po przeżuciu - podać larwie. Czuli, że powinna poszukać innych mrówek ocalałych z zagłady mrowiska, ale słońce błyskawicznie zabiłoby Naomi. Nawet tu, pod korą, larwa potwornie szybko się odwadniała.

Eva zostawiła larwę w ukryciu i zbadła spieczoną ziemię wokół kłody. Odkryła wylot dziwnie pachnącego tunelu, który biegł pionowo w dół i znikał w chłodnym, wilgotnym podglebiu. Przepelniona nową nadzieją wygrzebała spod kory usychającą larwę i w szczękach przeniosła ją w głąb otworu, w ciemność. W pośpiechu zapomniała jednak zostawić ślad zapachowy i zabłądziła w poplątanym labiryncie tuneli.

Kiedy natrafiła na porzuconą skorupkę termita, zorientowała się, że zabłądziła w kopcu termitów. Jeśli termity ją znajdą, nie będą miały dla niej litości: pogryzą ją na kawałki razem z dogorywającą larwą.

Doszłyśmy tak daleko! - jęknęła do Naomi. *To niesprawiedliwe.*

Naomi nie odpowiedziała - chociaż żyła jeszcze i główkowała nad paroma sprawami. Na przykład, czy naprawdę jest larwą mrówki? Miała wrażenie, że dosłownie przed chwilą była plastikowym modelem brontozaura. A jej matka była ludzką kobietą - dziwna cecha u

mrówki, jak się tak nad tym zastanowić... Wydawało jej się oczywiste, że ktoś, kto nie chce im się pokazać, kieruje ich ruchami. Naomi uważała, że takie poszturchiwanie ludzi z ukrycia jest bardzo brzydkie.

Z ukrycia! Mała niewdzięcznica. Wcale się nie ukrywałam. Byłam wszędzie, gdziekolwiek spojrzę. Czy jej się wydawało, że to takie proste, na żądanie wyświetlać dioramę Australii? Tak jakbym nie miała nic lepszego do roboty.

Naomi zaczęła cierpliwie zmieniać warunki mrówczej opowieści. Po pierwsze, wcale nie znajdują się w kopcu termitów, tylko w wiejskiej chałupinie w Czarnym Lesie. Po drugie, Eva nie jest żadną mrówką, tylko żoną drwa. Po trzecie...

Próbowałam ją powstrzymać, ale wtedy byłam już zwyczajnie za słaba.

Robot w ubraniu szofera, o twarzy z czarnej skóry i oczach z czerwonego szkła, przewędrował ogromny dystans po porośniętym bylicą żwirowym pustkowiu. Słońce prażyło niemilosierdzie. Żwir przypiekał mu podeszwy butów.

Alex się zatrzymał i osłaniając oczy rękawiczką, przepatrzył horyzont. Dostrzegłszy plamkę zieleni, ruszył w jej stronę. Dokuczała mu samotność. Nigdy przedtem nie obszedł jeszcze całego wnętrza pozytywki. Nigdy nie czuł się tak bardzo odizolowany od żony i adoptowanej córki.

Pozytywka naprawdę goni w piętę.

Zbliżał się do rosnącego pośrodku pustkowia olbrzymiego baobabu. Poruszone sirocco liście szeleściły sucho, pień migotał w upale. Drzewo rzucało zachęcający cień, ale kiedy podszedł bliżej, warknęło ostrzegawczo.

Pokaż, co potrafisz.

Korzenie wystrzeliły spod żwiru. Wyprężyły się w górę, miotając się i dygocąc spazmatycznie, jak gotowe do ataku drewniane kobry. Wszędzie pojawiały się kolejne, żwir aż się od nich gotował, ale Alex najwyraźniej ich nie interesował, bo niczym pnącza zaczęły się wspinać po pniu baobabu. Alex cofnął się, desperacko usiłując zrozumieć, co właściwie widzi.

Konary podkuliły się i zaczęły z impetem chłostać korzenie, które chwyciły je w węzowe sploty i próbowały ściągnąć na ziemię. Gałęzie odwodziły im się w ten sam sposób; kilka nawet zdołały wyrwać z ziemi. Liście sypały się wszędzie, unoszone wiatrem. Korzeniom wyrosły pyski o zębach z cierni z brodami z białych korzonków. Kłapnięciami chwyciły gałęzie i próbowały je odgryzać. Gałęzie wykształciły jednak drewniane szpony i ostrogi,

którymi chlastały po syczących paszczach. Drzewo wojowało z samym sobą, aż zniszczyło się całkowicie i osunęło na ziemię, skrzypiąc i drżąc od czasu do czasu.

Z bezchmurnego nieba uderzył fioletowy piorun. Trafił prosto w powalony baobab. Ziemia zakołysała się Aleksowi pod nogami. Padł na brzuch na żwir i zakrył głowę rękami. Z góry posypały się drzazgi.

Kiedy uniósł głowę, po drzewie pozostała tylko dymiąca dziura w ziemi. W głowie Aleksa dziecięcy szczebiot zabrzmiał starą rymowanką:

Jest dziura na dnie morza, dziura na dnie morza, dziura na dnie morza. Jest konar na pniaku w dziurze na dnie morza.

Stanął na butach i po spękanej ziemi podszedł do krateru po baobabie. Przyklęknął i oparł się na rękawiczkach na skraju otworu. Zajrzał do środka. Połyskiwało tam coś czarnego, jakby pestka leżąca na rozżarzonych węglach.

To mój rdzeń. Moje źródło zasilania. Mój obłąd. Stężony obłąd. Doktor Labirynt mi go ukradł, ale teraz mogę go odzyskać.

Opuścił ramię w głąb krateru.

A może to nic nie szkodzi, że jestem obłąkany? Może to nie mój problem? Może mój prawdziwy problem polega właśnie na tym, że powstrzymuję się od zwariowania? Że nieustannie wyrywam kawałki siebie, żeby wykorzenić szaleństwo?

Wsadził rękę w rozpalone węgle i zacisnął palce rękawiczki na czarnej pestce. Zaskwierczała skóra. Wyszarpnął ramię z powrotem i wstał. Otworzył dłoń, na której leżał czarny obiekt wielkości pestki śliwki.

Uderzył się otwartą dłonią w twarz, przyciskając pestkę do miejsca, w którym zwykły człowiek miałby usta. Pestka wypaliła mu w twarzy dziurę, przez którą wepchnął ją do środka i połknął. Ześliznęła mu się w głąb przełyku i utkwiała w piersi.

Szaleństwo, pomyślał. Oto jak smakuje.

Zawrócił w kierunku, z którego przyszedł. Szedł coraz szybciej. Musiał odszukać Evę i Naomi. Zaczął biec.

Jest ptak na jajku w gnieździe na gałęzi na konarze na pniaku w dziurze na dnie morza.

Nie byłem w stanie go zatrzymać. Nie byłem sobą. Moja sprężyna sięęęę rozkkrrrręęęcałłłaaaa.

Dawno, dawno temu, we wnętrzu pozytywki, w głębi Czarnej Lasu, stała skromna chatka drwala.

Miała dach kryty mchem i słomą i ściany z darni i kości słonia. Przed laty, w pewien burzliwy jesienny poranek drwał wyruszył do lasu z siekierą na ramieniu. Od tamtej pory słuch o nim zaginął. Jego żona i córka nadal mieszkały w chacie i czekały na jego powrót. Córka miała włosy żółte jak pszenica i delikatne jak lniana przędza. Jeszcze niedawno była larwą mrówki, ale to już nieważne.

Nastał pogodny i wietrzny kwietniowy ranek. Na tyłach chaty żona drwała pielila grządkę marchewek, a córka bawiła się z kozami w zagródce, gdy ktoś zapukał do drzwi.

Dziewczynka przyłgnęła do ściany chaty i ostrożnie wyjrzała zza węgła. Przed drzwiami stał wysoki mężczyzna w obszarpanej czarnej pelerynie i ubłoconych butach. Na jednym oku miał skórzaną przepaskę. Jeden rękaw jego koszuli był pusty i zwisał luźno.

Matka wyjrzała ponad jej ramieniem.

- Ktoś ty? - zapytała kalekę.

Ale dziewczynka z okrzykiem zachwytu wybiegła mu już na spotkanie. Drwał porwał córkę w ramiona (a właściwie w to, co z nich zostało) i unióś w powietrze. Zakręcił nią w podmuchach kwietniowego wiatru i tańczących plamach słońca.

- Tata! - krzyknęła dziewczynka. - Tata!

- Przepraszam. - Jej ojciec zapłakał. - Przepraszam...

- Za co przepraszasz? - spytała żona.

Alex podrapał się po głowie.

- Nie pamiętam. Po prostu przepraszam.

Był rok 1891. Gdzieś na indyjskim wybrzeżu u ujścia niewielkiej rzeki rósł gaj banianowy. Wysoko wśród liści znajdowała się wsparta na gałęziach okrągła bambusowa platforma - podłoga nadrzewnego domu czcigodnej Tkaczki. Dom miał dach z jedwabiu, nie miał natomiast ścian. Wszystkie meble były z plecionej wikliny. Kilkanaście papug siedzących na okolicznych gałęziach bacznie obserwowało czcigodną.

Siedziała po turecku na plecionej macie. Przed nią stał przekrzywiony ceramiczny dzbanek wypełniony mokrą gliną; polewa dzbanka miała kolor zielony, surowa glina była czerwona. Obok czcigodnej leżał klocek drewna o wklęsłej powierzchni. Tkaczka sięgnęła właśnie jedną ręką głęboko do dzbana, nabrała garść gliny, rozwałkowała ją w rękach i położyła na klocu. Dołożyła do niej drugą grude, nieco mniejszą. I trzecią, dwa razy mniejszą: Naomi.

Nadając bryłom gliny ludzkie kształty, rozważała możliwości przeniesienia trzech dusz.

Powinny nadal tworzyć rodzinę, to nie ulegało wątpliwości. Tak jak Labirynt, Skrzydlak i ona, nie potrafili bez siebie żyć. Może trojaczki? Nie, nie w tej sytuacji. W takim razie mężczyzna, kobieta i dziecko. Który rok będzie najodpowiedniejszy? Gdzie czuliby się najlepiej?

1973, uznała, i paznokciem kciuka wyrysowała Aleksowi zmarszczkę na czole. Arizona. Dworzec autobusowy w Tucson. Powinno się udać.

Słońce zachodziło. Owady zaczynały wieczorne śpiewy.

Szpila szybkim krokiem przemierzała zielone płótno nieskończonego stołu bilardowego. Była ubrana w czarną jedwabną koszulę, czarne spodnie i czarne pantofle. Przez plecy przewiesiła łuk i kołczan ze strzałami. Przy pasie niosła dwa miecze samurajskie w pochwach.

Dwie wielkie jak domy kule bilardowe wyturlały się nie wiadomo skąd, próbując ją zmiążyć. Wirowały jak podkrecone i gwałtownie ślizgały się na boki.

Uskoczyła przed nimi, okręciła się na pięcie i założyła dwie strzały na cięciwę. Diamentowe groty utknęły w bilach. Do drzewc były przymocowane granaty. Bile przetoczyły się, miażdżąc strzały - a razem z nimi granaty, które eksplodowały anielskim światłem. Z nieba spadł deszcz odłamków kości słoniowej. Szpila odwróciła się plecami do dwóch poczerniałych kraterów, ziejących w zielonym płótnie jak dwa ślepe oczodoły, i podjęła marsz w stronę zamku Labirynta.

Nie miała czasu na rozrywki.

Trzystopowa warstwa popiołu wulkanicznego pokryła całe Albuquerque w Nowym Meksyku. Huraganowy wiatr wywołał burzę pyłową. Na ulicy jednej z porzuconych dzielnic biznesowych utknęła unieruchomiona śmieciarka. Wokół niej niczym metalowe grzyby wystawały z popiołu główki parkometrów i tablice znaków drogowych. W sfoferce o szczelnie zamkniętych oknach znajdowało się troje ludzi: mężczyzna, kobieta i dziecko. Chyba już znacie ich imiona.

- No i proszę - powiedziała Eva. - Znów jesteśmy razem. We wnętrzu pozytywki.

- Jak się stąd wydostaniemy, tato? - spytała Naomi. Mimo że włożyła skórzaną kurtkę ojca, wciąż drżała na całym ciele.

- Wsiądziemy i pójdziemy pieszo - odparł Alex. - Po prostu stąd wyjdziemy.

- Wybacz, że o tym przypominam, ale kiedy ostatnio tego próbowaliśmy, trwało to wieki
- zauważyła Eva.

Alex podniósł wyprostowany brudny palec wskazujący.

- To prawda, ale przecież niedawno wszyscy się stąd wydostaliśmy. To wszystko zmienia. Tkaczka wyciągnęła ciebie, Skrzydlak Naomi, a Naomi mnie. Pozytywka dogorywa. Damy radę. Wezmę Naomi na barana.

Eva westchnęła.

- Jestem gotowa spróbować wszystkiego. Chodźmy.

Ledwie wysiedli ze śmieciarki, ta zniknęła (razem z całą ulicą) i znaleźli się na wylanej fioletowym asfalcem bezkresnej równinie pod pochmurnym niebem. Wybrali kierunek i ruszyli przed siebie.

Uzbrojona w miecze Szpila płynęła przez lodowatą wodę przy dnie fosy. Drogę oświetlały jej plamy przenikającego z powierzchni zielonkawego światła. Płynęła bezszelestnie, ocierając się o przydenny muł i kierując ku fundamentom zamku Labirynta.

Natrafiwszy na ścianę z granitowych bloków, skrzyła i popłynęła dalej wzdłuż niej aż do dębowych drzwi, w które wprawiono żelazne kółko. Chwyciła kółko, zaparła się obiema nogami o granit i pociągnęła z całej siły. Drzwi się otworzyły. Weszła do wąskiego komina z czerwonej cegły. Zrobiła wydech - w ciemnej wodzie zabulgotały bańki powietrza - i zaczęła się wspinać kominem.

Wypłynąwszy na powierzchnię, nabrała głęboko powietrza w płuca i wspinała się dalej, do następnych drzwi - małych, kwadratowych, żelaznych. Zajrzała przez dziurkę od klucza i widząc światło po drugiej stronie, wyjęła ukryty za kołnierzem koszuli wytrych. Wkrótce i te drzwi stanęły przed nią otworem.

Znalazła się w jasno oświetlonym korytarzu. Ściany były otynkowane na biało, podłoga wyłożona zielonym dywanem, a po obu stronach ciągnęły się bez końca metalowe drzwi. Woda ściekała na dywan, kiedy Szpila stanęła na środku korytarza. Wsluchiwała się w ciszę. Czekwała.

Wszystkie drzwi - oprócz jednych - powoli się otwierały.

Szpila dobytek mieczy.

Za jedynymi zamkniętymi drzwiami na biurku stała wypatroszona pozytywka. Połowa jej

mechanicznych wnętrzości wysypała się na blat.

Na jej dnie znajdowała się postrzępiona na brzegach równina pokryta fioletowym asfaltem. Przemierzało ją troje wędrowców. Na przodzie szedł młody żylasty mężczyzna o ciemnych włosach i zatroskanych oczach, z tygodniowym zarostem. Był boso. Cały jego strój stanowiły podarte spodnie z diagonału.

Obok niego szła Latynoska w złachmanionej sukience z czerwonego jedwabiu.

Za nimi wlokła się jasnowłosa dziewczynka, całkiem naga i bardzo brudna.

Wszyscy troje mieli zmierzwiłone włosy i obłożoną płatami spaloną od słońca skórę. Można by pomyśleć, że idą tak od lat. Nie odzywali się. Unikali nawzajem swoich spojrzeń. A mimo to, uparcie szli w tym samym kierunku.

Dotarli do wysokiej jak trzypiętrowy dom klepsydry. Stała na środku równiny niczym pomnik. Kopiec białego piasku w jej dolnym zbiorniku przewyższał wysokością dorosłego mężczyznę. W środku kopca tkwił drewniany kołek, wygładzony jak drewno wyrzucone przez morze. Na kołek były nabite trzy czaszki z oczami i językami; obrzucały się obelgami i wierciły na kołku, żalując, że nie mogą kąsać. Wokół nich kłębił się rój komarów. Mijając klepsydrę, wędrowcy słyszeli dobiegające zza szkła stłumione głosy:

- Wal się!
- Mam cię w dupie!
- Zaraz cię uduszę!
- Tylko spróbuj!

Naomi splunęła na asfalt. Zostawili za sobą nadziane na kołek czaszki, tonące w białym piasku, który sypał im się do oczu. Trzy czaszki - i ani jednego mózgu.

W końcu klepsydra zniknęła w oddali, a troje wędrowców zobaczyło wprawione we framugę drzwi, wokół których nie było żadnej ściany. Z boku stała blad różowa plama z łysą głową, w okularach z grubymi szklami. Patrzyła na nich.

Podchodząc do drzwi i plamy, zacieśnili szyk. Alex wziął Evę za rękę, Naomi wczepiła się w nogawkę jego spodni. Plama obserwowała ich, ogryzając paznokcie.

Drzwi się otworzyły. Za nimi ziała czarna pustka.

- Ta plama to Labirynt, prawda? - powiedziała Naomi. - A czym są te drzwi?
 - To może być pułapka - zauważyła Eva.
 - To wyjście - wyjaśnił Alex. - To my je tu umieściliśmy. Nie zdołał nas powstrzymać.
- Naomi odkaszlnęła.
- Ale co on tu robi? Myślałam, że nigdy nie wchodzi do środka.
 - Wszedł za mną - odparł Alex. - Bardzo słusznie zresztą: jest moim aniołem stróżem.

Tak jak Skrzydlak twoim. To przeze mnie zostałyście z matką wplątane w ten bajzel.

- Od razu widać, że niewiele wiesz - wtrąciła Eva. - Tkaczka mi mówiła, że kiedyś byli z Labiryntem małżeństwem. Są tak samo powiązani ze sobą jak my. Jednego tylko nie rozumiem: czyim aniołem opiekuńczym jest Szpila?

- Jaka Szpila? - zdziwił się Alex.

Drzwi skrzypnęły i drgnęły na zawiasach. Wiatr groził zatrzaśnięciem ich w każdej chwili.

Naomi splunęła plamie pod nogi.

- Chodźmy stąd - powiedziała. - Lećmy stąd.

Skrzydłata mrówka, biała gołębnica i miniaturowy helikopter wlecieli przez drzwi w ciemność. Drzwi zamknęły się z łoskotem.

Różowa plama wybuchnęła płaczem. Nie posiadała się z radości.

- Udało się! Są uleczeni! Wiedziałem, że się uda!

W nadrzewnym domku w kępie banianów Tkaczka dokonywała ostatnich poprawek przy trzech glinianych figurkach. Aleksowi brakowało jednego kawałka, a Naomi wyszła jej trochę koślawą, ale nie będą mieli nic przeciwko temu. Przywykli.

Zamoczyła ręce w misce z wodą.

Papuga przeleciała nad Oceanem Indyjskim i wylądowała obok swoich sióstr, które obsiadły liany wśród banianów. Zaskrzeczała głośno.

Tkaczka podniosła wzrok.

- Udało im się? A to ci niespodzianka... Dobrze, że mam dla nich gotowe ciała.

Wyrzuciła gliniane figurki z domu. Przepadły bez śladu wśród niższych gałęzi drzewa.

- Tucson w Arizonie! - zawołała do banianów. - Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty trzeci! Dworzec autobusowy!

- Nie ma sprawy - odpowiedziały drzewa. - Załatwione.

Liście zdrząły od najdelikatniejszych kropelek deszczu.

Chorąży Skrzydlak prowadził żaglowy katamaran po Atlantyku w szeroko pojętych okolicach roku 2000 p.n.e. Stał przy sterze boso, w białej płóciennej tunice, i mocno trzymał rumpel. Kadłuby katamaranu były zrobione z powiązanych w pęki trzciny, żagle zaś z najlepszego konopnego płótna.

Wysłuchał się w na przemian narastający i cichnący wiatr.

- Tym lepiej dla nich - powiedział. - Sprawa załatwiona. Wiadomo coś o Szpili? Albo o starym?

Wiatr nie odpowiedział.

Pozytywka wciąż jeszcze grała - ledwo, ledwo.

Mój bęben jeszcze się obracał, mosiężne kołki trącały miedziane płytki - ale nikt nie słuchał. Nikogo to nie interesowało. Nikogo we mnie nie było. Licznik spadł do zera.

Biała pustynia opustoszała. Trzy słońca się wypaliły, pozostawiając trzy fioletowe dziury w poplamionym niebie. Odcisnięte na piasku trzy tropy kończyły się na grzbiecie wydmy, jakby piasek pochłoniął troje wędrowców. Albo jakby coś porwało ich w powietrze. I tak już zmęczyła mnie zabawa nimi. Kiedyś myślałam, że nie będę chciała umierać w samotności. Teraz chciałam po prostu, żeby wszyscy dali mi spokój; żebym mogła spokojnie się rozpaść albo implodować.

Ktoś hałasował na korytarzu. Plama skuliła się w kącie swojego gabinetu.

Niczego nie da się uniknąć, prawda? Tak jak nie da się zmienić cudzej decyzji, a starego psa nie nauczy się nowych sztuczek. Lepiej pogodzić się z tym co nieuniknione. Lepiej od razu się powiesić.

To nie o mnie. Ja zostałam zamordowana.

Zdradzić wam tajemnicę? Eva nigdy nie była rybią kapłanką Majów. Naomi nigdy nie została zamrożona w ciekłym azocie ani nie zmieniła się w potwora w kręgielni. Alex nie stracił rąk. Nie widzieli roztapiających się ludzi ani umierających oceanów. Obląkani ludzie kłamią. Żyją w swoich własnych światach.

Nazywamy je SŚP: Szczegółowe Światy Potencjalne. Szaleńcy stale je wymyślają - ale to niebezpieczna zabawa. Za trudna dla ludzi. Dlatego wariują. Tylko maszyna może bezpiecznie wymyślać SŚP. Po to właśnie doktor Labirynt wynalazł mnie. Maszyna nie może zwariować.

Zdradzę wam jeszcze jedną tajemnicę. Nie ma żadnych burz. Nie ma aniołów. Nie ma pozytywek.

Szpila stała z obnażonymi mieczami i ociekała wodą, a drzwi w nieskończonym korytarzu otwierały się i wynurzały się z za nich demony wszelkich możliwych kształtów i

rozmiarów.

Były tam demoniczne cyberszarańcze i arktyczne demony-kanibale o kłach z zakrwawionego lodu. Były demony w pelerynach z piór, uzbrojone w azteckie maczugi bojowe, z muchomorami zamiast głów. Były wściekłe demony z chorych koszmarów doktora Labirynta - skrzyżowanie człowieka z najeżoną włóczniami machiną obłączniczą z epoki brązu. Wylęgały tłumnie na korytarz: demony chtoniczne, oceaniczne, mikrobiologiczne, kosmiczne... Szpila złożyła się do ciosu.

Demon w kształcie łuskowatej zielonej ropuchy skoczył jej na plecy - i natychmiast poleciał na ścianę, którą przebił impetem uderzenia. Od tej chwili Szpila jakby była wszędzie naraz. Niektóre demony ginęły z gardłem przebitym shurikenem, inne - wypatroszone mieczem Szpili; te, które były zbyt głupie, żeby upaść, siekała na kawałki. To była brudna robota, ale sprawiała jej przyjemność. Szarańcze utłukła na miazgę łapą, którą wcześniej odcięła zamkowemu gargulcowi. W końcu zostały tylko lodowe demony z Arktyki - te poraziła krzykiem tak, że rozpadły się na kawałki.

Po zakończonej rzezi obrzuciła wzrokiem jatkę, schowała miecze i podeszła do jedynych zamkniętych drzwi. Odkopnęła sobie z drogi jakiś zakrwawiony łeb i kopniakiem wyważyła drzwi gabinetu Labirynta.

W środku było ciemno. Kupka akt dopalała się smętnie na podłodze. Odłamki szkła z rozbitych kineskopów monitorów mieniły się w blasku ognia.

Weszła do gabinetu. Po biurku walały się kapsułki leków i moje rozsypane bebechy. Grałam jak jawajski gamelan, powoli i statecznie. To była moja elegia.

Różowa plama wcisnęła się głębiej w kąt. Szpila zrobiła krok w jej stronę.

- Wyleczyłem ich - zaskomiła plama. - Wiedziałem, że potrafię to zrobić, ale zamiast mi gratulować, oni przysyłają cię. To się nazywa zazdrość zawodowa, ot co. Może nie mam racji?

- Mylisz się. Mylisz się tak bardzo, że to nawet nie jest śmieszne.

Labirynt zeszywniał ze złości.

- Ja nie eksperymentuję - powiedział z naciskiem. - Ja prowadzę terapię. Nowatorską terapię. Nie można testować metodologii psychologicznej na szczurach, rozumiesz? To nie jest nauka ścisła. - Dramatycznym gestem rozłożył ręce. - Ach, po co ja tu sobie język strzępię? Tkaczka, ta suka, i tak wszystkich was podburzyła przeciwko mnie.

Szpila wytarła o koszulę wybrudzone krwią demonów ręce. Nie spuszczała plamy z oka. Zbliżyła się jeszcze bardziej.

- Nie słuchasz mnie - powiedziała.

Plama rozpląszczyła się na ścianie i kwiknęła z przerażenia. Pusty biały kitel opadł na podłogę. I drgnął. Coś się pod nim poruszało. Biały szczur wyskoczył spod skrajki kitla i popędził wzdłuż listwy pod ścianą. Szpila rzuciła się na niego i złapała go za skórę na karku. Wił się i syczał, ale kiedy go podniosła, zwiotczał i już tylko dygotał.

- Nie wygłupiaj się - powiedziała. - Bądź mężczyzną.

Szczur kichnął i w tej samej chwili faktycznie stał się mężczyzną: bladokórym, anemicznym, nagim staruchem z udami umazanymi odchodami. Kiedy Szpila go puściła, osunął się na ścianę i zabełkotał coś płacziwie.

Wzdrygnął się, kiedy stanęła obok niego, objęła go ramieniem i delikatnie, lecz stanowczo odciągnęła od ściany. Dał się prowadzić, półprzytomnie mamrocząc pod nosem. Głowa opadła mu na ramię.

Szpila podeszła do wybranego kawałka ściany i wymierzyła mu szybkiego kopniaka. W ścianie otworzyły się prostokątne drzwi. Wzięła Labirynta w ramiona i wniosła go do jego sypialni, gdzie ułożyła go na łóżku. Z łazienki przyniosła rolkę ręcznika papierowego. Obróciła Labirynta na brzuch i wytarła mu gównem z nóg i szpary między pośladkami.

Wyciągnęła spod niego prześcieradło i go nim przykryła. Zwilżoną szmatką wytarła mu pot z twarzy. Bez okularów jego oczy wydawały się małe i słabe. Zaczął drżeć. Szpila przyrzuciła go kocem i dotknęła jego czoła.

Przyniosła szklanek wody i dwie białe tabletki. Pomogła Labiryntowi usiąść, podparła go wałkiem i włożyła mu tabletki do ust, a potem przytrzymała szklanek, kiedy pił.

Nachylił się ku niej, mrużąc oczy.

- Szpila? - zapytał.

- Tak, to ja. Potrzebujesz dłuższego odpoczynku, Labirynt. Mam tego dopilnować.

- Ale... Nie zabijesz mnie?

Szpila usiadła w fotelu. Wyjęła z pazuchy krótki czarny sztylet i zaczęła czyścić paznokcie z rzęsy wodnej, krwi demonów i anielskiego gówna.

- Jeszcze nie wiem - odparła. - Zastanawiam się.

W moich wnętrznościach przenikliwie zawyła syrena, zapowiadając rychłą detonację. Zawiadomiłam doktora, że jestem gotowa do odegrania sceny śmierci.

Dźwięk syreny wywabił Szpilę z sypialni. Szkarłatny dym buchał ze mnie, wyładowania elektryczne wybijały dziury w suficie. Szpila porwała mnie z biurka, wybiegła za drzwi i rzuciła mnie w głąb korytarza. Pofrunęłam, koziołkując, nad szczątkami tysiąca demonów.

- Uwaga, niebezpieczeństwo! - wrzeszczałam. - Lont podpalony! Przeciążenie stochastyczne! Przepalenie obwodów! Do szalup! Opuścić pozytywkę!

Niestety, mówiłam zbyt szybko, żeby ludzkie ucho mogło rozpoznać słowa, i wyszedł z tego żaloszny pisk, jak ostatni świergot rozdeptanej cykady albo chrypliwy mlask zmiażdżonej remory.

Zanim zdążyłam spaść na dywan, eksplodowałam ogłuszającą tęczą barw. Taki był mój koniec.

Chociaż nie, to wcale nie był mój koniec. Skłamałam. Taka już jestem. Przerzuciłam po prostu swój system i pamięć do innej pozytywki Labirynta; miał taki magazyn, w którym trzymał nas całkiem sporo.

W życiu po śmierci bardzo trudno jest umrzeć.

Mogę wam zacytować koan zen, zanim sobie pójdę? Miażdży system, mówię wam.

Pytanie: Nie możesz tego zrobić w jeden sposób. Nie możesz tego zrobić w drugi sposób. Oba sposoby są niemożliwe. Jak zatem to zrobić?

Odpowiedź: Ciekawe, jak jest po drugiej stronie.

Był ciepły wieczór pewnego sierpniowego dnia 1973 roku. Na dworcu autobusowym w Tucson Meksykanka w zielonej sukience czekała z córeczką na nocnego greyhounda na północ. Kobieta miała na imię Eva, a jej córka Amy.

Amy siedziała na pomarańczowym plastikowym krzeselku, kopiąc w nie od spodu obcasem. Krzeselko było przyśrubowane do podłogi. Poprosiła matkę o ćwierć dolara do automatu z napojami. Wrzuciła monety do wysokiej metalowej szafy, która po chwili wypluła puszkę piwa imbirowego.

- Oto napój dla panienki - powiedział siedzący za nimi mężczyzna śmiesznym, jakby mechanicznym głosem. Udawał, że jest automatem. Chciał rozbawić Amy.

Amy żart się spodobał i zaczęła mówić do mężczyzny po angielsku, bardzo szybko, ale troszkę niewyraźnie - to była pozostałość po dziecięcym zapaleniu mózgu.

Alex słuchał jej i kiwał głową, chociaż rozumiał mniej więcej co drugie słowo. Dzień spędził w autobusie. Przyjechał z zachodu, z Amarillo w Teksasie, a udawał się do Phoenix, gdzie - z braku lepszego pomysłu - zamierzał szukać pracy w warsztacie samochodowym. Był ubrany w niebieskie dzinsy i skórzaną kurtkę. Prawą rękę miał odciętą na wysokości nadgarstka. Kikut zafascynował Amy, która bardzo starała się na niego nie patrzeć.

Dziewczynka dręczyła nieznanego już dobrą minutę, zanim Eva oderwała wzrok od gazety i na niego spojrzała. Obserwował ją. Uśmiechnął się do niej z wahaniem. Amy trajkotała w najlepsze. Miał miłą twarz, przyjazną. W odpowiedzi Eva uśmiechnęła się do

niego półgębkiem.

Słońce zaszło nad Tucson. Wieczór się włókł. Ulice przed dworcem pociemniały. Włączyły się dworcowe lampy, zmieniając okna w lustra. Zegar wskazywał ósmą. Nocny autobus do Phoenix się spóźniał.

Amy zasnęła na swoim krzeselku, wtuliwszy głowę w ramię matki. Spała z otwartymi ustami. Jej buzia pałała wewnętrznym światłem. Była najukochańszym skarbem mamusi, który nie sposób ochronić. Napęłniała serce Evy zacieklą, zawistną miłością.

Alex stanął nad Evą.

- Mogę się przysiąc?

Ponieważ był miły dla Amy i ją rozbawił, Eva skinęła głową. Usiadł więc.

Zaczęli rozmawiać. Mężczyzna wychował się w Chicago, niedawno stracił pracę w serwisie ciężarówek w Teksasie i tak dalej. Eva przetarła oczy. Miała wrażenie, że nie spała od czterech dni.

Jechała do Flagstaff, gdzie znajoma załatwiła jej pracę sprzątaczką w motelu. Alex był ciekaw, czy i dla mechanika nie znalazłoby się we Flagstaff jakieś zajęcie; podobno jest tam chłodniej niż w Phoenix.

Przerzucił ramię przez oparcie krzesła Evy. Aha! Tego się właśnie spodziewała. Podrywał ją.

A ona... Nie zamierzała protestować. Ta obcięta ręka trochę ją odrzucała, ale gość był sympatyczny, no i Amy go polubiła. Eva nie odepchnęła jego ręki. Pewnie był zwyczajnie spragniony kontaktu z drugim człowiekiem. Można wybaczyć facetowi, że czuje się samotny.

Amy poruszyła się przez sen. Śnił jej się unoszący się w pustce biały balonik.

Na gumowej powierzchni białego balonika żyły sobie trzy biedronki. Pewnego dnia postanowiły urządzić sobie wyścig. Miały się ścigać dookoła balonu. Linia startu miała być zarazem linią mety.

Ktoś zawołał START i biedronki ruszyły. Jednakże gdzieś w połowie drogi biedronka-dziewczynka uświadomiła sobie, że zapomniały narysować linię startu, która miała być linią mety. Wygranie wyścigu stało się więc niemożliwe.

Trzy biedronki zapomniały o wyścigu i odfrunęły. Balon pękł.

Amy wtuliła się mocniej w matczyne boki i westchnęła z satysfakcją.

Nic nie zostało postanowione, ale wszystko się rozstrzygnęło. Niczego nie zreperowano, ale wszystko zostało naprawione. Nikogo nie wyleczono. Wszyscy wyzdrowieli.

Na zewnątrz, przed dworcem, zaczął padać deszcz.